Piotr Lisiewicz
NAJBARDZIEJ AWANTURNICZA WYPRAWA W HISTORII ŚWIATA

Antoni Rybczyński
NKWD I GESTAPO. SOJUSZ DWÓCH DIABŁÓW

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

REPARACJE WSTRZĄSNĄ SUMIENIEM NIEMIEC

cena 12 PLN (w tym 6% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #194 09/2022

ILUSTRACJA: MARIUSZ TROLIŃSKI FOT. NAC, WIKIPEDIA, ADOBE STOCK

ISSN 1895-4960

eprasa.pl bdab83362d

TEMAT NUMERU ▼ 4–24

Reparacje wstrząsną sumieniem Niemiec / 4

IDEE ▼ 26–43

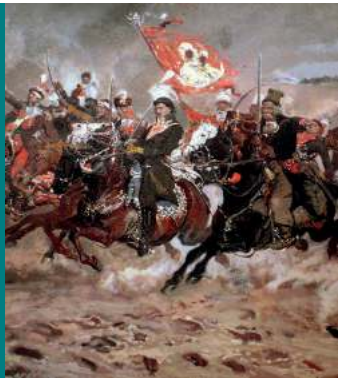

„Drgną strachem lutrzy, Moskwa i poganie..." / 26

HISTORIA ▼ 44–67

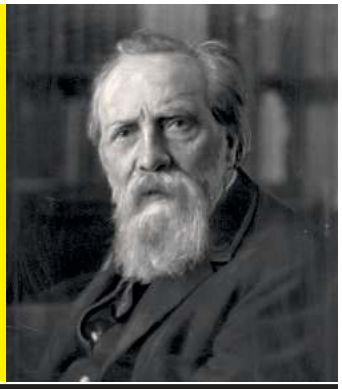

Najbardziej awanturnicza wyprawa w historii świata / 44

ŚWIAT ▼ 72–98

Japonia vs Korea Południowa. Czy zakończy się spór... / 72

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Grochmalski
Reparacje wstrząsną sumieniem Niemiec 4

Z prof. Andrzejem Przyłębskim rozmawia Grzegorz Wszołek
Reparacje to realne pojednanie. Przed Niemcami wielki test 14

Olga Doleśniak-Harczuk
Taktyka odrobionej lekcji już nie wzrusza 18

Ryszard Czarnecki
Casus Namibii, Węgier, Polski. I ile? 24

IDEE

Ewa Polak-Pałkiewicz
„Drgną strachem lutrzy, Moskwa i poganie..." 26

Jakub A. Maciejewski
Leninizm-putinizm 32

Krzysztof Karnkowski
Największa niemiecka inwestycja w Polsce 36

Małgorzata Matuszak
Niebezpieczne wyzwanie (w) sieci 40

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Najbardziej awanturnicza wyprawa w historii świata 44

Tomasz Łysiak
Dziady 1821. Mickiewicza pobyt w Solecznikach i okolicy 50

Zygmunt Nowakowski
Deutschland über Alles... 53

Dariusz Jarosiński
Roman Korab-Żebryk. Oportunista klasyczny 56

Agnieszka Kowalczyk
Bronisław Malinowski wśród tubylców Australii i Oceanii 62

ŚWIAT

Hanna Shen
Japonia vs Korea Południowa. Czy zakończy się spór w sprawie odszkodowań wojennych? 72

Antoni Rybczyński
NKWD i Gestapo. Sojusz dwóch diabłów 76

Stefan Czerniecki
Przychodnia w buszu 82

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 90

oprac. Antoni Rybczyński
Jak Związek Sowiecki anektował kraje bałtyckie w trzech etapach 92

eprasa.pl bdab83362d

Stałe rubryki

Katarzyna Gójska
Albo jest się po stronie ofiar, albo po stronie spadkobierców oprawców...
NA POCZĄTEK 3

Marcin Wolski
Wielka grabież
PAPKULTURA 25

Małgorzata Matuszak
Czym jest... empatia
KATECHIZM INTELIGENTA 39

Marek Kalinowski
Dialogi z Vivaldim
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 43

Krzysztof Wołodźko
Słodko-gorzka opowieść. Wedel i polska historia
DZIENNIK LEKTUR 68

Ryszard Czarnecki
List w Kenii pisany
CZARNECKO TO WIDZĘ 81

Olga Doleśniak-Harczuk
Jak strużka krwi
Z GLOBALNEGO TYGLA 96

Tomasz Sakiewicz
Kryzys Europy
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

Katarzyna Gójska

Albo jest się po stronie ofiar, albo po stronie spadkobierców oprawców. Innej opcji nie ma

Na proces dochodzenia odszkodowań za zniszczenia i zbrodnie należy patrzeć nie tylko jak na działanie mające na celu uzyskanie słusznego zadośćuczynienia za policzalne krzywdy, dewastacje, grabieże i szkody, lecz także jak na normalizację stosunków z Niemcami.

Są sprawy, które nie powinny dzielić. Ich załatwienie wydaje się tak oczywiste i po ludzku jak najbardziej sprawiedliwe, że po prostu nie ma o co kruszyć kopii. Jednym z takich zadań ponad podziałami są u nas odszkodowania za zniszczenia i zbrodnie dokonane przez Niemców podczas II wojny światowej. Polska jako państwo była główną ofiarą ich zdziczenia, drugim narodem – po żydowskim – który był atakowany z tak upiornym i zarazem piekielnym zapałem. Przez czas niewoli komunistycznej nie mogliśmy ani jako państwo, ani jako społeczeństwo wykorzystać wszystkich możliwości prawnych, by doprowadzić do zadośćuczynienia. W końcu zaczynamy w tej arcyważnej i moralnie zasadnej sprawie stawać na wysokości zadania. Przed nami długa i trudna droga, obfitująca w mające nas przestraszyć lub zniechęcić ataki, lecz trzeba je po prostu wytrzymać. I działać. Odszkodowania za zniszczenia i okrucieństwo – choć tak oczywiste i naturalne – dzielą polską klasę polityczną w zaskakujący sposób. Nie ma bowiem sporu dotyczącego takiej czy innej ścieżki prawnej, wysokości oszacowanych strat itp. Totalna opozycja chce pozbawić polskich obywateli prawa do tych odszkodowań, twierdząc najczęściej, iż sprawa jest już zamknięta, narażałaby nasze relacje z potomkami oprawców, lub że nie mamy prawa wysuwać roszczeń. I to wprawia w osłupienie – bo nie sposób znaleźć choćby jeden podobny przypadek na świecie, w którym siła polityczna pretendująca do przejęcia władzy twierdziłaby, że jej obywatele nie powinni otrzymać rekompensat od innego państwa za śmierć bliskich, ich katorżniczą pracę, zniszczone mienie – tak prywatne, jak i publiczne.

Owszem, z historii wiemy, że sprawy odszkodowań wojennych budziły nieraz wielkie kontrowersje w państwach, które się o nie ubiegały, ale nigdy nie było tak, że dotyczyły one rezygnacji z prawa do nich – zupełnie tak, jakby było się adwokatem spadkobierców dawnych oprawców i ich zbrodniczego państwa. W Izraelu, który w latach 50. wywalczył różnego rodzaju odszkodowania od Niemców (w tym za dawnych obywateli Rzeczypospolitej pochodzenia żydowskiego, mamy zatem bijący przykład gorszego traktowania ofiar ze względu na pochodzenie), dochodziło wręcz do walk ulicznych i napadów na instytucje państwa, bo uważano, że osiągnięto zbyt mało. Nikt nie podnosił propozycji darowania Niemcom, zastanawiano się, czy negocjacje z nimi nie obrażają godności Izraela. Ale nie chodziło o interes Republiki Federalnej, lecz o odczucia ofiar. Tymczasem w Polsce mamy do czynienia z opcją jawnie proniemiecką – bo naprawdę w tej sprawie albo jest się po stronie polskich ofiar, albo po stronie spadkobierców napastników. Nie ma innej opcji. I jest ona wręcz bezwstydnie demonstrowana nie tylko przez środowisko polityczne Tuska, lecz także sekundujące mu media, w tym te z niemieckim kapitałem.

W najnowszym numerze „Nowego Państwa" analizujemy sprawę niemieckich odszkodowań dla Polski i Polaków. Polska opinia publiczna ma szansę zapoznać się z wykonanymi w Polsce po raz pierwszy szacunkami strat wojennych. Już sama ta informacja pokazuje, jak wielki deficyt obrony interesów RP panował po 1989 roku w relacjach z naszymi zachodnimi sąsiadami. Na proces dochodzenia odszkodowań za zniszczenia i zbrodnie należy patrzeć nie tylko jak na działanie mające na celu uzyskanie słusznego zadośćuczynienia za policzalne krzywdy, dewastacje, grabieże i szkody, lecz także jak na normalizację stosunków z Niemcami. Bez tego rozliczenia nie ma mowy o jakimkolwiek pojednaniu i zaufaniu. Będzie niechęć, bo ona ma swe źródła z jednej strony w poczuciu krzywdy, którą wielu Polaków ma w sobie, choć urodzili się po wojnie, krzywdy nigdy nie naprawionej. Z drugiej strony Niemcy nie zaczną okazywać nam i naszemu państwu należytego szacunku, jeśli w sprawie rozliczenia za II wojnę światową będziemy zachowywać się wobec nich jak wystraszona ofiara. Miejmy nadzieję, że polskiemu społeczeństwu starczy tak zrozumienia, jak i determinacji, by doprowadzić sprawę odszkodowań do końca. Również o tym będą przyszłoroczne wybory parlamentarne. ■

eprasa.pl bdab83362d

Piotr Grochmalski

Reparacje wstrząsną sumieniem Niemiec

eprasa.pl bdab83362d

Nic lepiej nie ukazuje głębokiej prawdy o Niemcach jak szokująca historia reparacji dla Polski, które są konsekwencją próby zrealizowania ludobójczego planu zniszczenia narodu i państwa polskiego. Jego część została zrealizowana – wymordowano piątą część naszej elity, zniszczono nieodwracalnie najcenniejsze świadectwa naszej historii, setki tysięcy akt poszły z dymem, a straty populacyjne tak naprawdę nigdy nie zostały w pełni odtworzone. Ale Niemcy próbowali odebrać nam wartość fundamentalną. Prawo domagania się o naprawienie owej koszmarnej krzywdy dokonanej na nas. Mamy być dla nich nadal ofiarą, która nie ma prawa domagać się zadośćuczynienia, bo sama myśl o tym grozić ma poważnymi konsekwencjami ze strony Berlina. Cały czas żyliśmy w cieniu tego szantażu.

ILUSTRACJA: MARIUSZ TROLIŃSKI FOT. NAC, WIKIPEDIA, ADOBE STOCK

1 września, w 83. rocznicę agresji na Polskę, pojawi się [tekst powstaje przed tą datą – przyp. red.] pierwsza część raportu przygotowanego przez Parlamentarny Zespół ds. Oszacowania Wysokości Odszkodowań Należnych Polsce od Niemiec za Szkody Wyrządzone w trakcie II wojny światowej. Po raz pierwszy także my sami poznamy pełną skalę owej barbarii. Ale też w pełni, w języku zrozumiałym dla Niemców, bo opartym na liczbach, uświadomi on Berlinowi skalę barbarzyństwa i bandytyzmu dokonanego przez III Rzeszę na II RP. Te zapowiedzi wywołały falę frustracji w RFN. „Frankfurter Allgemeine Zeitung" w artykule z 31 lipca 2022 roku grzmi: „Na dawne i nowe wrogości nie ma miejsca. Przeciwnik znajduje się gdzie indziej". Czyli domaganie się reparacji przez Polskę to dla wpływowego „FAZ" dowód naszej wrogości? Gazeta z niepokojem konstatuje, że: „Podczas jednej ze swoich wizyt w ramach objazdu kraju prezes Prawa i Sprawiedliwości Jarosław Kaczyński powiedział, że Polska nie odpuści tematu uzyskania reparacji wojennych od Republiki Federalnej Niemiec. Obecnie finalizowany ma być odpowiedni raport w sprawie reparacji. Dokument był poddany konsultacjom politycznym oraz eksperckim". Ale co ma być źródłem owej „wrogości" ze strony Berlina? Okazuje się, że fakt, iż Niemcy nie mają zamiaru zapłacić ani grosza za swoje historycznie udokumenowane zbrodnie na narodzie polskim. Gazeta stwierdza, iż „temat ewentualnej wypłaty reparacji budzi w Niemczech duże kontrowersje.

„Odłożenie problemu na czas nieokreślony"

Odwiedzający niedawno Warszawę lider opozycyjnej CDU Friedrich Merz kategorycznie wykluczył możliwość wypłaty przez Berlin jakichkolwiek kwot. Ulrich Beck, jeden z największych intelektualistów RFN, w 2012 roku, trzy lata przed śmiercią, stwierdził, że obecne Niemcy są najlepszymi, jakie były w historii. Czy aby na pewno? Komentator „Frankfurter Allgemeine Zeitung", Reinhard Müller, 2 sierpnia na łamach tej gazety stwierdził, że temat reparacji jedynie „pozostaje aktualny ze względu na jego znaczenie w polskiej polityce wewnętrznej". To bezczelne i bezpretensjonalne obrażanie Polaków jest widać czymś tak głęboko tkwiącym w mentalności dziennikarzy pokroju Müllera, że nie rozumie, jak Polacy mogą mieć czelność domagać się sprawiedliwości. Zauważa przy tym, że podobna dyskusja toczy się w Grecji, gdzie tamtejsi politycy coraz głośniej mówią o konieczności zapłaty przez Berlin odszkodowania za zniszczenie kraju przez Wehrmacht w czasie II wojny światowej. Jednak, zdaniem tego komentatora, greckie roszczenia są równie bezpodstawne, co polskie. W obu przypadkach szokujące kłamstwo. Przywołuje przy tym słowa szefowej niemieckiego MSZ Annaleny Baerbock, która stwierdziła, że Niemcy nie wypłacą Atenom żadnego odszkodowania. Zaledwie dwa tygodnie później po tych histerycznych głosach wpływowy niemiecki „Die Welt" z nieukrywaną frustracją stwierdził 15 sierpnia, iż „Rosyjska wojna w Ukrainie spowodowała, że kraj frontowy, Polska, urósł do rangi centralnego aktora europejskiej polityki. Polska jest silna jak nigdy". Moralna odpowiedzialność za zbrodnie popełnione na Polsce i Polakach, ale także na Grekach, przez niemieckie państwo jest oczywista. A jednak stała się rzecz szokująca. Ich materialny wymiar wyparował z niemieckich umysłów. Oczywiście był ocean słów mówiących o zbrodniach III Rzeszy. Ale były one swoistym parawanem, który przysłaniał realizowaną strategię przez ówczesne Bonn. Tak naprawdę największa batalia, jaką Niemcy stoczyły po zakończeniu II wojny, dotyczyła bowiem spacyfikowania problemu reparacji.

Rozdrażnienie Niemiec spowodowane reparacjami wynika w głównej mierze z obaw, aby świadomość barbarzyństwa, które osiągnęło swoje apogeum w Polsce i wobec Polaków, nie stało się powszechnie znane w świecie.

Jak zauważa dwóch niemieckich historyków, którzy poświęcili życie na badaniu tej problematyki, Karl Heinz Roth i Hartmut Rübner, dzięki niemieckim sztuczkom w latach 60. XX wieku udało się „odroczyć końcowe uregulowanie tej kwestii do czasu zawarcia traktatu pokojowego dla całych Niemiec, co z jej perspektywy oznaczało odłożenie problemu na czas nieokreślony". Liczono przy

eprasa.pl bdab83362d

tym, iż wraz ze stopniowym wymieraniem ofiar niemieckiego barbarzyństwa, problem sam się rozwiąże. Biurokratyczne elity RFN wypracowały pewien zestaw chwytów, które były stosowane w tej przerażającej zabawie w kotka i myszkę. Roth i Rübner usystematyzowali ten arsenał metod. Najważniejszy był aksjomat, „by w żadnym wypadku nie udzielać kolejnych świadczeń odszkodowawczych i restrykcyjnych, mających podstawę w roszczeniach prawnych". Można się było jedynie godzić na formy dobrowolnego „humanitarnego" lub „charytatywnego" wsparcia – a więc gesty rzekomo pokazujące dobrą wolę i dobre serce Niemców, ale niepociągające za sobą żadnych negatywnych dla RFN konsekwencji prawnych. Innymi słowy, całe oszustwo budowano na przekręcie prawnym. Ten chwyt uzupełniony był ciężką pracą medialno-propagandową, która coraz bardziej kładła nacisk na fakt, iż owych zbrodni dokonali hitlerowcy, a nie państwo i społeczeństwo niemieckie. Co więcej, FRN zaczęła budować narrację, że jest wyczulona na wszelkie formy faszyzmu i uznaje siebie za predestynowaną do roli obrońcy świata przed wszelką formą totalitaryzmów.

Według Rotha i Rübnera, drugą kluczową techniką, stosowaną w wojnie przeciw groźbie reparacji, była „zasada maksymalnego ograniczania kręgu odbiorców odszkodowań", trzecią minimalizacja kosztów, a czwartą „niedopuszczenie do powstania »frontu wierzycieli reparacji«, a to za sprawą tego, że odnośne grupy wierzycieli wygrywano przeciwko sobie". Już samo skatalogowanie i opis owych haniebnych metod stosowanych przez państwo niemieckie ukazuje, że nie istniała żadna rzeczywista, a nie odgrywana medialnie i politycznie, świadomość odpowiedzialności za dokonane zbrodnie. Ale wynika z tej analizy coś więcej – otóż Polska, jako państwo najbardziej dotknięte niemieckim barbarzyństwem, stawało się też potencjalnie największym zagrożeniem. To tłumaczy, dlaczego w środowisku Reinharda Gehlena, który odegrał istotną rolę w totalnej wojnie III Rzeszy z podziemnym państwem polskim, a potem po jej zakończeniu tworzył podstawy służby bezpieczeństwa Republiki Federalnej Niemiec, zrodził się pomysł długotrwałej strategii wojny informacyjnej, której celem było lansowanie szokującej tezy o współwinie Polski za hitlerowskie zbrodnie. Elementem tej koncepcji było rozprzestrzenianie kłamstwa o „polskich obozach śmierci". Ta trucizna, sączona przez lata, miała coraz bardziej odrealniać niemieckie ludobójstwo i relatywizować je jako hitlerowską zbrodnię, a z drugiej strony wikłać w nie ofiary. W powojennej Europie, podzielonej żelazną kurtyną, było to o tyle łatwiejsze, że istniała znikoma świadomość, jakich zbrodni dopuszczali się Niemcy w Polsce. Istnieje bogata literatura ukazująca skalę kolaboracji Francji i wielu innych europejskich państw z III Rzeszą, w których okupacja hitlerowska przebiegała stosunkowo łagodnie i w niczym nie przypominała realizowanego planu unicestwienia państwa i narodu, jak to było w przypadku II RP.

▶ Niemieckie ludobójstwo na Polakach i szokujący szantaż Kohla

Dzisiejsze społeczeństwo Niemiec niemal wygumkowało ze swej świadomości dokonane zbrodnie na Polakach. Oczywiście historycy niemieccy znali ich skalę, ale była to wiedza wąskiego kręgu. Dla nas szokiem jest, iż ludobójczy charakter okupacji niemieckiej w Polsce, także w odniesieniu do polskiej ludności cywilnej, został po raz pierwszy szerzej omówiony w Niemczech dopiero przy okazji Wystawy Wehrmachtu (1995–1999 i w wersji uzupełnionej w latach 2001–2004), która wywołała szeroki opór, wściekłość, niedowierzanie i odrzucenie. Ta wystawa, zorganizowana przez hamburski Instytut Badań Społecznych, poddana była ostrej krytyce przez niemieckie media. Okazało się, że niemiecka opinia publiczna rzekomo nie wiedziała o skali mordów na Polakach. Wyparła ją ze swej świadomości. Odrzucała też wiedzę o tym, że na masową skalę ludobójstwa dokonywał Wehrmacht od pierwszego dnia napaści na Polskę. Szok tym większy, że dopiero wystawa Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie w 2005 roku skoncentrowała się na zbrodniach niemieckich w Polsce. Sześćdziesiąt lat po zakończeniu koszmaru II wojny światowej! Ale do dziś społeczeństwo niemieckie było i jest chronione przez elity przed wiedzą o druzgocącej skali niemieckiego terroru wobec II RP. Zginęło od 5 do 6 mln obywateli polskich, w tym prawie 3 mln polskich Żydów. Ofiarami ludobójstwa byli także Polacy. Akcje przeciwko polskiej elicie, takie jak krakowska operacja specjalna skierowana przeciwko profesorom krakowskich uczelni, czy przemówienie Heinricha Himmlera z 4 października 1943 roku w Poznaniu przed dowódcami grup SS, w których wyznaczał nam rolę niewolników, czy operacje Generalplan Ost i Reinhardt, świadczą o ludobójczym charakterze niemieckiej polityki okupacyjnej w Polsce, także wobec etnicznych Polaków. Elementem tej niemieckiej niepamięci była strategia odsuwania reparacji w odległą przyszłość, która dawała Niemcom wymierne korzyści. Coraz bardziej topniała liczba świadków dokonanego przez III Rzeszę ludobójstwa. Gdy w końcu realna

eprasa.pl bdab83362d

stała się wizja zjednoczenia obu niemieckich państw, a w konsekwencji zawarcia traktatu pokojowego, co otwierałoby drogę do reparacji, nagle kanclerz Helmut Kohl, lider zachodnich Niemiec, starał się maksymalnie przyspieszyć wydarzenia i narzucić światu własny scenariusz.

Jeszcze w listopadzie 1989 roku zaproponował 10-punktowy program stworzenia konfederacji obu państw niemieckich. Kiedy władze NRD zaakceptowały ten model, Kohl poszedł za ciosem i na początku lutego 1990 roku zaczął forsować opcję wchłonięcia przez RFN wschodniego państwa niemieckiego. Kilka miesięcy później, na początku października, ta opcja została przeforsowana. Kohl w ten sposób chciał przechytrzyć wszystkich i uciec od problemu reparacji. To parcie po trupach, jakie forsował, aby jak najszybciej scalić Niemcy, wywołało szok i wściekłość w wielu stolicach europejskich. Dla Polski było w pełni czytelne, do czego zmierza kanclerz RFN. Jeszcze w styczniu 1990 roku do gry włączyły się Stany Zjednoczone, aby ucywilizować wydarzenie, które uznawano za kluczowe dla europejskiego bezpieczeństwa. Waszyngton zaproponował formułę cztery mocarstwa (USA, Wielka Brytania, ZSRS i Francja) plus dwa państwa niemieckie. Jednak Kohl domagał się, aby negocjacje kierowane były przez RFN i NRD. Argumentował, że Niemcy nie chcą siedzieć przy bocznym stole. Ostatecznie prezydent USA, George H. Bush, przystał na formułę dwa plus cztery, która pomijała udział w rokowaniach państw z Europy Środkowej, a więc głównych ofiar III Rzeszy. Niemcy wmówili USA, że będzie to rozwiązanie, na jakie zasługują.

Roth i Rübner zwracają uwagę, iż po tych ustaleniach ówczesny amerykański sekretarz stanu James Baker „ustawicznie dawał swoim radzieckim partnerom negocjacji do zrozumienia, że formalny traktat pokojowy tak wiele lat po zakończeniu wojny »zraniłby ego Niemców«, a ponadto wywołałby w szeregu krajów roszczenia o reparacje". Intryga Niemiec wydawała się skuteczna – traktat pokojowy miał być zastąpiony „rozwiązaniem prawniczym". Ale Polska, zaniepokojona brudną grą niemiecką, naciskała w sprawie gwarancji dotyczących granicy na Odrze i Nysie jeszcze przed powstaniem jednych Niemiec. Kohl starał się jednak trzymać rząd polski na dystans. Twardo blokował próby zawarcia z RFN dwustronnego traktatu granicznego jeszcze przed zakończeniem rokowań niemiecko-alianckich. Polska stawiała też twardo kwestię reparacji. To doprowadzało do wściekłości Kohla. Jak zauważają Roth i Rübner: „kolejne polskie żądania w sprawie reparacji skłoniły wreszcie sztab doradców Kohla do tworzenia współzależności między nimi a zagwarantowaniem polskiej granicy zachodniej, które miało znaleźć się w traktacie dwa plus cztery". Z tajnej notatki dyplomatycznej dyrektora Urzędu Kanclerskiego, Michaela Mertensa i radcy Martina Hinza z 27 lutego 1990 roku wynika, iż Niemcy chcieli wymusić na Polsce, w zamian za gwarancje granicy na Odrze i Nysie, rezygnację z reparacji, a także zapewnienie dla mniejszości niemieckiej w RP szczególnych praw. W notatce stwierdza się przy tym, iż owo potwierdzenie granicy przez Kohla w zamian za ustępstwa Polski „nie wiązałoby prawnie przyszłego suwerennego państwa niemieckiego". Ten szwindel i szantaż, jakiego próbował się dopuścić przywódca RFN, ostatecznie nie wypalił. Wówczas Niemcy przyjęli oficjalnie opcję, że nie mogą podejmować zobowiązań przed powstaniem nowego państwa. Dopiero silna presja ze strony USA wymusiła na Berlinie zmianę stanowiska. A Kolh twierdził później, że nigdy nie miał zamiaru wykorzystać tej formy szantażu wobec Polski. Jednak Roth i Rübner przypominają, iż: „Na początku marca 1990 r. Kohl najzupełniej jawnie oznajmił, że wykorzystywał kwestię polskiej granicy zachodniej jako rękojmię, żeby zmusić Polskę do ostatecznego zrzeczenia się reparacji oraz do szerokich ustępstw wobec zamieszkałej w Polsce mniejszości niemieckiej". Ale wynika z tego niezbicie, iż RFN uznawał za w pełni zasadne prawo RP do reparacji.

▶ „Nie ma ani chwili do stracenia"

A to oznacza, iż Berlin cały czas kłamie. „Polska nigdy nie zrzekła się prawa do odszkodowań" – stwierdza jednoznacznie dr Karl Heinz Roth. Ten niemiecki ekspert twierdzi, iż dług reparacyjny nie ulega przedawnieniu i jest w dalszym ciągu otwarty. Historyk zaznacza, że nie może być mowy o prawdziwym pojednaniu polsko-niemieckim tak długo, jak Niemcy nie wezmą odpowiedzialności za swoją przeszłość i nie wypłacą należnych Polsce odszkodowań. Uważa, że powinniśmy w tej sprawie działać wspólnie z pozostałymi państwami, które wysuwają swoje roszczenia wobec Niemiec, przede wszystkim z Grecją. Roth jest najwybitniejszym na Zachodzie znawcą problematyki dotyczącej niemieckiego długu reparacyjnego. Wydana przez niego w 2017 roku, razem z Hartmutem Rübnerem, pierwsza rzetelna monografia na ten temat wywołała szok w RFN, bo zmasakrowała całą niemiecką narrację. Dokonała radykalnego przełomu, po którym nie ma już możliwości powrotu do wcześniejszych kłamstw Berlina. W Polsce praca ta, wydana przez Instytut Zachodni, ukazała się w 2020 roku pt. „Wyparte. Odrodzone. Odrzucone. Niemiecki dług

eprasa.pl bdab83362d

reparacyjny wobec Polski i Europy". Z kolei Andreas Fischer-Lescano, znawca prawa międzynarodowego, twierdzi, że greckie roszczenia są całkowicie uprawnione, co w istocie także obala dotychczasową strategię Berlina. Rząd Scholza, tak jak wcześniej gabinet Merkel, co prawda nadal próbuje bronić wcześniejszego stanowiska, lecz pojawiają się widoczne rysy na stosowanej dotąd prawnej argumentacji. Coraz częściej muszą też sięgać do zakulisowych intryg i szantażu. Pogłębia się też przepaść moralna między deklarowanymi niemieckimi etycznymi aspiracjami a historycznym świadectwem barbarzyństwa, jakiego dopuścił się ten naród w Polsce. Dziś rośnie też świadomość w Europie, że to Niemcy swoją polityką doprowadzili do agresji Putina na Ukrainę. Co gorsza, potomkowie twórców fabryk śmierci i planu zagłady polskiego narodu nadal nie potrafią dostrzec twardej korelacji między spłatą długu reparacyjnego wobec swoich ofiar a materialną i moralną odpowiedzialnością za III Rzeszę. Elity niemieckie udają przy tym skrajne oburzenie roszczeniami. Równocześnie nie dostrzegają rażącej sprzeczności w postrzeganiu siebie jako globalnego wzorca moralności. Co równie szokujące i przerażające, oni w to wierzą nawet po napaści Putina na Ukrainę.

Niemcy – „mistrzowie świata w miłości"

Niemiecki historyk Heinrich August Winkler 31 grudnia 2020 roku na łamach „Der Spiegel" w wywiadzie zatytułowanym „Ucieczka przed przeszłością" powiedział, że zarzuty wysuwane za granicą wobec Niemców, że zachowują się jak „mistrzowie świata w moralności", są w pełni uzasadnione. Przypomniał, jak szefowa klubu parlamentarnego Zielonych Katrin Goering-Eckardt w Bundestagu nazwała Niemców „mistrzami świata w gotowości niesienia pomocy i miłości bliźniemu". Winkler urodził się 19 grudnia 1938 roku w Królewcu, a więc wystarczająco dawno temu, by mieć świadomość głębokiej absurdalności takich stwierdzeń. Dlatego otwarcie nie zgadza się z „tendencją do przedstawiania Niemiec jako wiodącego pod względem moralności narodu Europy". Rzecz w tym, że tylko oni sami chcą siebie takich widzieć. Dlatego Winkler ostrzegał swych ziomków: „Musimy wyciągnąć z przeszłości naukę, że należy zachowywać się odpowiedzialnie. Ale przekonanie o moralnej przewadze grozi arogancją". Minęły zaledwie dwa lata od tego ostrzeżenia, a zdumiony świat przeciera oczy, gdy nagle Niemcy ujawniają swoją ciemną stronę charakteru w obliczu zbrodni Putina na Ukrainie. A przecież jeszcze tak niedawno, gdy Polska ostrzegała Niemcy przed Rosją, słyszała jedynie niekończące się kłamstwa Merkel i Scholza, że Nord Stream 2 to projekt czysto biznesowy, a prezydent RFN, Frank-Walter Steinmeier, publicznie usprawiedliwiał jego budowę rekompensatą za atak III Rzeszy na Związek Sowiecki. Opinia ta, którą przedstawił w wywiadzie dla dziennika „Rheinischen Post", wywołała szok i dyplomatyczną burzę. Nagle okazało się bowiem, że w Niemcach rzekomo odezwało się wybiórcze sumienie – na tyle selektywne, że powiązane ściśle z ich energetycznym biznesem, który miał im otworzyć drogę do energetycznego panowania nad Europą. Dlatego Andrij Melnyk, ówczesny ambasador Ukrainy w Berlinie, oskarżył prezydenta o cynizm. Stwierdził, że w dyskusji o Nord Stream 2 przywódca Niemiec użył „wątpliwych argumentów historycznych", zignorował też ukraińskie ofiary II wojny światowej. Szef polskiego rządu, premier Mateusz Morawiecki uderzył Berlin w czuły punkt: „Zgadzam się z prezydentem Niemiec, że powojenne długi nie zostały spłacone, ale Nord Stream 2 nie jest żadną rekompensatą. To działanie za plecami UE, które ułatwi Rosji prowadzenie agresywnej polityki, zwiększy zależność Europy, zaszkodzi gospodarce i bezpieczeństwu". Dziś w pełni widać, że miał rację.

> NIEZBYWALNYM PRAWEM I OBOWIĄZKIEM POLSKIEGO NARODU I JEGO ELIT JEST DOMAGANIE SIĘ ZADOŚĆUCZYNIENIA OD SPRAWCÓW ZA DOZNANE KRZYWDY, BO TO PRZYWRACA GODNOŚĆ POMORDOWANYM I CAŁEJ WSPÓLNOCIE NARODOWEJ.

Niemcy, czyli moralna parodia

Roth wielokrotnie podkreśla, iż sam doświadczał jeszcze w latach 80. XX wieku, jak trwałym ele-

eprasa.pl bdab83362d

mentem polskiej świadomości narodowej, niezależnej od bieżącego kontekstu politycznego, jest kwestia reparacji. Tym większa była trauma Polaków, gdy, tuż przed przyjęciem RP do UE, utworzona w Düsseldorfie pruska firma Treuhand ogłosiła wojnę z państwem polskim w sądach o odszkodowania dla tych obywateli Niemiec, którzy zostali przesiedleni z zachodnich ziem RP w wyniku ustaleń aliantów na konferencji poczdamskiej w 1945 roku. Po latach niemieckiej narracji o „polskich obozach śmierci" (przypomnijmy – projekcie niemieckich służb) przyszedł czas na nowy etap przekształcania ofiar w sprawców. Ostatecznie niemiecki rząd zdystansował się od roszczeń firmy Treuhand, a Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu odrzucił bez rozpoznania pozew wniesiony przez Treuhanda w imieniu 23 obywateli Niemiec. Ale sytuacja ta spowodowała, że z inicjatywy Lecha Kaczyńskiego, który był wówczas prezydentem Warszawy, zespół pod kierunkiem prof. Wojciecha Falkowskiego oszacował na 45 mld dolarów straty poniesione przez stolicę Polski w wyniku zniszczeń dokonanych przez Niemców. Wydarzenie to dokonało psychicznego przełomu w podejściu polskich elit do problemu niemieckiego długu reparacyjnego wobec Polski. Stanowisko Berlina było niezmienne od lat – ani grosza. Niemcy argumentowali, że Rada Ministrów PRL 19 sierpnia 1953 roku zrzekła się wszelkich roszczeń wobec Niemiec. Dodatkowo sprawę miał zamykać traktat tzw. dwa plus cztery (RFN, NRD i cztery zwycięskie mocarstwa z czasów II wojny światowej), który poprzedził zjednoczenie Niemiec. Nie ma w nim nawet wzmianki o reparacjach. Dlatego Berlin był zaskoczony, gdy 1 lipca 2017 roku Jarosław Kaczyński, na kongresie programowym PiS, podkreślił, że Polska nigdy nie dochodziła „gigantycznych szkód", jakich doznaliśmy podczas II wojny światowej, ale na szczęście „nigdy nie zrzekła się tych odszkodowań". Na początku sierpnia rzecznik polskiego rządu wezwał RFN do spełnienia zobowiązania do odszkodowania. Narracja Berlina, która stała się też obowiązującą narracją proniemieckiej opozycji w RP, ukazywała tę sytuację jako taktyczny manewr rządu, spowodowany agresywnym zachowaniem Berlina. Jednak polska inicjatywa nabierała rozpędu.

Poseł na sejm, Arkadiusz Mularczyk, zlecił Biuru Analiz Sejmowych dokonanie ekspertyzy dotyczącej polskich roszczeń odszkodowawczych w perspektywie prawa międzynarodowego. 6 września 2017 roku Robert Jastrzębski przedstawił 43-stronicową, wyczerpującą ekspertyzę. Zgodnie z opinią Polska była we wszystkich fazach swojej powojennej historii skrajnie dyskryminowana, mimo że – w przeliczeniu na liczbę ludności – doznała największych strat w wyniku okupacji niemieckiej. Ekspertyza oceniała, że Niemcy nie zrekompensowały nawet jednego procenta wyrządzonych zniszczeń materialnych i szkód humanitarnych. Obalała też argumenty niemieckie. Roth, w swojej publikacji, potwierdza prawną zasadność polskich argumentów przygotowanych przez Biuro Analiz Sejmowych. Jak zauważa, rosnąca presja Polski powodowała, że: „Rząd federalny był coraz bardziej bezradny. Brakowało mu nowych i wystarczająco przekonujących argumentów. Wprawdzie pod koniec sierpnia 2017 r. Służby Naukowe Bundestagu opublikowały ekspertyzę o prawnomiędzynarodowych podstawach i granicach »reparacji wojennych ze szczególnym uwzględnieniem sytuacji na linii Polska-Niemcy«. Była ona jednak mało pomocna dla znajdujących się pod presją berlińskich polityków, ponieważ powielała tylko znane od dziesięcioleci argumenty".

> Powód oporu Berlina przed reparacjami to w istocie próba rozmycia tej zbrodni w „europejskiej kulturze pamięci", zrelatywizowanie jej, a w konsekwencji utrzymanie nadal ofiar w pozycji upodlonych i powtórnie odartych z godności.

▶ I znów niemiecki szantaż wobec Polski

Przedstawione przez Grecję i Polskę gruntowne ustalenia zasadniczo zmieniły stan faktyczny. Co prawda Niemcy, 18 października 2019 roku, po wręczeniu greckiej noty werbalnej w sprawie re-

eprasa.pl bdab83362d

paracji, obcesowo odpowiedziały, że sprawa jest zamknięta i rząd nie zamierza „wchodzić w negocjacje na ten temat", ale ta bezczelność przykrywała frustrację i ukrywała bezradność dotychczasowej linii obrony. Nerwowość widoczna była w dyskursie medialnym, w którym zaczęły pojawiać się głosy krytyczne wobec postawy Niemiec. Nagle okazało się, że wielu zagorzałych dotąd zwolenników twardej linii przeszło do defensywy i zmieniło taktykę. Zaczęli straszyć konsekwencjami, gdyby RFN wypłacił reparacje. Co prawda podkreślali, że Polakom i Grekom, w wymiarze moralnym, w sposób oczywisty i bezdyskusyjny należą się reparacje. Ale trzeba je widzieć także w szerszym kontekście.

Autor głośnej książki o „Mein Kampf" Hitlera, Sven Felix Kellerhoff, w maju 2019 roku w „Die Welt" straszył widmem katastrofy. Twierdził, że w wyniku spełnienia oczekiwań repatriacyjnych Polski i Grecji „euro i Unia Europejska z pewnością runą". Podkreślał, iż „Grecja, Polska, a teraz kraje bałtyckie żądają od Niemiec ogromnych odszkodowań za okrucieństwa podczas II wojny światowej. Moraliści i populiści są całkowicie zgodni – konsekwencje byłyby jednak dramatyczne. Każdy, kto powoduje szkodę, musi zapłacić odszkodowanie. Dotyczy to wszystkich państw konstytucyjnych i co do zasady jest również rozsądne. Jest jednak jedno zastrzeżenie, ponieważ ślepe naleganie na zasady może łatwo wprowadzić w błąd. Jeśli zadośćuczynienie spowoduje zauważalnie więcej szkód, niż może naprawić, bardziej sensowne będzie poszukiwanie innych sposobów zadośćuczynienia. Dokładnie tak jest w przypadku roszczeń reparacyjnych, które są wysuwane przeciwko Niemcom od dziesięcioleci i ostatnio są głośne. Szczególnie politycy z Grecji i Polski przebijają się tutaj i otrzymują coraz większe brawa". Kellerhoff dał się też poznać jako zagorzały przeciwnik budowy w Berlinie pomnika polskich ofiar II wojny, bo polski rząd „szerzy propagandę antyniemieckich resentymentów" i domaga się reparacji za II wojnę światową, mimo że „z punktu widzenia prawa międzynarodowego sprawa ta została już dawno rozstrzygnięta".

Herfried Münkler także nie podważa już moralnych praw Polaków do rekompensat, ale uważa, że ich spełnienie „może podkopać i zakwestionować europejski pokój. Nawet jeśli są niewątpliwie prawomocne moralnie, to politycznie są produktem znów uwidaczniającego się w Europie nacjonalizmu". Innymi słowy, jeśli Polacy i Grecy chcą się stać „prawdziwymi" Europejczykami, to muszą zrezygnować z domagania się reparacji. Ten emerytowany politolog z Uniwersytetu Humboldta w Berlinie, autor pracy „Niemcy i ich mity", na antenie Deutschlandfunk Kultur co prawda wspaniałomyślnie uznał, że przestępstwa popełnione przez Niemcy w Polsce i Grecji „stanowią uzasadnioną podstawę do dochodzenia odszkodowania", ale dodał, że „dochodzenie roszczeń odszkodowawczych... jest procesem determinowanym bardziej przez względy partyjno-polityczne w głębi tych krajów niż przez spojrzenie na europejski porządek pokojowy". Münkler pluje w twarz niemieckim ofiarom, gdy stwierdza pokrętnie, że: „W rzeczywistości wszelkiego rodzaju roszczenia odszkodowawcze mogą podważyć pokój w Europie. Bez względu na to, jak prawowite są moralnie, politycznie są wytworem nacjonalizmu, który ponownie daje o sobie znać w Europie". Ostatecznie już wkrótce okaże się, że to właśnie Niemcy zdetonują największe zagrożenie dla europejskiego bezpieczeństwa od czasu II globalnej wojny, którą także wywołali.

Tuż przed wizytą 16 czerwca 2020 roku w Warszawie ówczesnego szefa niemieckiej dyplomacji Heiko Maasa, członek Partii Zielonych, a przy tym przewodniczący niemiecko-polskiej grupy parlamentarnej, Manuel Sarrazin, wezwał rząd RFN do innego podejścia do reparacji. Stwierdził, że „zupełnie ignoranckie traktowanie" ich spowodowało znaczne szkody", dlatego domagał się, aby polskie roszczenia zostały teraz przyjęte „z empatią i uprzejmością". Ich wcześniejsze „brutalne odrzucenie" było „prawnie poprawne, ale moralnie i politycznie nieuzasadnione". Ta jego postawa spowodowała, że został potem wymieciony z niemieckiej polityki.

▶ Moralny wymiar niemieckiej hańby

Wspomniany H. A. Winkler uważa, że Niemcy zniszczyły swoje pierwsze narodowe państwo. Dlatego mają obsesję na tym punkcie i sądzą, że czas państwa narodowego wszędzie minął. Ale – jak podkreśla – tej opinii nie podziela niemal żaden europejski kraj, z wyjątkiem być może Luksemburga i Belgii. Jego opinia wyjaśnia ową agresywność, z jaką Berlin od lat walczy z Polską, krajem o najsilniejszej tożsamości narodowej, a równocześnie wspiera imperialne mrzonki Putina o zbudowaniu osi Berlin–Moskwa, która przywróci też wielkość samym Niemcom. Dziś, w obliczu katastrofy polityki Berlina, rośnie świadomość Niemców, że Polacy nie odpuszczą domagania się reparacji. Roth i Rübner w swojej przełomowej pracy podkreślają, że „prawo do świadczeń odszkodowawczych za zbrodnie wojenne i łamanie praw człowieka jest

eprasa.pl bdab83362d

gwarantowane przez prawo międzynarodowe. Kto o nie walczy, konstytuuje się jako równorzędny podmiot prawa. Dochodząc tego roszczenia prawnego, wychodzi ze stanu heloty [niewolnictwa – przyp. P.G.], do którego zepchnęły jego lub poszkodowanych przodków rządy nazistów".

Ekipy Merkel i Scholza twierdziły, że dopiero rząd Zjednoczonej Prawicy sięgnął po kwestie reparacji i traktuje je jako element gry politycznej. Jest to oczywista nieprawda. Niezbywalnym prawem i obowiązkiem polskiego narodu i jego elit jest domaganie się zadośćuczynienia od sprawców za doznane krzywdy, bo to przywraca godność pomordowanym i całej wspólnocie narodowej. Polska nie może dopuścić, aby skutek owego stanu zniewolenia, przypieczętowany niemieckim planem likwidacji państwa polskiego i polskiego narodu, trwał nadal. Tylko naprawa szkody przez sprawcę jest dowodem na jego rzeczywiste intencje. Berlin nie rozumie, że sumienie Niemiec to nie sumienie Europy. Ich rozdrażnienie spowodowane reparacjami wynika w głównej mierze z obaw, aby świadomość barbarzyństwa, które osiągnęło swoje apogeum w Polsce i wobec Polaków, nie stało się powszechnie znane w świecie. Ale wszyscy doświadczyli obecnie przyspieszonej lekcji, czym jest moralność w wykonaniu Berlina, gdy w samej niemieckiej prasie zaczęły pojawiać się teksty ukazujące współwinę RFN za napaść Rosji na Ukrainę. To tylko potwierdza trafność polskiej diagnozy, że bez zrozumienia, dlaczego Niemcy winny są reparacji, nie jest możliwe obdarzanie ich politycznym zaufaniem. Nadal tkwią bowiem w cieniu dokonanej przez siebie zbrodni. Karl Heinz Roth i Hartmunt Rübner zauważają, że chodzi o kwestię fundamentalną – o uznanie równouprawnionej relacji – tymczasem Niemcy mentalnie nadal chcą utrzymać kolonialną zależność. Jak zauważają ci dwaj autorzy: „Właśnie dlatego do dziś polityczni przedstawiciele niemieckiego pokolenia sprawców i ich spadkobierców wykręcali się od wypłaty świadczeń odszkodowawczych. Ponieważ jednak totalna odmowa naraziłaby ich na międzynarodową izolację, wypracowali przez dziesięciolecia postawę o dwubiegunowej strukturze. Nadal praktykowany brak zgody na odszkodowania połączono z symbolicznym uznaniem cierpień, które były udziałem ofiar okupacyjnego terroru. Ofiarom oddaje się obecnie hołd w mediach i miejscach pamięci, a nieliczni żyjący jeszcze ocaleni otrzymali – po trwającym całe dziesięciolecia wykluczeniu – dobrowolną »pomoc humanitarną« z »funduszy na złagodzenie najtrudniejszych sytuacji«. Te jednorazowe płatności nie stanowią jednak podstawy do jakichkolwiek roszczeń prawnych i utrwalają status odbiorców jako podporządkowanych petentów".

▶ Rosyjskie zbrodnie na Ukrainie a niemiecki przemysł „europejskiej kultury pamięci"

Zaledwie w ciągu kilku miesięcy ukraińskiej wojny Scholz zdegradował wymiar Niemiec do swoistej parodii moralności. Z obecnej perspektywy owe wcześniejsze i obecne straszenie przez Niemców końcem Europy wówczas, gdy Polacy i Grecy domagają się reparacji za dokonane zbrodnie, jest charakterystyczne dla mentalności niemieckiej. Roth i Rübner podkreślają, że „Polska miała być nie tylko unicestwiona pod względem politycznym, kulturalnym i gospodarczym – uważano ją również za pierwszy etap »pozyskiwania niemieckiej przestrzeni życiowej na wschodzie«". To nie był jedyny eksperyment, jaki Niemcy przeprowadzili na Polsce. A obecne próby protekcjonalnego poklepywania nas przez Berlin i podkreślanie wyższości moralnej wobec innych narodów Europy, gdy Niemcy dokonały moralnej antropii, trudno nie odbierać jako przejawu tego samego, znanego nam z historii, syndromu niemieckiej pychy i oderwania od rzeczywistości. Niemcy chcą głęboko wierzyć w swą duchową przemianę, gdy tymczasem my widzieliśmy jedynie wielką mistyfikację. Dziś dostrzegły to inne narody europejskie. Niemcy wymyśliły sposób, aby ukryć swą historyczną winę, rozmywając ją w nurcie europejskiego kosmopolityzmu. Roth i Rübner trafnie to demaskują. Piszą: „W efekcie tego bipolarnego procesu powstał wreszcie przemysł upamiętniania, określany mianem »europejskiej kultury pamięci« finansowany i sterowany przez polityczne kierownictwo RFN. Jego symboliczne praktyki skupiają się na ofiarach terroru okupacyjnego, postrzeganych w coraz większym stopniu w oderwaniu od historycznych kontekstów niemieckiej władzy okupacyjnej. Wciąż niewidzialnym przeciwległym biegunem jest zaś tabu związane z zakazem wypłaty reparacji i odszkodowań. Ikony cierpienia nie powinny się w żadnym razie wynosić ponad swój status ofiar ani występować na zasadzie równouprawnienia w stosunku do sprawców oraz ich administratorów pamięci z kolejnego pokolenia".

▶ Reparacje – czy jest jeszcze ratunek dla sumienia Niemców

Potrzebujemy sąsiada, który przestanie budować swą przyszłość na kłamstwie założycielskim

eprasa.pl bdab83362d

zjednoczonej RFN. Roth i Rübner ukazują tak naprawdę powód tego oporu Berlina przed reparacjami. To jest w istocie próba rozmycia tej zbrodni w „europejskiej kulturze pamięci", zrelatywizowanie jej, a w konsekwencji utrzymanie nadal ofiar w pozycji upodlonych i powtórnie odartych z godności. Ale my wiemy, że to droga do duchowej katastrofy Europy. Tu tkwi przyczyna, iż Niemcy znów omal nie pchnęły Europy w przepaść. Ale – jak pokazuje wojna na Ukrainie – Niemcy to nadal chory naród, który wypiera i odrzuca realne zadośćuczynienie za dokonane zbrodnie. Roth i Rübner ostrzegają, że rzeczywiste poczucie winy oznacza rzeczywiste naprawienie szkód. Ale zdarzają się wśród nas, Polaków, ci, którzy chcąc pomóc pojednaniu, fałszują diagnozę. Leszek Żyliński twierdzi, że Niemcy „w kolejnych pokoleniach zmieniali się dużo wyraźniej niż polskie społeczeństwo, zamknięte emocjonalnie w kulcie bólu i ofiary" i że dało się zaobserwować „przewartościowanie niemieckich opinii wobec Polaków, co miało związek z autentycznym poczuciem winy za nazistowskie zbrodnie".

Taka jednak postawa nie wspiera wysiłków tysięcy Niemców, którzy podobnie jak Roth i Rübner chcą odbudowy moralnej RFN przez realne zadośćuczynienie ofiarom. Piszą: „My sami staramy się od dziesiątków lat o budowę kultury pamięci na zasadzie samostanowienia. Naszym celem było i jest zachowanie i przekazywanie zbiorowej pamięci o tych, którzy cierpieli pod niemiecką okupacją i stawiali jej opór. Zawsze zdawaliśmy sobie przy tym sprawę z tego, że ich rehabilitacja ma również wymiar materialny. Tylko pod warunkiem, że zbiorowa pamięć o ofiarach nazistowskiego terroru będzie cały czas powiązana z ich prawem do odszkodowania, ówcześni poddani pozbędą się statusu helotów, spotykając się ze sprawcami i zarządcami ich spuścizny na zasadzie równości". To dobrze, że w Niemczech jest coraz więcej ludzi, którzy dostrzegają ową współczesną odmianę barbarzyństwa berlińskich elit. Roth i Rübner bez niedomówień stwierdzają: „Natomiast rozwijana przez centralne instancje w Berlinie »europejska kultura pamięci« pozostawia w ostatecznym rozrachunku nietkniętą asymetrię między ofiarami a sprawcami, spowodowaną przez skrajną okupacyjną przemoc. Ten rodzaj »pojednania« jest protekcjonalny i nieszczery. Usiłuje pozbawić gruntu pod nogami wszystkich tych w Europie i Niemczech, którzy od dziesiątków lat ubiegali się o urzeczywistnienie prawnie uzasadnionych roszczeń odszkodowawczych różnych grup ofiar". Oni rozumieją, dlaczego my, Polacy, nie odpuścimy. Podkreślają, że „kto razem z ofiarami i ich potomkami domaga się świadczeń odszkodowawczych, ten podejmuje próbę zapewnienia im równej pozycji w stosunku do sprawców i ich spadkobierców". Rozumieją to też dzisiaj Ukraińcy, którzy będą konsekwentnie dążyć do tego samego wobec Rosji.

▶ Ofiary nie mogą być po dwakroć pohańbione

Niemcy nie rozumieją, że wyparcie przez nich ze świadomości zbiorowej długu reparacyjnego wobec Polski i innych państw prowadzi do katastrofy najpierw moralnej, a potem politycznej. Odrzucenie tych roszczeń odracza jedynie rosnącą falę nieufności do Berlina. Róża Grafin von Thun und Hohenstein, polska europosłanka Platformy Obywatelskiej, w sierpniu 2017 roku w programie „Bez retuszu", na antenie TVP Info, komentując planszę umieszczoną w Telewizji Republika, powiedziała: „Widziałam dzisiaj grafikę napisaną czcionką jak na bramie wjazdowej do Auschwitz z napisem »Reparationen Machen Frei«. No to ewidentnie znaczy, że mamy w Polsce grupę ludzi, która marzy o tym, żeby zrobić kolejne Auschwitz, ale tym razem Niemcom". Nawoływała, „żebyśmy nie wszczynali kolejnej wojny światowej", domagając się reparacji wojennych. Nawet najbardziej zagorzali niemieccy obrońcy koncepcji „ani grosza" nie dokonali takiej szarży na godność ofiar.

Ale sprawa reparacji rzuca też inne światło na pytanie, na ile Niemcy, w momencie gdy dochodziło do ich zjednoczenia, odrobili lekcję z przeszłości? Ta brudna gra, którą cały czas prowadzili, a której celem było wybić z głowy Polakom żądania o reparacje, kładzie się też głębokim cieniem na ich późniejszą historię. Pozwala również zrozumieć szokujące zachowanie kanclerza Scholza wobec zbrodni dokonywanych przez państwo Putina na Ukrainie. Brudne chwyty, jakie stosował Kohl, przejęła po nim jego wielka protegowana, Angela Merkel. A jej polityczną kuchnię dobrze poznał Scholz, gdy był przez trzy lata głównym filarem jej rządu. Zaledwie dwa dni po napaści Rosji na Ukrainę, 26 lutego, przybył do Berlina polski premier, Mateusz Morawiecki. Stwierdził wówczas: „Przyjechałem, by wstrząsnąć sumieniem Niemiec, by zdecydowali się w końcu na rzeczywiście miażdżące sankcje, które wpłyną na decyzje Kremla, na decyzje Putina, by przestał atakować Ukrainę. (...) Niemcy nie mogą pogrążyć się w zabetonowanym egoizmie, trzeba to zatrzymać, musimy powstrzymać Putina, ponieważ widzimy na horyzoncie kolejną groźbę ludobójstwa". Jak się Niemcy zachowują, obciążeni historią Auschwitz i Treblinki, widzi cała Europa. ■

eprasa.pl bdab83362d

Niemcy rzeczywiście uważają, że pojednanie z Polakami mają dawno za sobą. Wdzięczność za to wyrażają, czysto werbalnie, przy każdej okazji. Ale jest to tzw. kicz pojednania, oparty na klęknięciu Willy'ego Brandta pod pomnikiem Powstania w Getcie. Ofiary niemieckich zbrodni na narodzie polskim, w tym ich dzieci i wnuki, domagają się rozliczenia. Za utracone życie, zdrowie, za wieloletnią pracę na robotach przymusowych, będących formą niewolnictwa, zagrabione mienie: prywatne i publiczne – z prof. ANDRZEJEM PRZYŁĘBSKIM, byłym ambasadorem RP w Niemczech w latach 2016–2022, rozmawia GRZEGORZ WSZOŁEK.

REPARACJE TO REALNE POJEDNANIE. PRZED NIEMCAMI WIELKI TEST

Grzegorz Wszołek

eprasa.pl bdab833362d

Od jak dawna mieszka Pan w Niemczech i jak się Panu Profesorowi żyje w kraju naszego zachodniego sąsiada?

Obecnie, po zakończeniu służby dyplomatycznej, nie mieszkam już w Niemczech. Ostatnio podliczyłem jednak liczbę lat, które tam łącznie spędziłem. I wypadło, że około 18. To prawie połowa mego zawodowego życia! Po raz pierwszy zobaczyłem Bundesrepublikę z perspektywy Heidelbergu – w mym przekonaniu najpiękniejszego miasta w Niemczech. Byłem oczarowany. Miasto, w którym wykładali m.in. Georg F.W. Hegel i Karl Jaspers, ale także mój idol Hans-Georg Gadamer, którego wtedy właśnie poznałem. Był wtedy dokładnie 1987 rok. Wizytę powtórzyłem rok później, wraz z całą rodziną. Do dziś to wspominamy. Żona rozpoczęła naukę języka niemieckiego.

Jak się Państwo poznaliście z obecną prezes Trybunału Konstytucyjnego, Julią Przyłębską?

Na uniwersyteckich zajęciach z języka angielskiego. Rywalizowaliśmy ze sobą, byliśmy najlepsi w grupie. Krótko po dwumiesięcznym, „rodzinnym" pobycie spędziliśmy w Heidelbergu dwa lata (1991–1992), za sprawą stypendium naukowego renomowanej Fundacji Humboldta, które otrzymałem. Dzieci poszły tam do szkół, szybko stając się native speakerami. W trzytygodniowej podróży poznaliśmy całe Niemcy. Byliśmy naprawdę pod ogromnym wrażeniem.

Coś się zmieniło wraz z pełnieniem funkcji dyplomaty?

W 1996 roku MSZ zaproponowało mi pracę w Ambasadzie RP w Kolonii w Wydziale Nauki. I ten pobyt był już inny. Dostrzegłem cały szereg nierozwiązanych problemów między naszymi krajami. Zobaczyłem też osobliwe, mało patriotyczne zachowania polskich delegacji politycznych, które się tam pojawiały. Pełne uniżoności, kompleksów, braku dbałości o narodowe interesy. To wrażenie pogłębiło się, gdy towarzyszyłem żonie, która w latach 2003–2007 była radcą ambasady ds. prawnych, a następnie w roku 2016, gdy objąłem funkcję ambasadora. Nowy, demokratycznie wybrany rząd zaczął być bezwzględnie atakowany przez niemieckie elity. Nie chciano przyjąć do wiadomości, jak źle rządziła krajem poprzednia ekipa. Cały czas słyszałem bzdury o „zielonej wyspie", i to w pouczającym, paternalistycznym tonie, wszystko wiedzącego „wujka".

Niemieckie elity polityczne wyrabiały sobie zdanie o polskich sporach na podstawie przekazów medialnych?

Niemieckich polityków i tamtejsze media utwierdzały w przekonaniach działające tam redakcje polskojęzyczne. Bardzo negatywnie oceniam też pracę warszawskich korespondentów niemieckich mediów. To sformatowani ludzie, nielubiący naszego kraju, nierozumiejący procesu historycznego. Pamiętam, jak na pytanie polskojęzycznej redakcji pewnej berlińskiej rozgłośni, o czym rozmawiałem z prezydentem Joachimem Gauckiem, odpowiedziałem, iż zaoferowałem mu swą wiedzę o tym, co rzeczywiście dzieje się w Polsce. Jaka była reakcja? Media natychmiast zareagowały komunikatem: polski ambasador chce pouczać niemieckiego prezydenta! Podsumowując i nieco upraszczając: Niemcy liczą się z silnymi, zarówno jednostkami, jak i państwami. Uległych, na przykład takich jak Donald Tusk, traktują protekcjonalnie i instrumentalnie.

Jak można opisać Niemców w relacjach z Polską z naszej perspektywy: nieliczący się z interesem naszej części Europy egoiści czy potęga realizująca własną politykę?

Zdecydowanie to drugie, choć to pierwsze – tzn. egoizm narodowy pod płaszczykiem tzw. uniwersalnych wartości, za których eksponenta uważają się Niemcy – w tym wszystkim się zawiera. Niemcy mają – z jednej strony – świadomość swego obecnego stanu: starzejącego się społeczeństwa ludzi zamożnych, ale i coraz bardziej leniwych, a z drugiej – obecnego sukcesu gospodarczego, opartego na eksporcie, a więc na renomie rodzimych towarów. I próbują zabezpieczyć sobie dostatek poprzez przekształcenie Unii Europejskiej w global playera, naturalnie pod własnym przywództwem, może z dodatkiem powolnego sobie Beneluksu. Dodałbym do tego zmieniające się, „sprzedajne" elity innych, mniejszych krajów, które uważają, że nie mogą prowadzić gry politycznej, chroniącej interes własnych społeczeństw.

Od 1 września opinia publiczna żyje nie tylko obchodami wybuchu II wojny światowej, lecz także raportem zespołu pod wodzą posła PiS Arkadiusza Mularczyka. Zatem czy Polsce należą się reparacje? We wrześniu zostanie opublikowany raport strat wojennych. Czego się Pan spodziewa po dokumencie?

W tej sprawie rozmaite „przyjazne Niemcom" gadające głowy wypowiadają różne bzdury, na przykład że zrzekliśmy się reparacji uchwałą, pod którą podpisany jest tylko Bolesław Bierut i która nie była notyfikowana w ONZ ani żadnej innej instytucji. Albo twierdzą, iż wypłaciła nam je Rosja sowiecka. Innym razem mówią, że nie były przedmiotem obrad dotyczących zjednoczenia Niemiec, więc temat jest absolutnie zamknięty, bo Polska zaakceptowała ich rezultat. A prawda jest bardzo prosta: nazistowskie Niemcy (a Bundesrepublika jest następcą prawnym III Rzeszy) zaatakowały i zniszczyły Polskę, mordując wiele milionów ludzi, niszcząc dziesiątki miast i setki wsi, wywożąc fabryki i dzieła sztuki. Nie jest przy tym istotne to, że duża część Polaków wyznawała wiarę mojżeszową. Byli obywatelami Polski, a nie Izraela, bo go wtedy nie było na mapie. I nie jest powiedziane, że gdyby Żydzi w naszym kraju przeżyli, przenieśliby się akurat tam. To po pierwsze. A po drugie: zbrodnie w rodzaju tej, która była udziałem Niemiec, się nie przedawniają. Tak ustaliły wszystkie powszechnie uznane konwencje międzynarodowe.

Pewną formą „zadośćuczynienia" miało być uznanie naszej granicy zachodniej na Odrze i Nysie Łużyckiej, podczas obrad konferencji pokojowych w Jałcie i Poczdamie.

Ilustracja: Fabian Sommer/PAP/DPA

eprasa.pl bdab83362d

Reparacje powinny być, co do zasady, uzgodnione w Traktacie Pokojowym między Polską i zjednoczonymi Niemcami, dużo później. Niemcy starannie unikali jego zawarcia, by uznać umowę „2+4" za swego rodzaju – nieuprawniony – erzac takiego traktatu. Ale Polska nie była jej uczestnikiem. Znane są wiarygodne informacje, pochodzące m.in. od Horsta Teltschika, wówczas doradcy Helmuta Kohla, dotyczące unikania tego tematu przez kanclerza, gdy tylko temat poruszał amerykański prezydent.

▶ Niemcy mają wewnętrzne przekonanie, że naprawili krzywdy Polakom?

Niemcy rzeczywiście uważają, że pojednanie z Polakami mają dawno za sobą. Wdzięczność za to wyrażają, czysto werbalnie, przy każdej okazji. Ale jest to tzw. kicz pojednania, oparty na klęknięciu Willy'ego Brandta pod pomnikiem Powstania w Getcie. Ofiary niemieckich zbrodni na narodzie polskim, w tym ich dzieci i wnuki, domagają się rozliczenia. Za utracone życie, zdrowie, za wieloletnią pracę na robotach przymusowych, będących formą niewolnictwa, zagrabione mienie: prywatne i publiczne. Tylko wtedy prawdziwe, a nie zakłamane pojednanie stanie się możliwe. Świadomość tego powinna wreszcie zaświtać w umysłach niemieckich elit, w tym – polityków. Na razie wolą oni dążyć do zmiany rządu, na taki, który temat reparacji wyciszy, by się go w końcu wyrzec.

▶ Krytycy podnoszenia tematu reparacji wskazują, że najpierw rząd PRL, a potem w początkach III RP formalnie zrzekły się odszkodowań. To nas obowiązuje w świetle prawa międzynarodowego?

Jest oczywiste, że to nie były prawnie obowiązujące zrzeczenia. Pytanie, jak można ich teraz dochodzić. I tu konieczna jest refleksja nad tym, czym jest prawo międzynarodowe. Nie wolno go rozumieć na bazie naszego rozumienia prawa krajowego. Bo ono jest pewną dynamiczną, poprzez casusy rozwijającą się całością. Nie ma bowiem – jak słusznie twierdził Hegel w swej „Filozofii prawa" – efektywnego sądu nad państwami. Czymś takim nie jest nawet ONZ, co widać po jego indolencji w kwestii ukarania Rosji za napaść na Ukrainę. Dlatego to od postawy Niemiec i od polskich dyplomatów, polityków i prawników zależeć będzie, czy znajdziemy rozwiązanie kwestii reparacji. Gdy się ono pojawi, bez dwóch zdań okaże się wkładem do prawa międzynarodowego, z którego będą mogły skorzystać inne państwa, na przykład Namibia, Grecja czy Serbia. I tego Niemcy się również obawiają. Bo to koszty, a więc uszczerbek na dobrobycie. Musimy im jednak uświadamiać, że długofalowy zysk jest nie do przecenienia.

▶ Polski rząd powinien skierować formalną notę do niemieckiego w sprawie reparacji?

Myślę, że tak. Ciekawe, jaka byłaby reakcja rządu niemieckiego – dyplomatyczne milczenie czy dyskretne podjęcie rozmów. Mam nadzieję, że to drugie. Bo strona niemiecka ma żywotny interes w rozwiązaniu tego problemu.

▶ Czy podczas pełnienia przez Pana funkcji ambasadora, temat reparacji pojawiał się w rozmowach z niemieckimi politykami lub dyplomatami?

Tak, ale przyznam szczerze: niezbyt często. Nastawienie niemieckich polityków – poza nielicznymi wyjątkami – było tu tak negatywne, że jako ambasador, który musi przecież zachować ścieżki komunikacyjne z partnerami kraju urzędowania, nie dręczyłem ich tym tematem. Tym bardziej, że zespół sejmowy dopiero rozpoczął swe prace i nieznane były efekty jego prac. Ograniczałem się więc do stwierdzenia, że – po pierwsze – Niemcy zdewastowali nasz kraj, należą się zatem z tego powodu odszkodowania, oraz – po drugie – reparacje popiera większość społeczeństwa polskiego, co przekłada się na to, że rząd musi się tym zająć. Nie ma wyjścia, jeśli nie chce stracić poparcia społecznego. Chciałem w ten sposób dokonać legitymizacji działań grupy parlamentarnej. Przypominam sobie reakcję pewnego znanego niemieckiego polityka, z partii poprzednio rządzącej, gdy podczas kolacji na cześć ważnego ministra z Polski pojawiła się kwestia reparacji. Powiedział, że w jego okręgu wyborczym zareagowano na to oburzeniem, przypominając stratę na rzecz Polski „olbrzymich terytoriów". Oczywiście nikt z nich nie wie, że wskutek rozpoczętej przez nich wojny my straciliśmy dużo więcej. Poza tym, nie była to żadna forma rekompensaty ze strony Niemiec, lecz decyzja zwycięskich aliantów, w tym ZSRS.

▶ Dlaczego Niemcy nie chcą płacić reparacji Polsce? Jaką dysponują wykładnią?

Zasłaniają się bardzo słabą opinią Biura Prawnego Bundestagu, wedle której Polska skutecznie i wielokrotnie zrzekła się reparacji. Właściwe powody są jednak dalece inne. Uważają po pierwsze, że to zrujnuje ich budżet. Niesłusznie, bo uzgodnione płatności można by rozłożyć – jak w przypadku I wojny światowej – na wiele lat. A po drugie, boją się, że otworzy to „puszkę Pandory". Oni woleliby – i ciągle to zgłaszają – utworzyć jakiś fundusz dla młodzieży, działający dla „lepszej przyszłości". Tylko że takie fundusze i programy już istnieją, poczynając od Polsko-Niemieckiej Współpracy Młodzieży. Po co to powielać? By niemieccy wychowawcy formatowali naszą młodzież postmodernistyczną ideologią? A rzeczywisty skutek wypłaty reparacji byłby zupełnie inny: dokonałoby się właściwe pojednanie między naszymi narodami. Poprzez środki na odbudowę zniszczonej wtedy infrastruktury albo na leki i odszkodowania dla osób poszkodowanych – fizycznie, psychicznie, materialnie – przez narodowosocjalistyczne Niemcy.

▶ Niemcy wypłacały już w przeszłości odszkodowania. Przykładem jest choćby Grecja, która do dzisiaj stawia sprawę na ostrzu noża – uważając, że 115 mln marek niemieckich

eprasa.pl bdab83362d

wypłacone w 1960 roku to zbyt niska kwota. Francja i Belgia to kolejne kraje, którym RFN wypłacał odszkodowania na mocy postanowień układu wersalskiego po I wojnie światowej. Procedura trwała do 2010 roku. Zadośćuczynienie przyznano Żydom, którym udało się przeżyć pogrom w Jassach na terytorium Rumunii. Czyli jednak się da?

Zgadzam się, ma pan rację. Po I wojnie światowej sytuacja była klarowna, 12 lat temu Niemcy zakończyły proces wypłaty reparacji za spowodowane zniszczenia. Co do Izraela – obowiązywała umowa luksemburska, podpisana z rządem RFN w 1952 roku. Tyle że wspomniany kraj nie był uczestnikiem wojny, dlatego nie mówimy tu o reparacjach – te dotyczą relacji międzypaństwowych, a odszkodowania – stosunków na linii państwo-obywatel. W ramach tej umowy Żydzi otrzymywali odszkodowania, choć oczywiście nie rekompensowały one w żadnym stopniu Zagłady. Nie ulega wątpliwości, że te przykłady świadczą o tym, że warto, by Polska zabiegała o reparacje.

▶ Jakie znaczenie ma dla Niemców polityka historyczna? Bo niewątpliwie to ona jest miernikiem sukcesów na arenie międzynarodowej. Berlin skutecznie zrzucił jarzmo hitleryzmu w powszechnym odbiorze, mimo że przecież nie wszyscy hitlerowscy zbrodniarze zostali rozliczeni, a w dodatku część elit politycznych wywodzi się z rodzin dobrze funkcjonujących w systemie narodowego socjalizmu.

Polityka historyczna ma w Niemczech olbrzymie znaczenie. Niemcy wiedzą, że bez zmazania plamy, jaką była II wojna światowa, ich obecność na światowych rynkach stałaby się trudna. Ludzie nie będą kupować towarów wyprodukowanych przez naród Hitlera, który się nie zmienił. Dlatego zaraz po wojnie, a nawet pod sam jej koniec, rozpoczęli działania wybielające i relatywizujące ich winę. Zaczęli wtedy tworzyć fałszywą narrację w rodzaju: „wszyscy Europejczycy mieli dość Żydów i chcieli się ich pozbyć. Niemcy jedynie wykonali to, czego wszyscy pragnęli". Pokazywali też olbrzymią, pacyfistyczną i demokratyczną przemianę, która jakoby się tam dokonała. Poprzez przekazanie ogromnych środków dla państwa Izrael izraelscy naukowcy – o czym pisał Norman Davies – zamiast „Niemcy" zaczęli mówić „naziści", narzucając to innym. A stąd już tylko krok do szukania nazistów w innych narodach. Rządzącym w RFN było też bardzo na rękę, że żelazna kurtyna powstała po wojnie doprowadziła do ukarania tylko nielicznych funkcjonariuszy systemu faszystowskiego, co umożliwiło odbudowanie państwa na bazie setek tysięcy urzędników uwikłanych w niemniej niecne czyny – cnotliwych ojców rodzin, którzy bez skrupułów pacyfikowali polskie wsie czy wrzucali do ognia żydowskie dzieci w Warszawie.

Wywołałem zdziwienie, gdy podczas swego pierwszego publicznego wystąpienia jako nowy ambasador, podczas otwarcia wystawy na temat wspaniałej odbudowy Warszawy, poprosiłem Niemców o zadanie sobie dwóch fundamentalnych pytań: kim byli ich ojcowie, którzy dokonali bestialskiego zniszczenia naszej stolicy po upadku Powstania, oraz czy odnajdują w sobie dziś coś z tej mentalności? Odwołałem się przy tym do idei „nadczłowieka", autorstwa ich czołowego filozofa, Fryderyka Nietzschego.

Niemiecka polityka historyczna jest staranna i dobrze przemyślana. Chodzi w niej o relatywizację winy narodu niemieckiego jak całości, zrzucenia jej na Hitlera i jego pomagierów, którzy jakoby spacyfikowali naród. Hasło dla takiej interpretacji dał prezydent Richard von Weizsaecker, mówiąc, że Niemcy w 1945 roku zostali wyzwoleni. Nie pokonani, lecz wyzwoleni! Miałem mieszane odczucia, gdy trzy lata temu odsłaniałem w Berlinie ufundowaną przez Niemców tablicę poświęconą oddziałom armii gen. Zygmunta Berlinga, „wyzwalającym" dzielnicę Charlottenburg.

Niemcy próbują także wpływać na polską politykę historyczną. Wszystkie znane mi media niemieckie zaatakowały zmianę koncepcji Muzeum II Wojny Światowej i odwołanie ówczesnego dyrektora. Nie jest przypadkiem, że Donald Tusk, absolwent historii, nie promował zwiększenia godzin jej nauczania w szkołach. Nie jest przypadkiem, że dyrektorem Europejskiego Centrum Solidarności jest jego dobry znajomy, Basil Kerski, zamieszkały z rodziną w Berlinie. Jest także redaktorem naczelnym pisma „Dialog", którego współfinansowania odmówiło przed laty nasze MSZ – z uwagi na jednostronność, stronniczość i brak zrozumienia oraz akceptacji dla politycznej zmiany w RP. I tak oto w „Dialogu" Niemcy dialogują z samym sobą, nie szczędząc środków na tę parodię. To samo dotyczy tworzenia przez nich stowarzyszeń polonijnych, których celem jest zwalczanie głównej patriotycznej organizacji, tzn. świętującego właśnie 100-lecie istnienia Związku Polaków w Niemczech.

▶ Trwa dyskusja na temat federalizacji Unii Europejskiej pod przewodnictwem Berlina. Kanclerz Olaf Scholz dąży do zniesienia zasady jednomyślności w Radzie UE, a zamiast tego proponuje głosowanie większościowe. Czy plan rządu niemieckiego się powiedzie?

Obawiam się, że są na to szanse. Dlatego zadaniem Warszawy, ale i innych stolic z krajów Europy Środkowo-Wschodniej, państw bałtyckich, jest głośny sprzeciw. Plan federalizacji oznacza utratę wpływów przez mniejsze państwa Unii Europejskiej, przy zwiększeniu dominacji Berlina. Powinniśmy mocno zabiegać o to, by pomysł niemieckiego rządu nie wszedł w życie.

▶ Jak wskutek tych nowych, ambasadorskich doświadczeń ocenia Pan politykę niemiecką?

Nie ukrywam ogromnego rozczarowania. Liczę jednak na otrzeźwienie. Prawdziwą europejskość, zapisaną w TUE, a nie próbę budowania niemieckiego imperium. Bo to się źle dla Europy skończy, tego jestem pewien. Nawet jeśli ta destrukcja trochę potrwa. Polska musi budować swą siłę, w rozmaitych aspektach, aby jako równorzędny partner skłonić Niemców do rozwagi. Zapewniam, że są w Niemczech ludzie, którzy szanują Polskę, doceniają naszą obecną politykę i widzą w nas prawdziwych obrońców Europy i idei europejskiej. ■

eprasa.pl bdab83362d

Jak dziś, po ponad 80 latach od wybuchu II wojny światowej, kształtuje się pamięć Niemców o tamtym czasie, jego ofiarach, zbrodniach, samych oprawcach? Czy w Niemczech naprawdę „usiłuje się o wojnie zapomnieć", czy jest to jedynie zideologizowana, sprowadzona do poziomu powierzchownej oceny teza nieoddająca istoty mocowania się z niechlubną przeszłością? Faktem jest, że niemiecka kultura pamięci z generacji na generację zaciera się, bywa wybiórcza, a z polskiego punktu widzenia – dodatkowo krzywdząca, ale ona istnieje i do dziś jest czymś, co Niemców jako naród określa, ogranicza, ale – co chyba najciekawsze - również daje asumpt do osobliwego poczucia wyższości.

Olga Doleśniak-Harczuk

TAKTYKA ODROBIONEJ LEKCJI JUŻ NIE WZRUSZA

eprasa.pl bdal

FOT. WIKIPEDIA

Im więcej czasu dzieli nas od holokaustu, tym trudniej niemieckiemu społeczeństwu zachować pamięć o minionych wydarzeniach. Do zwiększenia emocjonalnego dystansu względem czasu II wojny światowej przyczynia się dodatkowo wymieranie świadków historii, zarówno ofiar, jak i sprawców. To wszystko nie tylko prowadzi do tego, że wspomnienia są spychane na obrzeża pamięci, ale do samego kwestionowania potrzeby zachowanie pamięci jako takiej. Jednocześnie obserwujemy wzrost antysemityzmu i nawrót dawnych wzorców argumentacyjnych. I w tym kontekście odbywa się dyskusja o przyszłości naszej kultury pamięci" – czytamy we wstępie do wydanej w tym roku książki „Erinnerungskultur und Geschichtsbewusstsein" (Kultura pamięci i świadomości historii, Brandes&Apsel Verlag GmbH, Frankfurt a. M, 2022). Autorami książki są: Petra Kunik, pierwsza przewodnicząca Towarzystwa Współpracy Chrześcijańsko-Żydowskiej we Frankfurcie, ksiądz Rolf Glaser, zastępca w katolickim dekanacie frankfurckim, i Susanna Faust-Kallenberg, pastor specjalizująca się w zagadnieniach dialogu międzyreligijnego. Z publikacji dowiadujemy się o inicjatywach edukacyjnych w obrębie Frankfurtu, które mają na celu propagowanie pamięci o Holokauście i niemieckich zbrodniach II wojny światowej. Są to w większości projekty realizowane na terenie całych Niemiec, tj. „Zeitzeugenprogramm", czyli spotkanie młodzieży szkolnej z ocalałymi z obozów koncentracyjnych i gett, część tych spotkań odbywa się również w Polsce, ze wsparciem Dzieła im. Maksymiliana Kolbego.

Drugim sztandarowym projektem, również ogólnoniemieckim, są „Stolpersteine" – kostki brukowe będące swoistymi, miniaturowymi tablicami pamięci o ofiarach narodowego socjalizmu związanych z daną ulicą, placem, budynkiem. Inicjatorem wdrukowywania w bruk tych pokrytych mosiądzem, a zatem wyróżniających się kostek jest berliński artysta Kurt Demnig, który od 1996 roku do tej pory zaprojektował 75 tys. takich kamieni pamięci. Ich zasięg zresztą już dawno przekroczył granice Niemiec, tworząc coś w rodzaju zdecentralizowanego pomnika ofiar II wojny światowej. Kamienie Demniga można spotkać, a raczej – można się o nie potknąć – w 24 państwach Europy. Ostatnio natknęłam się na takie kamienie w Brunszwiku, przy Helmstedter Str., gdzie z kilku ułożonych jedna przy drugiej błyszczących kostek można wyczytać historię żydowskiej rodziny Frenkelów. Z tego miejsca jest tylko 200 metrów do miejsca ostatniego spoczynku 149 dzieci polskich robotnic przymusowych, z których większość umarła wskutek śmierci głodowej i chorób, odebrane matkom, umieszczone w dusznych salach tzw. szpitalika dziecięcego. Tam, na brunszwickim cmentarzu mosiężne kostki zastępują białe krzyże i wyryte na nich imiona polskich dzieci.

▶ Zbiorowa niewinność

Wracając do pamięci niemieckiej – autorzy wspomnianej wcześniej książki utrzymują, że zainteresowanie II wojną światową szczególnie silnie objawia się w trzecim pokoleniu, padają też nazwiska konkretnych niemieckich autorów, którzy na nowo kreślą historię własnych rodzin w kontekście ich uwikłania w narodowy socjalizm. Jedną z ciekawszych autorek tego nurtu jest mieszkająca w Stanach Zjednoczonych Nora Krug, rocznik '77, która swoje przemyślenia związane z ciężarem winy i odpowiedzialności za zbrodnie II wojny światowej zawarła w książce-kolażu „Heimat. Ein Deutsches Familienalbum" z 2018 roku (Ojczyzna. Niemiecki album rodzinny]. Jej książka w istocie graficznie przypomina album rodzinny, tyle że dopełniony materiałami wyszperanymi z archiwów, jest to udany mariaż komiksu z dokumentem. – Największym niebezpieczeństwem, jakie czyha na autora takiego projektu, jest pokusa sentymentalizmu i przedstawienia Niemców jako ofiar. Tego nie wolno nam zrobić, trzeba być wyjątkowo ostrożnym – przyznała w jednej z rozmów Nora Krug. Czytając książkę, nie ma się wrażenia, że Krug uległa tej pokusie, widać mrówczą prasę dziennikarską, ilustratorską i redakcyjną. Widać coś jeszcze – świat przeżyć samej autorki, która nie miała śmiałości lub okazji zapytać swoich dziadków i wujków, co robili w czasie wojny, a później odnajduje ich historie w archiwach amerykańskiej strefy okupacyjnej, spisane ich własnymi piórami wiecznymi. I nie są to treści przyjemne.

Inną wartą uwagi autorką jest Alexandra Senfft, wnuczka Hansa Ludina, skazanego w 1947 roku za zbrodnie wojenne. Senfft w 2007 roku wydała książkę „Schweigen tut weh. Eine deutsche Familiengeschichte" (Milczenie boli. Niemiecka historia rodzinna), która była próbą rozliczenia się z upiorami przeszłości, z kultem „dobrego nazisty" pielęgnowanego przez jej babcię, z psychologicznymi skutkami milczenia o zbrodniach. Kiedy ta książka się ukazała, w kilku recenzjach powtarzał się wątek pewnej reprezentatywności historii opowiedzianej przez Senfft dla milionów niemieckich rodzin. Rodzin, w których unikano rozmów o udziale dziadków i ojców w machinie narodowego socjalizmu albo z poczucia lojalności wybielano ich jako wspomnianych „dobrych nazistów". Z czasem ta lojalność przechodziła w poczucie krzywdy i niesprawiedliwości, w ten sentymentalizm, przed którym przestrzegała Nora Krug, ale dodatkowo przyprawiony poczuciem, że Niemcy już wystarczająco przepracowali swoją historię. Ten fenomen również doczekał się kry-

eprasa.pl bdab83362d

tyków. W ostrych słowach odniósł się do niego politolog Samuel Salzborn (Kollektive Unschuld. Die Abwehr der Shoah im deutschen Erinnern, Hentrich & Hentrich, Leipzig, 2020 – Kolektywna Niewinność. Wypieranie Szoah z niemieckiej pamięci, w Polsce książka ukazała się nakładem Instytutu Pileckiego w tłum. Kamila Markiewicza), polemizując z przekonaniem, że Niemcy odrobili lekcję historii i poczuwają się do odpowiedzialności za zbrodnie swoich przodków. Salzborn uważa, że jest wręcz odwrotnie, a Niemcy uprawiają mitologię zbiorowej niewinności. W eseju dla tygodnika „Der Spiegel" z marca 2020 roku Salzborn pisał wprost: „Przekonanie, że Niemcy przepracowali swoją przeszłość, to nic innego jak największa fikcja Republiki Federalnej. Mała, wykształcona, lewicowo-liberalna elita uważa za zjawisko społeczne coś, co istnieje jedynie w dyskursie intelektualnym, ale jest szczątkowo zakotwiczone w ogólnej przestrzeni społecznej – i jest teraz nawet z większym niż kiedykolwiek uporem wypierane: mowa o przepracowaniu nazistowskiej przeszłości, odejściu od mitu ofiary, konfrontacji z antysemickimi sprawcami – czyli o tym, co występuje praktycznie we wszystkich historiach rodzinnych Republiki Federalnej". Zdaniem Salzborna, „zabetonowywanie" niemieckiej historii związanej z narodowym socjalizmem odbywa się m.in. poprzez uwypuklanie historii „niemieckich wypędzonych", co często instrumentalizowano do relatywizowania historii, a co wzmocniło trend stylizowania się Niemców na ofiarę tej wojny.

Abstrahując od eseju Salzborna, warto sięgnąć do źródeł niemieckich z przełomu lat 40. i 50. XX wieku, gdzie krystalizowało się późniejsze podejście niemieckich elit do kwestii poczucia winy za zbrodnie wojenne i związaną z nią odpowiedzialność i powinność zadośćuczynienia. Dla CDU sprawa nie miała priorytetowego znaczenia, a wielu członków chadecji sprzeciwiała się odszkodowaniom dla ofiar III Rzeszy, tocząc spór z samym kanclerzem Adenauerem, który chcąc nie chcąc musiał wejść w dialog o odszkodowaniach, by zakotwiczyć Niemcy w zachodniej strefie wpływów. Podsumowując, wydźwięk książki o kulturze pamięci Kunik, Glasera i Faust-Kellenberg: niemiecka pamięć o wojnie rozgrywa się dziś między dwoma filarami. Pierwszym jest nurt rozliczeniowy uprawiany przez autorów trzeciego pokolenia Niemców względem własnych rodzin, coś na kształt drążenia ran ojców przez przedstawicieli pokolenia '68, tyle że bez policzkowania „starych nazistów" i wolty ulicznej. Dziś rozliczenie przebiega spokojnie, popkulturowo, niechcący... pogłębiając jednak (zapewne wbrew intencjom autorów) w czytelniku poczucie niesprawiedliwości wynikające z przymusu przepraszania za winy swoich dawno nieżyjących dziadków czy pradziadków. Bo nawet jeżeli te rozliczeniowe albumy rodzinne mają na poły charakter przepracowania win pokoleniowych, to zawsze wedrze się nutka niezawinionego płacenia za cudze grzechy. I sprzeciw podpowiadający: „Basta! Przecież to nie ja kreśliłem swastyki na murach".

Drugim filarem polityki pamięci jest smaganie Niemców, uświadamianie im fasadowego charakteru deklarowanego żalu, podpiłowywanie fundamentów, na których przez dekady ustawiali scenografię do przedstawienia pod tytułem „odrobiliśmy lekcję, to teraz możemy was uczyć". Czy jest coś pomiędzy? Owszem. Na styku tych światów mamy inicjatywy i wydarzenia łączące je w jedną całość. Chociażby często i sprawnie organizowane wystawy czasowe poświęcone konkretnym odsłonom życia w III Rzeszy. W listopadzie ubiegłego roku na łamach „NP" pisaliśmy o wystawie w Deutsches Historisches Museum „Die Gottbegnadeten – Artyści Nietykalni". Można było na niej zobaczyć dzieła rzeźbiarzy, malarzy i architektów, którzy z dworu Adolfa Hitlera suchą stopą przeszli na salony Republiki Federalnej Niemiec. Latem w tym samym muzeum gościła ekspozycja poświęcona Richardowi Wagnerowi i „niemieckiemu uczuciu", sprowadzona do mieszanki szalonego – lecz przez to tym bardziej pociągającego – geniuszu, antysemityzmu, pompatycznej maniery i nadciągającej z impetem Walkirii katastrofy narodowego socjalizmu. Również tę wystawę opisywaliśmy w miesięczniku. Poza przerabianiem zbrodni III Rzeszy w kulturze i książce, w dalszym ciągu przerabia się ją w świecie nauki. Zapoczątkowany w 2017 roku przez władze Max Planck Institut projekt ustalania tożsamości osób, których fragmenty mózgów posłużyły nazistowskim patologom i naukowcom do tworzenia preparatów medycznych, miał zakończyć swoje prace w 2020 roku. Mamy rok 2022, a naukowcom do tej pory nie udało się zbadać wszystkich preparatów odkrytych w czeluściach niemieckich instytutów. Co prawda powstał już raport częściowy, ale na ten ostateczny trzeba będzie poczekać prawdopodobnie do 2025 roku. O tym projekcie również piszemy od chwili wszczęcia jego prac, ponieważ wśród rzeczonych preparatów znalazły się fragmenty mózgów kilkuset cywili z okupowanej przez Niemców Polski, głównie ludności żydowskiej z gett, ale i polskich pracowników przymusowych. Większość z nich zginęła na terenie okupowanej Polski, ale odnotowano przypadki pobrania organów od Polaków straconych w więzieniach niemieckich, przy czym egzekucji dokonano ze szczególną starannością, by nie naruszyć pożądanych przez niemieckich lekarzy tkanek. Pamięć o zbrodniach wojennych i o ludziach systemu hitlerowskiego, o jego oddanych artystach, naukowcach jest zatem podtrzymywana, a nawet podawana w coraz bardziej atrakcyjnej formie wystawienniczej.

eprasa.pl bdab83362d

W przypadku projektu nad badaniem preparatów naukowych sprawa jest o tyle istotna, że pozwala odkryć białe plamy zbrodni wojennych, dzięki pracy naukowców wiele rodzin w Europie i Izraelu będzie mogło pochować szczątki swoich bliskich.

Czy wolno mi jeszcze kochać dziadka?

W ubiegłym roku w Niemczech ukazała się jeszcze jedna warta uwagi książka dotycząca kultury pamięci. Było to niemieckie tłumaczenie książki profesora Rogera Frie z Simon Fraser University, „Nicht in meiner Familie. Deutsches Erinnern und die Verantwortung nach dem Holocaust" (Nie w mojej rodzinie. Niemiecka pamięć i odpowiedzialność po holokauście, Brandes&Apsel). Profesor Frie urodził się w Kanadzie jako potomek niemieckich emigrantów, a w swojej książce odkrywa tajemnice trzech pokoleń swojej rodziny, prowadząc narrację na kanwie osobistych doświadczeń, a nawet samego siebie traktując jak przedmiot badań nad zbiorową pamięcią Niemców. Z książki wyłania się obraz spotkań z dziadkiem i wielogodzinnych opowieści z czasu wojny, z pierwszoplanowym strachem Niemców przed bombami zrzucanymi przez aliantów, ale wyzute z historii faktycznych ofiar wojny. Jakby ich nie było. „Niemieckie cierpienie" podano jako główną oś wydarzeń, wyrwane z kontekstu. A potem odkrycie, że dziadek wstąpił do NSDAP i pytanie: „Czy wolno mi takiego dziadka jeszcze kochać?". Podobnie jak w książce Kunika, Glaser i Faust-Kellenberg, zadawaniem niewygodnych pytań zajmują się reprezentanci trzeciego pokolenia, przy czym ci z drugiego pokolenia, matki i ojcowie, są portretowani jako depozytariusze kompromisu: „Nie będziemy was o nic pytać, by nie podawać w wątpliwość naszej lojalności względem was, ale również by nie pozbawić się poczucia wartości zbudowanej na waszej sile". I tu pojawia się rozdźwięk między garstką jednak (choć hałaśliwą) studentów '68 zmuszających swoich rodziców do rozliczeń z nazistowskiej przeszłości a młodzieżą spoza ośrodków akademickich, przywiązaną do tradycyjnych struktur i hierarchii, gdzie dla własnego spokoju nie kwestionuje się zastałego porządku. Zwłaszcza rodzinnego. I nie jest to bynajmniej przytyk do konserwatywnego modelu życia dezawuujący go jako utwardzającego kulturę niepamięci, lecz prawidłowość zachodnioniemieckich realiów społecznych lat 60.–70. XX wieku.

Czytając książkę Rogera Frie, jesteśmy prowadzeni przez autora od punktu A, w którym jako obywatel świata nie czuje na sobie ciężaru niemieckiej winy, do punktu B, kiedy świadomość, że przynależność do narodu, który jednak świat zdemolował, wypala piętno, naznacza. Frie jako wykładowca, historyk, ale i psychoanalityk patrzy na swój rodowód i przodków w sposób uczciwy, nie zasłania się jak Jörg Friedrich (autor słynnej książki „Der Brand" '2002' – „Pożar" o bombardowaniu niemieckich miast przez aliantów) argumentem nieproporcjalności działań aliantów do zamierzonych celów, nie pisze o bunkrach przeciwlotniczych „niczym krematoria", nie balansuje na cienkiej linie, porównując niemieckie ofiary cywilne z ofiarami Holokaustu. Frie opowiada historie. Takie jak ta z dzieciństwa o tym, jak rodzice zabierali go czasem do Europy, a niemiecki wujek, właściciel firmy budowlanej w Berlinie, lubił go przedstawiać jako „bratanka z Kanady". I pewnego dnia znalazł się w domu jednego z klientów wujka, Niemca, bardzo miłego zresztą. Frie zapytał starszego pana o zdjęcia U-Boota powieszone na ścianie. Okazało się, że gospodarz podczas II wojny światowej był kapitanem łodzi podwodnej zatopionej u wybrzeży Atlantyku. Frie wspomina, jak nagle starszy pan zmieniwszy ton, wycelował palec w jego klatkę piersiową i wycedził: „To wy mnie zatopiliście", mając na myśli Kanadyjską Marynarkę Wojenną. Frie poczuł się nieswojo. A z czasem krok po kroku odkrywał historię własnej rodziny, narodu, a jako psychoanalityk dodatkowo konfrontował się z pacjentami, którzy na wieść, że pochodzi z Niemiec, reagowali lękiem i odmawiali terapii pod jego okiem. Ta książka ma w sobie bogactwo opowieści pozwalającej spojrzeć w sam środek psychicznego rozedrgania ludzi takich jak jej autor. Łączy osobiste przeżycia autora z losami świadków historii, z wydarzeniami politycznymi tworzącymi poniekąd ramy narracyjne, z komentarzami na temat przyjętych w Niemczech form upamiętnienia własnej winy. Ciekawy jest fragment poświęcony projektowi „Stolpersteine". Frie wyjaśnia (książka trafiła najpierw na rynek anglojęzyczny, więc autor tłumaczy w niej też pewne kwestie dla niemieckiego czytelnika oczywiste), na czym polega idea mosiężnych kostek brukowych, że spełniają funkcję informacyjną i uświadamiającą, ale zaznacza również, że kostki nie każdemu kojarzą się z godnym upamiętnieniem ofiar i na przykład Charlotte Knobloch, prominentna reprezentantka żydowskiej społeczności w Niemczech, krytykowała projekt, argumentując, że „to niedopuszczalne, by przechodnie stąpali po kostkach z wyrytymi nazwiskami żydowskich ofiar". Frie nie podziela tej opinii. Uważa tę formę upamiętnienia za skłaniającą do poszukiwań. I coś w tym jest. Trafiając na taką kostkę, niejeden przechodzień zadaje sobie pytanie, kim był ten, którego upamiętniono. Tak zaczęła się niejedna podróż w poszukiwaniu źródeł. Obce nazwisko nagle zyskuje twarz, zawód, głos. O to chyba powinno chodzić w pamięci, by wciąż szukać, nie ustawać, nie za-

eprasa.pl bdab83362d

mrażać jej, zadowalając się kilkoma formułkami i okazjonalnym wzruszeniem. Pamięć to praca.

Co zaś dotyczy zarzutu Charlotte Knobloch, mogę dodać tylko tyle, że w Muzeum Żydowskim w Berlinie zwiedzający mogą stąpać po 10 tys. żelaznych twarzy ułożonych warstwa po warstwie i wydających z siebie przy każdym poruszeniu metaliczny chrzęst. Instalacja zatytułowana Schalehet (opadłe liście) symbolizuje żydowskie ofiary wojny, jej autorem jest Menashe Kadishman, uznany izraelski artysta. Mało która forma upamiętnienia Holokaustu zrobiła na mnie takie wrażenie jak chrzęst tych metalowych krążków rozchodzący się w wysokich wnętrzach berlińskiego muzeum. Akustyka robi swoje. Podobnie jak krzyki w jidysz przeplatane z antysemickimi hasłami po niemiecku, z którymi skonfrontowano zwiedzających wystawę wagnerowską w Berlinie, zamykając ich z tą kakofonią po kilka osób w ciemnym, małym pomieszczeniu. Muzealna terapia szokowa. I faktycznie niejedna osoba wyskakiwała jak oparzona z tego seansu krzyku. A jednak to drastyczne, najbardziej sugestywne metody zmuszenia odbiorcy do refleksji bywają najbardziej skuteczne, grają obrazem i dźwiękiem, poruszając struny, których być może dotąd nikt nie tykał. W książce kanadyjsko-niemieckiego profesora pojawia się też teoria, że do Niemców wychowywanych w atmosferze relacji wojennych, gdzie nikt nie stał po złej stronie mocy, a wszyscy czekali na uderzenie bomby, taki przekaz jest bardziej autentyczny niż opracowania dotyczące faktycznych ofiar wojny. Język emocji staje w kontrze do języka podpartego badaniami i świadectwami. Być może jest to jakieś wyjaśnienie, ale z drugiej strony trąci uproszczeniem i może nawet podświadomą próbą usprawiedliwiania lenistwa intelektualnego.

Albo konkret, albo nic

Niezależnie od przyjętej perspektywy, kultura pamięci w Niemczech jak najbardziej istnieje, ale nie jest monolitem. Zmienia się z pokolenia na pokolenie, podczas gdy jedne fakty są wypierane, inne zyskują – jakkolwiek brutalnie by to zabrzmiało – na atrakcyjności. Kto obejrzał teledysk Rammsteina „Deutschland", rozumie, w czym rzecz. Forma ma znaczenie, determinuje nośność przekazu. Z perspektywy Polski i tego, jak wyobrażamy sobie wzorową politykę pamięci w Niemczech, taką, która uwzględniałaby polską krzywdę, polskie ofiary, ale i generowała poczucie odpowiedzialności za popełnione zbrodnie, sprawa nie wygląda dobrze. Niemcy wiedzą zazwyczaj, że II wojna światowa zaczęła się od napaści na Polskę, ale zarówno świadomość niszczycielskiego planu Hitlera względem samych Polaków, ich poświęcenie i ryzyko związane z ratowaniem ludności żydowskiej, jak i bohaterstwo Powstania Warszawskiego to wiedza zarezerwowana dla garstki.

Jest taka książeczka dla dzieci i młodzieży „Deutsche Geschichte" (Niemiecka historia) autorstwa Manfreda Maia, popularnego autora książek dla dzieci. Książeczkę można nabyć w większości księgarń i sklepików muzealnych, jest chętnie kupowana przez rodziców z uwagi na przystępną treść i bogatą szatę graficzną. W rozdziale poświęconym II wojnie światowej autor pisze o prześladowaniu i eksterminacji ludności żydowskiej, romskiej i homoseksualistów. Polska pojawia się wyłącznie jako jedna z aren toczącej się wojny. Nie chodzi o licytowanie się na ofiary, lecz pełny obraz niemieckiej zbrodni, który w Polsce jest powszechnie znany. W Niemczech nie. A bez informacji o zbrodniach na Polakach, rzezi Woli, celowej eksterminacji polskich elit, karze śmierci za ratowanie ludności żydowskiej, pacyfikacji Powstania Warszawskiego, rabowania z okupowanej Polski dzieł sztuki, paleniu bibliotek, głodowej śmierci ojca Maksymiliana Kolbego – młody Niemiec tego pełnego obrazu mieć nie może. A jako dorosły człowiek nie zrozumie, dlaczego tyle lat po wojnie Polska wciąż uważa rachunek krzywd za otwarty i będzie się dopatrywał w słusznych skądinąd roszczeniach reparacyjnych znamion niecywilizowanego pieniactwa. I to jest ten punkt, kiedy polityka pamięci Niemiec zderza się z prawdą historyczną wypieraną z niemieckiej przestrzeni publicznej, ale i te okoliczność można umiejętnie wykorzystać.

Jeżeli mające powstać w Berlinie miejsce pamięci o polskich ofiarach II wojny światowej ma spełnić swoją funkcję symboliczną i edukacyjną, musi zostać podparte zadośćuczynieniem finansowym. Inaczej stanie się pustym gestem, ładnym i długo wyczekiwanym, lecz pustym. Pytanie, czy po naszej stronie znajdą się żelazne argumenty. Czy przez ostatnie kilka lat wykorzystano doświadczenia innych państw lub osób prywatnych zabiegających o zadośćuczynienie od państwa niemieckiego dla zbudowania mądrej strategii (vide: casus Grecji, Namibii, ale i tak z pozoru odległej sprawy, jak ta z roszczeniami wysuwanymi przez rodziny izraelskich sportowców zamordowanych w 1972 roku w Monachium, w trakcie olimpiady, przez terrorystów z Czarnego Września). Strategii nie opartej na emocjach, lecz silnej swoją warstwą merytoryczną i prawną, uwzględniającą wszystkie ewentualne scenariusze i wyczuloną na wybiegi drugiej strony zaprawionej w tego typu sporach jak mało które państwo świata. Tylko że tu na nikim nie zrobią wrażenia twitterowe wygrażania „lokalnych kozaków". Albo będzie konkret, albo nie będzie nic. ■

eprasa.pl bdab83362d

Ryszard Czarnecki

CASUS NAMIBII, WĘGIER, POLSKI. I ILE?

Dla Berlina zasada przedawnienia czy braku podstaw merytorycznych do niemieckich reparacji obowiązuje tylko wobec Polski.

Sławomir Mrożek w swym ironicznym „Liście otwartym do sekretarza generalnego ONZ" napisał: „Polacy to też Murzyni, tylko biali". Słowa polskiego pisarza zmarłego w Nicei (15 sierpnia obchodziliśmy 9. rocznicę jego śmierci) pasują jak ulał do sprawy niemieckich reparacji dla Polski. Oto bowiem po paru dekadach zgłaszania roszczeń i siedmiu latach formalnych negocjacji Namibia wywalczyła 1,1 mld euro za niemieckie ludobójstwo ludów Herero i Nama dokonane w latach 1904–1908 w tej ówczesnej niemieckiej kolonii w Afryce Południowo-Zachodniej. Charakterystyczne, że Berlin za wszelką cenę unikał określenia, że są to „reparacje" czy „odszkodowania wojenne". Uznano to za „pomoc rozwojową". Berlin obawiał się, że stanie się ofiarą swoistego efektu domina: oficjalne uznanie, że środki przekazano Namibii z tytułu reparacji, spowodować mogło uzyskanie kluczowego argumentu w staraniach Polski, Grecji czy Włoch.

Śmierć minimum 85 tys. ludzi nasi zachodni sąsiedzi wycenili na miliard sto milionów euro . W przeliczeniu daje to 12 941 tys. euro za jedno ludzkie życie. Gdyby posłużyć się takim „przelicznikiem" wobec Polski, oznaczałoby to, że Rzeczpospolita powinna otrzymać za śmierć około 6 mln obywateli RP kwotę 77,646 mld euro. To kwota jednak zdecydowanie zaniżona w porównaniu z tym, co na łamach „Nowego Państwa" sugerował przed sześcioma laty prof. Grzegorz Kostrzewa-Zorbas. Wziął on pod uwagę, że obecnie przeciętna wartość ekonomiczna ludzkiego życia w Europie jest szacowana na milion dolarów (nie ma takich danych dotyczących okresu między I a II wojną światową). Oznacza to, że Polska powinna ubiegać się od Berlina o 6 bilionów euro z tytuły jedynie strat ludnościowych. Dodatkowo pozostaje kwestia reparacji (odszkodowań) z tytułu zniszczeń materialnych. Biorąc pod uwagę szacunki przedstawione w dolarach amerykańskich przez Biuro Odszkodowań Wojennych funkcjonujące w latach 1944–1947 (od 1945 roku w Warszawie) i dodając wskaźnik inflacji, daje to kwotę 845 mld euro. W sumie więc polskie żądania można szacować na około 6,85 biliona euro. Kwota ta nie obejmuje choćby oprocentowania z tytułu lat oczekiwania na reparacje.

Niemcy twierdzą, że wszystko już zapłacili. To samo mówili Namibii. A jednak ulegli. Na ile Berlinowi udało się w negocjacjach „zbić" roszczenia kraju z kontynentu, który w czasie przed „political correctness" określano mianem Czarnego Lądu? Potomkowie Herero i Nama żądali 30 mld euro. Ostatecznie Namibia dostała kwotę około 27 razy mniejszą. Berlin jednak podkreśla, że w ostatnich trzech dekadach przekazał już krajowi ze stolicą w Windhuk kwotę ponad miliarda euro. Biorąc to pod uwagę, Berlin wykręcił się kwotą nieco ponad 14 razy mniejszą, niż żądała Namibia.

Wróćmy do Europy. Grecja wciąż domaga się około 290 mld euro. Znamienne, że roszczenia te zgłoszone przez rząd skrajnie lewicowej Sirizy premiera Tsiprasa zostały podtrzymane przez gabinet konserwatywnej Nowej Demokracji premiera Mitsotakisa. Chodzi o odszkodowanie za okres okupacji lat 1941–1944. Grecki przemysł zniszczono wówczas w 80 proc., a w samych tylko Atenach 40 tys. ludzi zmarło z głodu – nie mówiąc o ofiarach publicznych egzekucji i mordowaniu partyzantów. Roszczenia obejmują zresztą też przymusową pożyczkę, której Grecja w okresie II wojny udzieliła Deutsche Reichsbank. Jak widać, Polska w Europie nie jest sama, gdy chodzi o próbę choćby częściowego wyrównania rachunków wojennych.

Niedawno odszkodowania z Niemiec otrzymali po siedmiu dekadach rumuńscy Żydzi. Jak widać, dla Berlina zasada przedawnienia czy braku podstaw merytorycznych do niemieckich reparacji obowiązuje tylko wobec Polski. ■

eprasa.pl bdab83362d

Marcin Wolski

Wielka grabież

Zacznijmy od tego, że branie łupów wojennych nie jest w historii zjawiskiem nowym. Od zarania dziejów zwycięzca grabił pokonanego, przynajmniej od czasu, kiedy miał co grabić. Mniej mówi się o grabieżach Rzymu, lecz na pewno od średniowiecza rabunek był głównym sposobem samofinansowania wojen i ważną motywacją do służenia królom i wodzom.

Oczywiście grabili głównie obcy, swoi zadowalali się jedynie słuszną rekompensatą. Patrząc na dzieje Polski, cieszę się, że nie mamy sobie w tej materii wiele do zarzucenia – byliśmy głównie ofiarą obcych. Tu polecam znakomite opisy rabunków szwedzkich w trakcie „potopu", kiedy rabowano nawet marmurowe kolumny i spławiano je Wisłą do Gdańska. Poszczególne artefakty (łącznie z oryginałem dzieła Kopernika) można podziwiać do dziś w szwedzkich muzeach. Podobno po wzięciu Wilna przez Moskali w 1655 roku wozy z łupami ciągnęły na Wschód przez dwa tygodnie, a Prusak gdy się dorwał do Krakowa, zaczął od przetopienia polskich regaliów. Przed laty zwiedzając Kreml, zastanawiałem się, ile z tych mebli i bibelotów pochodzi od nas.

Oczywiście dokonania niemieckie podczas ostatniej wojny dorównują skalom rosyjskim, a jeśli chodzi o Warszawę – nawet je przewyższają. Mało się pisało o okresie po Powstaniu, kiedy duża część miasta jeszcze stała, i systematycznej grabieży (z pruską pedanterią) domów i mieszkań. Dopiero później do akcji wkroczyły miotacze płomieni.

Tę metodę z upodobaniem stosowali Rosjanie, na przykład Wrocław, i wiele z miast Ziem Odzyskanych zostało zniszczonych już po wyzwoleniu. Między innymi po to, by ukryć skalę łupiestwa.

Oczywiście w trakcie działań wojennych należy rozróżniać rabunek indywidualny od systemowego – czym innym była kradzież zegarków przez sołdatów sowieckich, czym innym wywożenie do Rosji całych fabryk z terenów, które przecież miały przypaść Polsce.

Widzimy to również dzisiaj na Ukrainie, gdzie obok „działalności" indywidualnej kwitnie ogólna grabież wszystkiego – od instalacji przemysłowych po zapasy zboża.

Nawiasem mówiąc, wojny wytworzyły swoistą zasadę: czego się nie uda zagrabić, należy to zniszczyć!

Czy możliwa jest rekompensata? Od wroga pobitego udawało się – po traktacie ryskim wróciła do Polski część zbiorów muzealnych i zasobów bibliotecznych. Odzyskano też w okupowanych Niemczech sporo zagrabionych arcydzieł kultury. Tyle że PRL nie wykorzystał szansy wtedy, kiedy rewindykacje były możliwe i dość łatwe. Potem przyszła zimna wojna, a w III RP dawny wróg stał się bliskim sojusznikiem. A jak tu rozmawiać z sojusznikiem, i to silniejszym, o jego długach?

Im więcej upływa czasu, tym trudniej przychodzi regulować rachunki krzywd. W dopominaniu się reparacji dziwnie łatwo zapominamy o drugim agresorze, który pozbawił nas połowy dawnego terytorium, co zrekompensował (lecz kosztem Niemiec). Tylko czego mamy się domagać od Rosjan – miast i ziem, które są dziś litewskie, ukraińskie, białoruskie...? Nawet gdyby imperium upadło, co może nam ono oddać? Oczywiście prywatnie zaproponowałbym: oddajcie Królewiec i będziemy kwita.

A Niemcy? Po blisko siedemdziesięciu latach od zakończenia wojny ich społeczeństwo zdołało zapomnieć, kto ją wywołał. Najchętniej mówi się o garstce nazistów, którzy, ogólnie rzecz biorąc, nie byli tacy źli, gdyby nie antysemityzm i homofobia. W dodatku oddali Polsce wielkie terytoria. I jeszcze mieliby coś płacić? Oni, kiedy perspektywą, która coraz wyraźniej się rysuje, jest Czwarta Rzesza, dla niepoznaki nazywana Unią Europejską? Swoją drogą ten pomysł z Brukselą jako stolicą jest całkiem niezły – cesarze Świętego Cesarstwa narodu niemieckiego też lubili koronować się w Rzymie.

Stąd moja osobista opinia – domaganie się reparacji może być dziś znakomitą formą nacisku na Berlin z propozycją: odpuścimy wam te biliony, ale nie próbujcie nas zmieniać we własny land, a Europy w kołchoz! ■

eprasa.pl bdab83362d

Ewa Polak-Pałkiewicz

„DRGNĄ STRACHEM LUTRZY, MOSKWA I POGANIE…”

Czy nasze czasy nie przypominają okresu konfederacji barskiej? Inna jest sceneria, inne oręże. Państwo jest silne; jest w rękach patriotów. Czy jednak w wielu obszarach nie jest dziś niemal dokładnie tak, jak za dni tego pierwszego szlacheckiego powstania (1768–1772)? Powstania przeciw spiskom i knowaniom wymierzonym w Rzeczpospolitą, przeciw jawnie wrogim poczynaniom ościennych państw, nie tylko Rosji, lecz także Prusów.

fot. Arch.

Taka sama jak wówczas jest próba sparaliżowania i unicestwienia legalnej władzy, odebrania możliwości podejmowania decyzji przez Sejm, zablokowania wprowadzania reform, siania anarchii, wywoływania konfliktów, sporów. Podobnie niezliczona liczba agentów wpływu, tysiące szpiclów; analogiczne uzależnianie różnych osobistości od pieniędzy wrogów Polski. Szantaż, przekupstwo, terror obcej armii (wtedy 30 tys. Rosjan było na naszym terytorium, dziś są za naszą granicą). Obojętność Europy wobec losu Polski. Dziś dotyka nas ukryta wrogość państwa, które trzęsie Unią Europejską, przy bezradności pozostałych jej członków.

I przeciw temu wszystkiemu, u schyłku XVIII wieku, garstka szlachty, wiernej Bogu, Rzeczypospolitej i temu, co oznacza honor Polaka i szlachcica. Nie „większość bezwzględna", nie „cały naród", lecz jego faktyczna elita złożona z patriotów, ludzi wielkiego serca, gotowych oddać życie za Polskę, prawdziwych rycerzy. Tak jak dziś. By nie wymieniać z nazwiska wszystkich po kolei: przywódców państwa, środowisk patriotycznych, historyków, mediów prowadzących cierpliwie tę wojnę, choć bez wystrzałów armatnich, przeciw zdrajcom i nieprzyjaciołom naszego państwa.

„Całej Europy ozdobą się staniesz!"

Pośród tamtego wybuchu szlachetnych uczuć ludzi zdolnych do czynu, nieoglądających się na okoliczności, na sojuszników, protektorów – a tym była konfederacja barska – niezwykła postać zakonnika-karmelity, który zostaje przywódcą duchowym powstania. Ojciec Marek Jandołowicz (1713–1799), przełożony klasztoru karmelitów trzewiczkowych w Barze, staje na murach tego miasta razem z konfederatami jako jego obrońca. To człowiek, który wraz z Józefem Pułaskim przygotowywał konfederację (także późniejszy bohater dramatu Słowackiego „Ksiądz Marek").

Był on autorem słynnego w owych latach proroctwa, ujętego w formę poematu, dotyczącego przyszłych losów Polski. Warto dziś przytoczyć fragment tego utworu, pochodzącego z 1762 roku, cytowanego obszernie przez Adama Mickiewicza w jednym z wykładów paryskich. I ponowić zarazem pytanie, czy tamte bohaterskie dni – do których odwoływali się także obrońcy ojczyzny w 1920 roku, z Józefem Piłsudskim na czele, które były dla nich inspiracją, jak wszystkie powstania narodowe – nie niosą dziś zadziwiająco aktualnego przesłania, a sam poemat nie zawiera opisu naszej obecnej sytuacji:

bcab83362d

Dokąd jest Polska, berło niekwitnące,
Dokąd nie będzie wstępnie działające;
Ale jak tylko na wstępnem zostanie,
Drgną strachem lutrzy, Moskwa i poganie!

W kolejnych strofach autor wymienia przyszłe losy narodów wyobrażonych symbolami. Żydzi są tu „pielgrzymem" – autor zdaje się wieszczyć ich nawrócenie u grobu Chrystusa; Ukraina i kraje bałkańskie – „niewolnikiem"; „Strzelec" to Turcja. „Róża natury" – kraje skandynawskie. „Kogut, oznacza w języku przenośnym zawsze Francję" – podaje Adam Mickiewicz, który poświęcił ks. Markowi Jandołowiczowi i konfederacji barskiej wykład w Paryżu w lutym 1842 roku (w ramach kursu literatury słowiańskiej) – która „jak wąż się wyleni", co jest zapowiedzią rychłego przewrotu w tym kraju.

Natenczas pielgrzym, wielkie swoje śluby,
Złoży przy grobie, Bogu trybut luby.
Niewolnik, wolny będzie bez okupu,
Strzelec pozbędzie łakomego łupu.

Róża natury chłód w ciepło zamieni,
Kogut z chytrości jak wąż się wyleni,
Tak nasze runo znowu w swoje wieki,
Wieszcz opowiada czas już niedaleki.
Ale ty Polsko! Po czasu niewiele,
W smutnym się musisz wprzód pogrześć popiele.
[...]

I wreszcie zaskakujące zakończenie:

A ty jak Fenix z popiołów powstaniesz,
Całej Europy ozdobą się staniesz!

Gdy władców Europy opuszcza nagle pewność siebie

Mickiewicz komentując ten utwór, zaznacza, że autor nie mówi o konieczności odzyskania tronu dla króla, który nie będzie uległy wobec Rosji; nie ma tu też mowy o walce stronnictw, o oczekiwanym sukcesie reform. Kapelan konfederatów „podnosi rzecz całą znacznie wyżej, ujmuje ją ze stanowiska, na którym zostawił ją był słynny kaznodzieja i prorok, ks. Piotr Skarga". Mickiewicz przypomina też, że choć w owym czasie świat nie pojmował jeszcze całej doniosłości wydarzeń rozgrywających się w Polsce, a i „sami konfederaci nie mieli jeszcze jasnej świadomości swoich działań", to jednak „pierwszy to raz królowie zadrżeli na widok źle uzbrojonych i źle dowodzonych garstek wojska; zatrwożyli się widząc, że ich systemat równowagi europejskiej i sankcji pragmatycznej jest zagrożony". Europa odczuła mrówki chodzące po plecach. „Królowie połączyli się, by zniszczyć te ideę", oświadcza poeta. Czy czegoś nam to nie przypomina? Mickiewicz podkreśla, że chwila jest przełomowa i u księdza Marka „znajdują się pierwszy raz wyrażone myśli wyznaczające Polsce posłannictwo europejskie".

Autor tej przepowiedni został po klęsce obrońców Baru uwięziony w Kamieńcu Podolskim, sześć lat spędził następnie w więzieniu w Kijowie, traktowano go tu jako najbardziej niebezpiecznego przestępcę; o jego losach decydowała osobiście Katarzyna II. Wiersz-przepowiednia, podobnie jak jej autor, zniknął z pamięci Polaków w epoce stanisławowskiej; został przypomniany w czasie zaborów, gdy formowały się i walczyły Legiony Polskie. Potem znajdowano go – w różnych wersjach – w rękopisach, wspomnieniach konfederatów, a temat proroctwa pojawił się m.in. u Seweryna Goszczyńskiego („Proroctwo księdza Marka"), Henryka Rzewuskiego („Pamiętniki Soplicy").

▶ Przestrogi „fanatyka"

Ksiądz Marek, natchniony kaznodzieja i niestrudzony misjonarz ludowy na Podolu i Ukrainie, nie zwykł był nikomu, także konfederatom, schlebiać i głaskać ich w swoich kazaniach po głowie. Przeciwnie, w karceniu, wytykaniu grzechów był bezlitosny. Podobnie jak ks. Piotr Skarga zapowiadał, że bez poprawy moralnej nie może być mowy o zwycięstwie politycznym Polski. „Czyście sobie przedsięwzięli nużyć cierpliwość i dobrotliwość Bożą? Czyż chcecie innym narodom pokazać i dowieść, ile potrzeba grzechów, aby zgubić Ojczyznę?", przestrzegał w jednym ze swych płomiennych kazań. A w innym wyrzucał: „Tać to jest tego wszędzie przyczyna, że dziś się błąkacie i walczycie, aby zdobyć to, coście przez grzechy wasze zgubili. Oby wam to było nauką, a waszym następcom przestrogą! Jeżeli dziś płyniecie na los szczęścia na kawałku belki, pochodzi to stąd, że z przyczyny waszych błędów wielki i stary okręt o skały się rozbił!". Potrafił najbardziej bogobojnej i skruszonej braci szlacheckiej grozić, że „Najświętsza Maryja Panna, Królowa Polski, złoży niegodną siebie koronę, a panią narodu będzie schizma i luteranizm".

Kochano go pomimo surowości tych napomnień, podobnie jak dwa wieki później ojca Pio, który nigdy nie chwalił, a zawsze niemal ganił swoich słuchaczy. Nie był to czas pochlebców w sutannach, rozgrzeszających gremialnie cały kościół i dziękujących, że ludzie zechcieli tu łaskawie przybyć.

eprasa.pl bdab83362d

Mickiewicz był bardzo wyczulony na brak rewerencji w podejściu do osoby owego kaznodziei i kapelana konfederatów, traktowania jego przesłania i późniejszych losów jako „ciekawostki historycznej". Przeczuwał być może nadciągającą modę, by spoufalać się z postaciami historycznymi, wyciągać ich wady, słabości, próbować je „odbrązawiać". „Któryż to z młodych literatów ma prawo mniemać, że pojął ideę tego męża, i wprowadzi go w swe utwory, ażeby gadał, działał, poruszał się dla zabawienia czytelników gazet?". Przestrzegał też, że to „pajęcze przędziwo rozedrze się w niezgrabnych rękach", niczym wydarzenia historyczne sprowadzone do rangi anegdot w powieściach Waltera Scotta. Nawet niektórzy powstańcy (przypadki odosobnione, na szczęście), przeniknięci oświeceniowym sceptycyzmem, jak Józef Wybicki, pozwalali sobie (wiele lat później, w spisanych wspomnieniach) na przypisywanie księdzu Markowi „fanatyzmu". Na twierdzenie, że za życia na wyrost traktowano go jako cudotwórcę (a znany był szeroko jako utalentowany lekarz, przypisywano mu wiele uzdrowień, miał dar ujmującego sposobu bycia i obcowania z ludźmi, w których myślach, jak twierdzono, potrafił czytać). W swoich „Pamiętnikach" Wybicki pisał dość ironicznie, by nie powiedzieć, zgryźliwie: „Ksiądz Marek był wieku podeszłego, nie miał miny surowego proroka, owszem, podług przysłowia ruskiego był cokolwiek hulaka. Jeżeli ciemność i uprzedzenie czyniły go cudotwórcą, umiałby odpowiedzieć oskarżającym go o imposturę [impostura – oszustwo, fałszerstwo, szalbierstwo – przyp. E.P.-P.]". Warto zauważyć, że sam Słowacki dopiero po swym przełomie religijnym, już po ogłoszeniu „Beniowskiego", inaczej ujmował postać ks. Marka; stał się wówczas piewcą konfederacji barskiej i jej proroka, „w duchu Mickiewicza" (jak zaznacza znakomity tłumacz i redaktor wykładów paryskich Mickiewicza – w ich przedwojennym wydaniu, tzw. sejmowym – prof. Leon Płoszewski).

W konfederacji barskiej „bierze górę starożytna idea polska", nie waha się podsumować Mickiewicz, „idea szlachetności, poświęcenia się i zapału, która odrzuca wszelkie rachuby i łamie wszelkie trudności. [...] odrzucona najpierw przez królów, potem przez wielmożów, podjęta jest teraz przez drobną szlachtę, nie tylko w Koronie, ale również na Ukrainie i na Litwie; staje się ona ideą narodową, ogarnia cały obszar kraju".

Porwanie, czyli iskra zapalna

Przypomnijmy, że hasłem do rozpoczęcia przygotowywania powstania stała się niebywała zbrodnia rosyjskiego ambasadora, Mikołaja Repnina. Ten zaufany sługus Katarzyny II targnął się w nocy z 13 na 14 października na wolność osobistą czterech dygnitarzy Rzeczypospolitej: hetmana polnego Wacława Rzewuskiego, jego syna Seweryna, posła podolskiego, biskupa kijowskiego Józefa Załuskiego, założyciela i fundatora biblioteki publicznej w Warszawie, oraz biskupa krakowskiego Kajetana Sołtyka, twórcę słynnego uniwersału. Biskup Sołtyk był także znany ze swej żarliwości religijnej i niechęci wobec równouprawnienia schizmatyków i protestantów „i z tego powodu był nienawistny Moskwie" – dodaje Feliks Koneczny. Repnin porwał ich wszystkich i wywiózł w głąb Rosji, do Kaługi, jakby byli poddanymi carskimi i podlegali administracji rosyjskiej, przypomina historyk. A wszyscy byli wówczas wybitnymi opozycjonistami (Seweryn Rzewuski został niestety później targowiczaninem), sprzeciwiali się panoszeniu się Rosji w Rzeczypospolitej, byli też wzorami kultury umysłowej. Porwania dokonano podczas obrad Sejmu.

„Jak mógł poseł rosyjski uwięzić kogoś w Polsce? [...] Na czyn Repnina jedyną odpowiedzią stosowną byłoby wypowiedzenie Rosji wojny, a do tego trzeba by odpowiedniego wojska" (Feliks Koneczny). Wtedy to właśnie patriotyczna opozycja poczęła się zbroić i rozpoczęły się tajne narady przygotowujące działania militarne w celu uwolnienia Rzeczypospolitej od obcych. Pierwsze z nich – w województwie bracławskim na Ukrainie, w dobrach Krasińskich. Wśród okolicznego duchowieństwa sprzyjającego Krasińskim, Puławskim (Józefowi i trzech jego synom, Kazimierzowi, Adamowi i Franciszkowi Ksaweremu) oraz drobniejszej podolskiej szlachcie wyróżniał się swą postawą i świętością ksiądz Marek, przyjaciel Józefa Krasińskiego, pisarza wielkiego koronnego.

Kronikarz historii konfederatów

Francuski historyk, dyplomata i poeta Claude-Carloman de Rulhière (1734–1791), znawca historii Rosji i wielki sympatyk Polski, który opisał historię konfederacji barskiej, zbierając rzetelnie relacje polskich emigrantów w Paryżu, nazwał zniszczenie konfederacji i następujący po nim pierwszy rozbiór Rzeczypospolitej „początkiem nowej ery"; uznał te wypadki, jak podkreśla Mickiewicz, za „najważniejsze wydarzenie czasów nowożytnych". Przy czym postrzegał je wyjątkowo głęboko, nie jak publicysta historyczny, lecz myśliciel. Osobista sympatia Rulhière'a do konfederatów i przyjaźń z dwoma z nich, Andrzejem Mokronowskim i Michałem Wielhorskim, a także jego

eprasa.pl bdab83362d

wnikliwa wiedza o istocie despotyzmu rosyjskiego, którą wyniósł z pobytu w Rosji, gdzie na własne oczy oglądał, jak przejmowała władzę Katarzyna II, spowodowała, że był pełen uznania dla republikańsko-wolnościowych idei polskiej szlachty. Nie traktował Rzeczypospolitej, śladem innych historyków, jako *curiosum* ustrojowe; widział, że jej droga, odmienna od innych krajów Europy, jest czymś budzącym szacunek i oryginalnym. Ten gorący francuski patriota skrytykował w swoim dziele raz jeden tylko politykę zagraniczną Francji: obwinił ją, że dopuściła do klęski konfederacji barskiej. Uznał ten fakt za historyczny i symboliczny przełom w dziejach Europy. Książkę o historii Polski pisał na zamówienie władz francuskich – miała być podstawą edukacji historycznej przyszłego Ludwika XVI, wnuka Marii Leszczyńskiej. Ukończył ją po dwóch latach, lecz do końca życia pracował nad rękopisem (jeszcze przez kolejnych lat dwadzieścia), stale coś uzupełniając i poprawiając.

Dotąd monarchowie i państwa zawierali umowy, by pokonać przeciwnika silniejszego, który im zagrażał, względnie próbowali na drodze wojny zdobyć jakąś ziemię dla celów handlowych czy korzyści politycznych, wyjaśniał Mickiewicz francuskiej publiczności w Paryżu – będąc bardzo dobrze obeznany z dziełem Rulhière'a. Teraz trzy wielkie mocarstwa jednoczą się przeciw państwu, którego słabość jest coraz bardziej widoczna. Wydawały się być niejako „zmuszone" do dokonania zbrodni rozbiorów Polski, „popychane czymś silniejszym" – podkreśla Mickiewicz za Rulhière`em – „własnym instynktem samozachowawczym; bo te stare państwa wyczuły, że wśród ludu słowiańskiego zabłysła nowa idea". Idea nad wyraz niebezpieczna. Mickiewicz wyjaśnia ją, powołując się na Kazimierza Pułaskiego – gdy chciano mu zaoferować amnestię, a nawet wycofać wojska rosyjskie z Polski, byleby tylko wezwał konfederatów do definitywnego złożenia broni, odrzekł, że „wówczas pójdzie bić Moskali w Rosji". „Miał on postanowienie nie tylko oswobodzić swoją ojczyznę, ale także skruszyć państwo, które rozwój jej krępowało". Podobne intencje wyrażone są w uniwersale biskupa Kajetana Sołtyka – całkowicie sprzeczne z ówczesnymi założeniami polityki władców i dyplomatów europejskich. Biskup „potępiając kombinacje ludzkie, rachuby polityczne, wywracał całą politykę europejską". Pokazywał jej infantylność – doraźność, teatralność, brak wyobraźni. A wszystko oparte na nieumiejętności – lub zaniechaniu – rozróżnienia między dobrem a złem. Obnażał dwulicowość polityków i współrodaków, którzy potrafili jak nikt „z najsmutniejszych okoliczności wyciągnąć zysk". Ta bezpośredniość, jasność, szczerość, jednoznaczność przerażała ówczesny dyplomatyczny świat. Jak i nieraz przeraża go u Polaków dzisiaj.

Gdy w 1773 roku Rulhière ukończył drugą część swojej najgłośniejszej pracy „Histoire de la révolution de Russie en 1762", agenci carycy Katarzyny próbowali ją przechwycić – krążyła wcześniej w rękopisach i była dość szeroko znana we Francji – nie dopuścić do druku i zniszczyć. Książka o konfederacji barskiej wyszła już po jego śmierci i była bardzo ceniona przez Napoleona; uczył się z niej historii Polski.

Gdy prowadzi ręka kapłańska

Mickiewicz w wykładzie o konfederacji barskiej podkreśla, iż w Polsce jest rzeczą znamienną, że „ilekroć ogół narodu powstawał, sztandar narodowy niosła zawsze ręka kapłańska". „[...] A tak nastaną złote nasze wieki...". Trzeba zauważyć, że proroctwo księdza Marka nie było oparte tylko na intuicji, na wydumanym idealizmie, romantycznym porywie, chwilowym natchnieniu, upragnionej nadziei, zwanej też myśleniem życzeniowym – a dziś niektórzy drwią także z „polskiej donkiszoterii", gdy hojnie wspomagamy Ukrainę – lecz wyrażało pewną rzadką zdolność patrzenia na historię, rozumienia sekwencji jej odsłon i głębokich motywacji jej bohaterów. A nade wszystko jej sensu, który wskazuje zawsze na walkę duchową toczącą się na ziemi. Walkę między dobrem a złem.

Nie wystarczy znać historię, trzeba ją też rozumieć. Są ludzie mający tę zdolność i dziś pośród nas. Są wśród nich wybitni politycy, są wojskowi, eksperci. Są obrońcy naszej granicy, obrońcy polskiej gospodarki i polskiego pieniądza. Są coraz liczniejsi woluntariusze rozumiejący sens i potrzebę działań społecznych i ci, którzy z pobudek patriotycznych spieszą na pomoc Ukrainie. Są ludzie nauki i ludzie pióra. Nie warto zastanawiać się nawet, ilu ich jest, bo jak zawsze w dziejach – na pewno są w mniejszości.

Ale Pan Historii nie jest buchalterem, który podlicza zastępy swoich wiernych, zanim podejmie decyzję, by użyczyć im swoich sił. Zarówno ksiądz Marek, jak Adam Mickiewicz, Józef Piłsudski (o kulcie dla Matki Bożej tego „bezbożnika" nie chce się dziś pamiętać, zwłaszcza wyrzucają ten fakt z pamięci narodowcy) czy ksiądz Skorupka, nie na ludzkich przyziemnych kalkulacjach opierali przeświadczenia i wybory, które pozwoliły im odegrać niepowtarzalną rolę w historii, biorąc na serio hasło konfederackie, by wobec potęgi nie-

eprasa.pl bdab83362d

przyjaciela zawsze stawiać opór, nigdy się nie cofać. Ze szkaplerzem Matki Bożej na szyi i pod sztandarem z Jej wizerunkiem.

Ksiądz Marek uwolniony z więzienia na mocy amnestii znalazł się w karmelitańskim klasztorze w Uszomierzu, potem w Annopolu, gdzie został przeorem klasztoru, wreszcie w Warszawie, u karmelitów na Lesznie. Dokonał życia w Horodyszczu na Wołyniu. Jego grób w klasztorze o.o. karmelitów (fundacji Lubomirskich) stał się celem niezliczonych pielgrzymek. Rosjanie po powstaniu listopadowym skasowali klasztor, kościół zamienili na cerkiew, podziemia klasztoru z grobem ks. Marka zamurowali.

Horodyszcze było także miejscem jego urodzenia, tu jako dziewiętnastolatek wstąpił do karmelitów. Jak podkreśla prof. Feliks Koneczny, „poświęcił się tu głównie misjonarstwu wśród prawosławnych, za co popi odpłacali mu przez całe życie największą nienawiścią".

Jednak, o paradoksie, to sami Rosjanie przechowali pamięć o jego darze dokonywania cudów, nieraz w oficjalnej historii konfederacji kwestionowanym. Choć nikt nie był w stanie podważyć faktu, że gdy ksiądz Marek pojawił się na murach Baru razem z konfederatami, krzyż w jego ręku i płomienna przemowa do hetmana Branickiego, który szedł na czele wojsk atakujących twierdzę, powstrzymała pierwszy atak. Branicki odstąpił. Także według relacji żołnierzy (przytacza ją prof. Koneczny) – podczas szturmu pierwszej baterii moskiewskiej – „puszkarz przyłożył lont do zapału armaty, a patrzący na to z wału o. Marek armatę przeżegnał, armata została rozerwana". Po zdobyciu zaś twierdzy, po kolejnym ataku, żołnierze gen. Apraksina otrzymali rozkaz rozstrzelania kapelana konfederatów. Gdy jednak stanęli przed nim, zamiast go rozstrzelać, padli na kolana i poprosili o błogosławieństwo (przypomina ten fakt także Koneczny). Czyż ta scena nie jest zapowiedzią przyszłej, tej z 15 sierpnia 1920 roku, która pojawia się w niektórych relacjach? Gdy bolszewiccy żołnierze podczas Bitwy Warszawskiej, widząc na niebie postać Matki Bożej, Patronki Warszawy, w popłochu porzucali broń i uciekali z pola bitwy, stwierdzając później w zeznaniach, że „z tą Panią nie chcieli walczyć".

▶ „Ruś jest jak inny świat"

O tym, że Polacy posiadali jakiś wyjątkowy zmysł rozpoznawania, z jaką siłą mają do czynienia w przypadku Moskwy, świadczy także pochodząca z odległych wieków, z 1147 roku, odpowiedź biskupa Krakowa Mateusza na list-wezwanie św. Bernarda z Clairvaux, wystosowane do polskich książąt, by nie wahali się wesprzeć osobistym udziałem II krucjaty przeciw muzułmanom, ponownie okupującym Ziemię Świętą. Odpowiedź Mateusza była zaskakująca. Zawierała bogatą i kunsztowną argumentację, z wieloma erudycyjnymi nawiązaniami m.in. do Owidiusza i Horacego, przemawiającą za ideą wielkiej misji, jakiej Polska rzeczywiście mogłaby się podjąć... wobec Rusi. Misji duchowej, jakiej ta połać Europy pilnie potrzebuje. „Naród ów ruski, ową niepoliczalną liczbą gwiazdom podobny [...] nie dochowuje przepisów wiary prawdziwej. [...] Ruś jest jak inny świat" – pisał biskup Mateusz. Ów inny, ruski świat, „przesiąknięty zgoła heretycką przewrotnością", Chrystusa „tylko imieniem wyznaje, czynami zaś całkowicie się wyrzeka, nie chce być zgodny ani z łacińskim, ani z greckim Kościołem, jeno odrębnie, oddzielony od obu".

„Ta dramatyczna wizja – pisze prof. Andrzej Nowak, który list ten w swojej ostatniej książce przywołuje – nie jest tylko literackim obrazem. Jest potwierdzeniem obowiązku misji". W dziejach Polski ta świadomość naszych rodaków raz po raz powraca. Biskup Mateusz pisząc do św. Bernarda z Clairvaux, był przekonany, że aby podjąć misję nawrócenia Moskwy, Polacy „potrzebują mocniejszej obecności światła i ciepła płynącego z ośrodka łacińskiej cywilizacji", jak ujmuje to Andrzej Nowak.

„[...] Racz przeto, miły ojcze, który oświetliłeś inne kraje i nasze oświetlić ciemności, racz nieokrzesanych Słowian pouczyć na drodze obyczajów i zasad życia; racz obecnością swoją zagościć w lodowatej sferze, aby [...] straszliwe zimno północy tchnieniem południowego wiatru i płomieniem Wulkanu złagodniało, aby nieogładzone barbarzyństwo waszymi naukami zostało okrzesane, aby nieczłowieczy ludzie waszą umiejętnością dali się ugłaskać, aby pod jarzmem Pańskim się uciszyli".

Czy dziś, w dobie wojny Rosji z Ukrainą, a poniekąd z całym światem Zachodu, to wezwanie przedstawiciela Polski skierowane do wielkiego świętego średniowiecza, a za jego pośrednictwem do całej chrześcijańskiej Europy, nie staje się czymś symbolicznym, o doniosłej treści, jakimś ważnym znakiem – a zarazem, czymś nad wyraz naglącym i pilnym? ■

_____

Źródła: Adam Mickiewicz, „Literatura Słowiańska. Wykłady w Collège de France. Kurs drugi. Rok 1841–1842". Tekst zrekonstruował, przełożył i opracował Leon Płoszewski, Warszawa; Andrzej Nowak, „Polska i Rosja. Sąsiedztwo wolności i despotyzmu X–XXI w.", Kraków 2022; Feliks Koneczny, „Święci w dziejach narodu polskiego", Miejsce Piastowe 1937.

eprasa.pl bdab83362d

LENINIZM-PUTINIZM

W krajach komunistycznych zmuszano intelektualistów do nauki leninizmu, ale przedstawiano go w fałszywy i upiększony sposób. Po 1989 i 1991 roku leninizm popadł w niełaskę, zarzucono go i zapomniano – lecz nie na Kremlu. Wiele z poczynań Rosjan na Ukrainie i w Europie jest nauką, jaką Putin odebrał na temat założyciela ZSRS.

Jakub Augustyn Maciejewski

Władimir Putin studiował Lenina kilkukrotnie. Studia prawnicze na Państwowym Uniwersytecie w Leningradzie wymagały zaliczenia kursu z marksizmu-leninizmu, choć była to wersja mocno uładzona. Nie uczono o ludobójstwie, nie uczono o tym, jak Lenin promował terroryzm i totalitaryzm, wtedy raczej robiono z niego klasyka komunizmu jako znoszenia własności środków produkcji i tworzenia rzekomo efektywnej gospodarki opartej na centralnym planowaniu. Ale i wówczas, spod tej politury pseudohumanizmu studenci i nowa klasa próżniacza, członkowie partii mogli wyczytać pewnego ducha leninizmu: rozwijało się w nich dwójmyślenie (co innego deklarujemy oficjalnie, co innego naprawdę), uczyli się nienawiści do świata zachodniego, nazywanego kapitalistycznym i imperialistycznym, a także zakodowywali sobie w głowach, że Związek Sowiecki, Rosja ma jakąś mistyczną ideę posłannictwa, że jest krajem zupełnie innym niż reszta świata. Wtedy ta wyjątkowość polegała na ustroju socjalistycznym, ale postrzegano tę wyjątkowość jako bardziej ponadczasową. Bardzo ważna w myśli Lenina była rewolucyjność – że oto komuniści mają prawo, a nawet obowiązek dochodzić do władzy poprzez walkę, także z bronią w ręku. O ostrzejszych metodach oficjalnie nie uczono.

Putin skończył studia prawnicze w 1975 roku, a dwa lata później ZSRS otrzymał od władz partyjnych nową konstytucję. Stwierdzono w niej, że faza „socjalizmu" została ukończona i przeszła w etap „rozwiniętego socjalizmu" – w ten sposób zatwierdzono interpretacje, że w sowietach ustrój jest na drodze postępu, ale jeszcze nie osiągnął ostatecznego, idealnego stanu – komunizmu. Tak oto ponad pół wieku po śmierci Lenina jego dyktat o drodze do komunizmu nadal obowiązywał.

Jednak dzieła Lenina były inaczej traktowane w dalszym stopniu komunistycznego wtajemniczenia – w partii, a potem w wewnętrznym kręgu KGB – tam uczono już prawdziwszej wersji nauk „wodza". Biografka Putina, Krystyna Kurczab-Redlich, przekonująco udowodniła tezę, że wbrew oficjalnym życiorysom prezydenta Rosji był on związany z KGB jeszcze przed studiami, a mianowicie, że mógł współpracować z tajnymi służbami jako donosiciel. Ta amoralność, bezwzględność w dążeniu do celów i brak lojalności wobec bliskich kształtowały Putina od szkoły średniej. W 1984 roku leningradzki prawnik został wysłany do szkoły KGB w Moskwie – tam wiele dziedzin nauczania było oparte właśnie na leninizmie. Poznanie myśli Włodzimierza Ilicza pomaga więc zrozumieć Władimira Władimirowicza – pozwala wyraźniej patrzeć na działania Kremla wobec Europy, wobec świata, a dzisiaj przede wszystkim wobec Ukrainy. Nienawiść, cynizm i kult skuteczności stają się czytelnymi narzędziami włodarzy Rosji.

Lenin nieoficjalny: nienawiść

Lenin był wirtuozem nienawiści. Pisarz Maksym Gorki, który znał bolszewika jeszcze w czasach Rosji carskiej, opisał go słowami: „Generalnie, kochał ludzi; kochał ich do granic abnegacji. Jego miłość wykraczała daleko w przyszłość, przez opary nienawiści". Nienawiść była ważnym składnikiem tej ideologii – nienawidzono kapitalizmu, przedsiębiorców i arystokracji, co Lenin zaczerpnął jeszcze z Karola Marksa. Ale przywódca sowiecki tę szczerą pogardę i niechęć do świata niuansował jeszcze bardziej – jako marksista nienawidził kapitalizmu, ale jako komunista nienawidził też większości marksistów: mienszewików, socjalistów różnej maści, socjaldemokratów i wielu innych. Jako komunista rewolucyjny nie akceptował także wielu... komunistów – tych za mało radykalnych, chcących władzę uzyskać demokratycznie. „Pierwszego mienszewika powiesimy dopiero po ostatnim socjaliście-rewolucjoniście" – deklarował Lenin jeszcze przed rewolucją. Gdy w Moskwie stworzył już ośrodek władzy Rosji Sowieckiej, nienawidził także oddanych mu rewolucjonistów – kontrolował ich poprzez podsycanie wzajemnych antagonizmów: Trockiego wobec Stalina czy Dzierżyńskiego wobec Kamieniewa. Ten brak zaufania widoczny do kogokolwiek rozpoznawalny jest także u Władimira Putina, gdy ten trzyma się na dystans wobec własnych współpracowników, unika kontaktu fizycznego, aby nie paść ofiarą zabójstwa, zamachu na własne życie. Prezydent Rosji jest tu bardziej skrupulatny niż przywódca bolszewicki. 30 sierpnia 1918 roku działaczka socjalistyczna Fanny Kapłan oddała w stronę „wodza" trzy strzały, dość ciężko go raniąc – Władimir Władimirowicz jest dużo bardziej ostrożny. Gdy jakiś czas temu składał wyrazy szacunku nad otwartą trumną jednego z oficjeli, usunięto nawet straż honorową – żeby absolutnie nikt przy prezydencie Rosji nie miał broni.

Lenin nieoficjalny: przemoc

Bolszewicki lider miał w pogardzie także społeczeństwo, w imieniu którego miał rządzić. Oznaczało to, że dla realizacji jego politycznych celów ludzie mogli umierać w dowolny sposób, o ile przybliżało to kraj do wyznaczonego finału. Już Marks

FOT. MILOS RUML/PAP/CTK

eprasa.pl bdab83362d

odwoływał się do rządów strachu i biologicznej eliminacji, tą drogą szli też rewolucjoniści francuscy, z których działań późniejsi komuniści czerpali inspirację. Jednak bolszewicy spełniali wszelkie definicje współczesnego terroryzmu, byli ich teoretykami i praktykami, jako pierwsi w Europie, a być może na świecie, uczynili z terroryzmu metodę zdobywania i sprawowania władzy.

Amerykańska historyk Anna Geifman stosunek Lenina do społeczeństwa określiła jako podobny do islamskich ekstremistów końca XX i początku XXI wieku. Wiara w przemoc, w nagrodę po spełnieniu misji, pragnienie uczynienia świata zgodnym z własną ideologią, podejście do polityki oparte na dychotomii: wszystko albo nic – to tylko niektóre cechy Osamy bin Ladena czy Włodzimierza Uljanowa. Talibowie i bolszewicy zabijali nie tylko urzędników wrogich reżimów, lecz także przedstawicieli własnego społeczeństwa. Niszczyli starą kulturę w imię radykalnej doktryny, byli zorganizowani na wzór wojskowy, zhierarchizowany, wykazywali się dyscypliną i zupełnym oddaniem, a nade wszystko nienawidzili Zachód, chrześcijan. „Dostrzegam, że od ponad roku ciągle się mówi o bombach, a nikt nie zadał sobie trudu, żeby zrobić choćby jedną taką bombę" – komentował Lenin postępowanie swoich towarzyszy partyjnych w 1905 roku. Wcześniejsze ugrupowanie narodników także przeprowadzało zamachy, ale dla przywódcy bolszewików były one za słabo zorganizowane i zbyt rozproszone: „Bezplanowe i nieskoordynowane akcje terrorystyczne jeśli stają się zbyt częste, prowadzą do rozproszenia sił, a tym samym do ich marnowania". Pojedyncze napady w celach zdobywania funduszy były przez bolszewików praktykowane, a ze skradzionych pieniędzy utrzymywali się „zawodowi rewolucjoniści", m.in. sam Lenin. Był to jednak jedynie przedsmak terroryzmu, który komuniści mieli rozwinąć po przejęciu władzy w państwie. Związek Sowiecki finansował i szkolił terrorystów na całym świecie – Ion Pacepa, wysokiej rangi komunistyczny funkcjonariusz Rumuńskiej Republiki Ludowej, odsłaniał kulisy szkolenia przez tajne służby Palestyńczyków przeciwko Izraelowi czy – na Kubie – licznych rewolucjonistów, mających wywrócić porządek w Ameryce Południowej. W 1917 roku założyciel partii bolszewickiej napisał dzieło „Państwo a rewolucja", które wnosiło ekstremizm na wyższy poziom – już nie tajne organizacje mogły przeprowadzać zamachy i terroryzować ludzi, lecz tę rolę miało przejąć państwo. „Państwo jest to specjalna organizacja siły, organizacja przemocy dla ujarzmienia jakiejś klasy" – przekonywał Lenin.

Komunistyczny terroryzm przetrwał sam komunizm – ludzie Putina wysadzali bloki mieszkalne w powietrze, by społeczeństwo przestraszyło się i poparło rządy silnej ręki – to jedna z metod, którymi Putin doszedł do władzy. A władza jest podstawowym zagadnieniem leninizmu.

▶ Maksimum władzy na maksimum terytorium

Przywódcy bolszewików mieli świadomość, że samo opanowanie instytucji rządu to dopiero początek władzy. Car jako władca największego państwa na świecie nie miał kontroli nad wieloma aspektami życia swoich obywateli, nawet nie wiedział o społecznych mechanizmach wśród jego poddanych. Na co komu takie panowanie, gdzie ma się ograniczone możliwości narzucania swojej woli? Władza komunistów miała być totalna – nawet kosztem terytorium. Rosja sowiecka skurczyła się względem państwa Romanowów – utracono ziemie na rzecz m.in. Rzeczypospolitej i Rumunii, ale dla Kremla ważniejsze było mieć władzę absolutną na mniejszym terenie niż nominalne panowanie nad wielkimi obszarami. Dlatego – jak zauważył Richard Pipes w swojej trzytomowej pracy o Rosji sowieckiej – gdy bolszewicy przejęli władzę w Moskwie i Piotrogrodzie, dokonali tzw. podboju wewnętrznego, czyli krok po kroku zdobywali wszystkie miasta i prowincje, zajęli kraj niejako od zera, bo to dawało im kontrolę absolutną. Władza jako wartość totalna – czy nie jest ona też przedmiotem pożądania Władimira Putina?

To też oznaczało, że lepiej mieć zagłodzoną i zniszczoną Ukrainę w latach 30. (to już przeprowadzał Stalin) niż dobrze prosperującą, lecz nie do końca posłuszną republikę. Znowu przypomina to dzisiejsze metody prowadzenia wojny na Wschodzie – skoro nie udało się przejąć władzy w drodze zamachu stanu i obalenia rządu i prezydenta w Kijowie, Kreml chce podbić państwo nawet doszczętnie zrujnowane. Na Donbas – niegdyś wybitnie uprzemysłowioną prowincję – spada codziennie ponad 50 tys. pocisków, a tamtejsze kopalnie, huty i wielkie zakłady przemysłowe są kompletną ruiną, której Rosja nie będzie w stanie odbudować. Ale co z tego – tak jak Lenin wolał prowincje biedne, lecz kontrolowane w 100 procentach, tak Putin może zajmować spaloną ziemię – byle osiągnąć swoje polityczne cele. Ta specyficzna odmiana skuteczności liczy w Rosji ponad 100 lat, a obecne władze w Moskwie precyzyjnie te strategie realizują. Takie podejście dawało liderom Rosji specyficzną przewagę nad przywódcami Zachodu – siłę psychologiczną,

eprasa.pl bdab83362d

która często paraliżowała wolę demokratycznych autorytetów.

Woluntaryzm leninowsko-putinowski

Jörg Baberowski, historyk i biograf Józefa Stalina, jednym zdaniem podsumował przewagę ludzi Lenina: „W końcu zwyciężyli bolszewicy, nie dlatego, że przedstawili atrakcyjniejszy program polityczny, lecz dlatego, że poczynali sobie o wiele bardziej brutalnie". Świat cywilizowany przed podjęciem decyzji kalkuluje, co się opłaca, jakie są szanse zysków i strat, jakie są konsekwencje konkretnych postępowań. Wschód, zwłaszcza rosyjski, bardziej sobie ceni „wolę", stawia sobie ambitne cele, a potem realizuje z tego, ile się da. Lenin chciał podbić cały świat, co się nie udało, ale jedna szósta globu to było przecież i tak dużo. Stalin chciał podbić Europę, co mu się nie udało, ale jego wojska doszły do Berlina. Putin chciał podbić całą Ukrainę, ale teraz być może wystarczy mu południowy korytarz do Krymu i Chersonia i obwody doniecki i ługański. Ten maksymalizm oparty jest na „rewolucyjnej" woli i nieliczeniu się z kosztami. Stąd też wiemy, że sankcje nie zatrzymają Kremla. Sankcje należy nakładać na Rosję w celu zmniejszenia jej potencjału jako permanentnego wroga, ale nie łudząc się, że tu i teraz powstrzyma to rosyjskich żołnierzy.

Wobec tego, że Moskwa stawia sobie bardzo ambitne cele, a potem z szalonym rozmachem, wszystkimi siłami próbuje je zrealizować, kadencyjne i demokratyczne władze Europy czy Ameryki często ustępują. Przypomina to wczesną jesień 1917 roku, gdy Lenin z garstką rewolucjonistów chciał zdobyć władzę, a rząd w tym czasie dysponował potężną armią, zapleczem intelektualnym i administracją – a mimo to przegrał. Wola, szalona determinacja wyglądająca na szaleństwo doprowadziły Lenina do zwycięstwa.

Podobieństwa charakterologiczne

Putin naśladuje Lenina nie tylko w teorii i w praktyce, lecz także w swoim życiu. Wszyscy znamy legendy o tężyźnie fizycznej prezydenta Rosji, wiemy także, że codziennie uprawia sport – pływa w basenie. Przywódca bolszewików także dbał o kondycję, wzorując się na Rachmietowie – bohaterze powieści „Co robić?" Nikołaja Czernyszewskiego. Podobnie już wtedy Włodzimierz Ilicz dostosowywał swój wygląd do potrzeb wizerunkowych – jego broda i czapka przykrywały niezgrabności twarzy (był po prostu brzydki), zaś Putin dokonał około dekady temu kilku operacji plastycznych, mających mu pozwolić zachować młodo wyglądającą aparycję. Obaj też w swoim prywatnym życiu nie grzeszyli odwagą – Lenin uciekał z miejsc, gdzie miały odbyć się rewolucyjne zmagania, Putin przesiaduje w swoich bezpiecznych gabinetach za wysokimi murami Kremla. Obaj też nie zrażają się niepowodzeniami politycznymi – po pierwsze władców największego kraju świata stać na przejściowe trudności, po drugie przeciwnik (zwłaszcza Zachód) miewa fale wznoszące swojego prosperity i pomyślności, by potem osunąć się w kryzys – obaj politycy wykazywali się gotowością doczekania do problemów wroga. Ich poleganie na tajnych służbach też ma wiele podobieństw – Lenin kazał powołać CzeKa, Putin oparł się na FSB w podobnym stopniu.

Różnice. Uczeń i mistrz

Przy tym wszystkim nie ma wątpliwości, że Putin swojemu mistrzowi nie dorasta do pięt. Lenin zaczynał jako wyrzutek na marginesie społecznym Rosji i Europy, a przejął władzę w największym kraju świata. Prezydent Rosji ledwie odzyskał kilka starych prowincji, rządzi już 20 lat, a jego państwo nie poczyniło żadnego skoku cywilizacyjnego, nie stworzyło wielkich zakładów przemysłowych. Bolszewik jednak rozbrajał świat siłą i doktryną, która mimo zbrodniczości, była dość wizjonerska. Obecny gospodarz Kremla jedynie powtarza dawne slogany i adaptuje je na potrzeby XX wieku. Putin już nie głosi potrzeby wyzwolenia proletariatu, ale wrogiem nadal pozostaje wolny świat, poza tym państwo i tak ma swoją doktrynę, już nie komunizm, lecz atrapę konserwatyzmu. Przy tym wszystkim korzysta z istoty „centralizmu demokratycznego". Przywódcza bolszewików rozumiał przez to pozory demokracji, czyli odgórne narzucanie decyzji, pozwalając na swobodę w nieistotnym zakresie – jak w detalach wykonać plany Kremla. Putinizm zdaje się ubogim klonem leninizmu, wybrakowanym potworkiem, mającym jednak ten sam mechanizm złowieszczego apetytu, nienawiści i pogardy.

A jednak warto znać tych kilka założeń leninizmu, by zrozumieć, że Putina nie da się powstrzymać półśrodkami i delikatną presją. Lenin zrozumiał Piłsudskiego, gdy Armia Czerwona została pobita, Putin zrozumie Ukrainę, gdy będzie musiał przełknąć gorycz porażki. Zło należy pokonać raz a dobrze, bo inaczej będzie się odradzać w nieskończoność. ■

eprasa.pl bdab83362d

Największa niemiecka inwestycja w Polsce

Wydawałoby się, że przynajmniej wojna na Ukrainie stanie się wydarzeniem, wobec którego polscy politycy będą w stanie przemówić jednym głosem. I, nie licząc wypowiedzi najbardziej oryginalnych przedstawicieli Konfederacji, tak właśnie się stało. Pozornie. W kwestii wsparcia dla Ukrainy nie ma większych różnic zdań, nie ma ich też, gdy chodzi o potępienie Rosji, przynajmniej na poziomie ogólników. Problem zaczyna się wtedy, gdy próbujemy trzeźwo ocenić znaczenie, jakie ma dla rosyjskiej polityki, dokładniej zaś dla ośmielenia Putina, zachowanie Unii Europejskiej, a przede wszystkim Niemców. Zarówno przez ostatnich kilkanaście lat wzajemnej współpracy i postępującego uzależnienia gospodarczego Berlina od Moskwy, jak i obecnie, już po napaści postsowieckiej armii na prawie cały obszar Ukrainy.

Krzysztof Karnkowski

eprasa.pl bdab33362d

Na początek przypomnijmy sobie podstawowe fakty. Polityka, nie tylko ta zagraniczna, Platformy Obywatelskiej to festiwal uległości wobec naszego zachodniego sąsiada. Czasem rzutującej bardzo poważnie na nasze bezpieczeństwo. Do momentu pierwszej napaści na Ukrainę w 2014 roku, nie zachodziła żadna różnica geopolitycznych interesów między Niemcami a Rosją, przez co Platforma polską politykę zagraniczną prowadzić mogła tak, by skutecznie zadowalać oba te państwa. Tak jak wtedy, gdy – nie bez winy coraz mniej zainteresowanej tematem, w imię złudnego resetu relacji z Rosją, administracji Baraka Obamy – rezygnowaliśmy z amerykańskiej tarczy rakietowej. Głównym powodem utopienia tej kluczowej dla Polski inicjatywy była obawa, że sukces pójdzie na konto znienawidzonego prezydenta Kaczyńskiego, lecz nie oszukujmy się, fakt, że tarcza budziła obawy Rosjan i niechęć Niemców, nie mógł być tutaj bez znaczenia. Innym przykładem tej podwójnej uległości, za którą dziś cenę płacą wszyscy, z krótkowzrocznymi Niemcami włącznie, jest rezygnacja z pomysłów unijnej solidarności energetycznej, czyli proponowanych przez Donalda Tuska wspólnych, europejskich zakupów gazu. Takie rozwiązanie czyniłoby UE, jako jedynego w regionie partnera Rosji, dużo mniej podatną na wszelkie szantaże, zarazem uwalniałoby z tego jarzma słabsze i traktowane na różnych prawach państwa narodowe tworzące Unię. Dziwnym trafem pomysł ten upadł, gdy tylko Tusk przeniósł się z Warszawy do Brukseli. I choć być może był to najrozsądniejszy i najbardziej dalekowzroczny pomysł w całej karierze lidera Platformy, po jego awansie tematu nie kontynuowała już ani Ewa Kopacz, ani on sam.

Proniemieckie umizgi

Gdy Rosjanie zaatakowali Ukrainę i zajęli Krym, zmienił się sposób mówienia o polityce Putina. W Niemczech w sferze deklaracji, lecz nie interesów. W Polsce głównie tej pierwszej, choć pomysły na wspólne interesy zniknęły i dziś mało kto się do nich przyznaje. Niemiecką praktykę najlepiej pokazuje oczywiście Nord Stream, choć również sprawa Nawalnego, którego przecież to ekipa Angeli Merkel odesłała do Moskwy, a więc – do więzienia. Wróćmy jednak do krajowych polityków. Podejście Donalda Tuska do Niemiec to temat najbardziej znany i już do przesady, choć przecież w zgodzie z faktami, wyeksploatowany. To przecież jednak nie tylko jego wiernopoddańcza mowa o CDU z pamiętnym „für Deustchland", lecz także cała pełna niedomówień, niejasności i podejrzeń historia. O moskiewskiej pożyczce Millera pamiętają niemal wszyscy, a przecież i Tusk miał, jeśli wierzyć Pawłowi Piskorskiemu i „Wprost", własną, niemiecką tym razem, pożyczkę. To CDU sfinansować miała powstanie KLD, pierwszej poważnej partii politycznej Tuska, która potem weszła do Unii Wolności, by finalnie stać się Platformą Obywatelską. Ciekawe zresztą, że te rewelacje – tak samo jak taśmy z warszawskich knajp – pojawiły się akurat wtedy, gdy drogi Niemiec i Rosji zdawały się rozchodzić. To jednak temat na poważniejsze dziennikarskie śledztwo, którego zapewne nikt, z wielu względów, się nie podejmie. Informacji, które wpłynęły na upadek proniemieckiego rządu, nikt jednak nie zdementował.

Odpowiedzialny w czasach Platformy za politykę zagraniczną Radosław Sikorski również starał się, najdłużej jak się da, zadowolić obu sąsiadów. Z jednej więc strony pisał o upadku polityki jagiellońskiej i zmniejszał wagę relacji z państwami dawnego ZSRS, skupiając się na Moskwie, widząc dla Rosji miejsce nawet w NATO i chwaląc jej najwyższy w historii poziom demokracji; a z drugiej strony oczekiwał od Niemiec wzięcia odpowiedzialności za Europę. Archiwa pełne są kompromitujących i kompletnie nietrafionych artykułów i wypowiedzi, do których obaj liderzy PO woleliby nie wracać, a przecież na tej dwójce lista się nie kończy, wystarczy wspomnieć o rosyjskich podróżach Janusza Palikota i Bronisława Komorowskiego. Dziś jednak bardziej interesują nas Niemcy, spójrzmy więc jeszcze na kilka przejawów prowadzonej na kolanach polityki wobec tego państwa.

Przypadek Gdańska

Bardzo dobrze było – i jest nadal – widać ją na przykładzie lokalnym. Pamiętam swoją rozmowę sprzed kilkunastu lat z mieszkającym w Gdańsku kolegą, który, oprowadzając mnie po tym mieście, mówił, że władze traktują je tak, jakby tylko chwilowo znalazło się ono pod polską administracją. Czy były to zbyt mocne słowa? Potwierdzają je takie przypadki jak „rewitalizacja", podczas której pieczołowicie przypomniano i odrestaurowano wszelkie niemieckojęzyczne tablice i pamiątki po Wolnym Mieście Gdańsk, z tablicą na historycznej poczcie włącznie. Gdańsk miał – i ma nadal – problemy z historią, w tym zwłaszcza z odpowiedzialnością Niemiec za II wojnę światową. Słychać to co roku w okolicznościowych wystąpieniach wło-

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/GAZETA POLSKA

eprasa.pl bdab83362d

darzy miasta, widać w przepychankach z władzą centralną, zaznaczyło się to w konflikcie (za PO mocno rozmywającego historię) wokół Muzeum II Wojny Światowej czy braku troski o tereny Westerplatte, dopóki podlegały one jeszcze miastu. Piotr Semka w radiowej rozmowie sprzed roku ten sentyment tłumaczył specyficzną, możliwą tylko w Gdańsku i narodzoną wśród tamtejszych liberałów nostalgią na krawędzi fetyszyzowania czasów Wolnego Miasta, idealizowanych w zestawieniu z szarym i źle zorganizowanym PRL-em. Polska Ludowa jednak upadła, a lokalna, początkowo niegroźna obsesja zaczęła zatruwać politykę całego państwa.

Zmowa milczenia

Od lutowej napaści Putina i jego wiernych poddanych na Ukrainę, w polskich mediach pojawił się nowy temat tabu. Wszelka krytyka zbyt powolnych reakcji Unii Europejskiej, tempa nakładania sankcji, a przede wszystkim braku zdecydowanych działań ze strony Niemiec spotykała się z absurdalnym oskarżeniem o... sprzyjanie Putinowi. Można tu zażartować, że niemiecka polityka zagraniczna 24 lutego została przez rosyjskiego dyktatora zamordowana, a o zmarłych mówi się tylko dobrze albo wcale. Problem w tym, że Niemcy, a zwłaszcza mający na ich politykę decydujący wpływ socjaldemokratyczny kanclerz, nie wyciągnęły zbyt wielu wniosków z tego bankructwa. Spóźnione i niechętne dostawy broni, sprzeciw wobec niektórych sankcji czy wreszcie powtarzanie nawet w sierpniu skompromitowanej zupełnie narracji o „wojnie Putina, nie Rosjan", pokazuje, że duża część niemieckich elit czeka wciąż na pierwszą okazję, by wrócić do normalnych układów z Rosją, choćby kosztem Ukrainy, a jeśli będzie trzeba, również innych państw z „listy Kaczyńskiego", wypowiedzianej w pamiętnej przemowie w Tbilisi.

Tymczasem po stronie opozycji (z wyjątkiem, co trzeba zauważyć, w większości na ogół krytycznej wobec Scholza Lewicy i, częściowo, PSL) wciąż obowiązuje zmowa milczenia, przerywana jedynie komicznymi pochwałami niemieckiego zaangażowania. „Ciągłe atakowanie Niemców – naszego największego sojusznika od ponad 50 lat – w tak trudnych geopolitycznie czasach – to coś pomiędzy odwiecznym, polskim wymachiwaniem szabelką a totalną głupotą" – martwił się w lipcu tego roku Łukasz Kohut z dawnej Wiosny. Część polityków, w tym nawet Donald Tusk, po drodze kilka razy zdobyło się na krytyczne wobec Niemiec wypowiedzi, jednak nie są one oznaką żadnej realnej zmiany, a co najwyżej jednorazową zagrywką pod publiczkę.

Opozycja wciąż opowiada się przeciwko wszelkim inwestycjom wzmacniającym naszą pozycję w Europie, w tym będącym możliwą konkurencją wobec Niemiec. Tak jak dzieje się w przypadku CPK, przekopu Mierzei Wiślanej czy tunelu w Świnoujściu. W najbliższym czasie czeka nas batalia o forsowaną przez Berlin zmianę w sposobie funkcjonowania Unii, znoszącą dotychczasową zasadę jednomyślności. W kolejce czekają już paneuropejskie wybory do PE, a więc kolejny krok do unifikacji i likwidacji lub marginalizacji państw narodowych. Można być niemal pewnym, że w tych sprawach polska klasa polityczna za sprawą opozycji nie przemówi jednym głosem, tak jak nie mówi dziś w czasie sporu z KE o KPO czy w kwestii reperacji. Cóż, Niemcom zamiast tych ostatnich bardziej opłaciło się latami przyznawać nagrody i organizować imprezy dla wybranych polskich polityków. Tusk otrzymał wiele niemieckich nagród i odznaczeń, a za pieniądze CDU, już bez cienia wątpliwości, organizowane były – i będą w najbliższym czasie – kolejne imprezy partyjne Platformy. Ta inwestycja opłaca się i zwraca już od wielu, wielu lat. ■

Gdańsk miał – i ma nadal – problemy z historią, w tym zwłaszcza z odpowiedzialnością Niemiec za II wojnę światową.

eprasa.pl bdab83362d

Małgorzata Matuszak

Czym jest... empatia

Ostatnio często o niej słyszymy i czytamy. Uważa się, że empatia – bo o niej mowa – stanowi podstawowe źródło dobra w świecie, a jej brak współcześnie stał się jego największym deficytem. Profesor Frans de Waal postuluje nawet, byśmy przeszli od „ery rozumu" do „epoki empatii", twórca pojęcia „homo empathicus" Jeremy Rifkin zaś pragnie, byśmy podążali w kierunku „globalnej świadomości empatycznej". Czymże jednak jest empatia?

Samo pojęcie niesie z sobą głębię treści. Termin ten wywodzi się z greckiego „empatheia", będącego połączeniem dwóch słów: „em (en)", czyli „w," i „pathos", czyli „cierpienie, uczucie, doświadczenie; coś, przez co się przechodzi, czego doświadcza". Wniknięcie („en") w takie nacechowane zwykle cierpieniem uczucie, wzniosłe i monumentalne, w tragedii prowadzące do katharsis, powoduje uszlachetniającą przemianę duchową – współczucie w cierpieniu, empatię właśnie.

Do nauki pojęcie to wkroczyło stosunkowo niedawno, bo pod koniec XIX wieku. Najpierw było używane przez niemieckich estetyków jako „Einfühlung" („wczucie") dla oznaczenia skłonności obserwatora do utożsamiania się z obserwowanym przedmiotem. W kontekście psychologicznym termin ten użyty został po raz pierwszy na początku XX wieku w badaniach nad złudzeniami optycznymi, a następnie w pracach badawczych ludzkich procesów poznawania prowadzonych przez Theodora Lippsa. Na język angielski, jako „empathy", przetłumaczył go Edward Titchener i tą drogą termin ten trafił do polszczyzny. Trzeba jednak podkreślić, że o ile nie był znany, a tym bardziej stosowany sam termin „empatia", o tyle jednak zachowanie czy reagowanie człowieka na emocje innych, później nazwane właśnie „empatią", było już wcześniej przedmiotem dociekań filozoficznych. Terminy takie jak „współodczuwanie" czy „współczucie" są przecież wykorzystywane w opisywaniu empatii, a ona sama jest im bliska.

Trudno o jednoznaczną definicję empatii, określana jest bowiem – jako pojęcie z pogranicza psychologii, socjologii, filozofii i pedagogiki – w sposób bardzo szeroki. Najwięcej miejsca w swych badaniach poświęcają jej psychologowie, którzy we współczesnych sposobach definiowania tego pojęcia ujmują je, dwojako, wyróżniając empatię emocjonalną (afektywną) i empatię poznawczą. Pierwsza związana jest z odczuwaniem emocji i uczuć innych osób, współdzielenie ich z tym, kto ich doświadcza. Polega ona na wczuciu się w emocje drugiego człowieka i przyjęcie ich w siebie, rozumieniu tego, że ktoś doświadcza bólu, strachu, gniewu czy złości, współodczuwaniu tych emocji i uświadomieniu sobie, co może być przyczyną uczuć drugiej osoby. Druga, empatia poznawcza, polega na zdolności przejęcia sposobu myślenia drugiego człowieka i obserwacji rzeczywistości z jego perspektywy – spoglądaniu na świat jego oczami. To zrozumienie stanów mentalnych drugiej osoby, zanurzenie się niejako w jej myślach. Obok innych kompetencji poznawczych wchodzi empatia w skład zdolności człowieka nazwanej inteligencją emocjonalną (EQ). Konieczny jest jednak w niej umiar. W nadmiarze niesie ze sobą ryzyko emocjonalnego wyczerpania, a nawet wypalenia. U osób, które całkowicie angażują się w problemy otoczenia, wystąpić może stres empatyczny.

> EMPATIA POZBAWIONA ŻYCZLIWOŚCI STAJE SIĘ ZŁOWIESZCZA I NIEBEZPIECZNA.

Empatia bez wątpienia jest umiejętnością niezwykle pożądaną. Czy jednak może być traktowana jako lek na wszelkie dolegliwości naszych czasów? Traktowana jako źródło i podstawa moralnych zachowań? Pod uwagę wziąć trzeba to, że empatia może być połączona nie tylko z dobrą intencją, lecz także ze złą. Może być więc używana zarówno do dobrego, jak i do złego. Może być życzliwa, prowadząca do współradowania się i współczucia, ale też nienawistna, doprowadzająca do zawiści i okrucieństwa. Trawestując więc, za Jackiem Breczko, św. Pawła, rzec można: „Jeśli miałbyś empatię, a miłości byś nie miał, będziesz jak cymbał brzmiący". Empatia bowiem pozbawiona życzliwości, staje się złowieszcza i niebezpieczna. ■

eprasa.pl bdab83362d

Niebezpieczne wyzwanie (w) sieci

Małgorzata Matuszak

Zaczyna się często niewinnie. Ot, filmiki z piosenkami, tańcem, śmieszne scenki. Ale to wciąga. Jak Internet w ogóle. Bez niego dzieci i młodzież nie wyobrażają sobie już dziś życia. Tymczasem na portalach społecznościowych czyhają na nie różne challenge. Podejmując te wyzwania, młodzi ludzie oczekują tego, że „będzie fajna zabawa", że zdobędą popularność, czyli – w ich mniemaniu – szacunek rówieśników. Ale to błędne założenie. Nie zawsze się udaje. Czasami wyzwanie pokonuje tego, kto się go podjął.

Truizmem jest też stwierdzenie, że Internet niesie ze sobą zagrożenia. Wszyscy przecież dobrze o tym wiemy, wciąż jednak wpadamy w jego sidła. My, dorośli, cóż dopiero dzieci. One względem pewnych zagrożeń stają się bezbronne. Nie widzą zresztą niebezpieczeństwa, nie przewidują konsekwencji.

„Wyzwanie zaciemnienia"

7 kwietnia 2022 roku matka Archiego Battersbee znalazła go nieprzytomnego w ich domu, w Southend w hrabstwie Essex. Chłopca próbowano ratować, niestety bez skutku. Długo leżał podpięty do aparatury podtrzymującej go przy życiu, w końcu lekarze podjęli decyzję, którą uprawomocnił sąd, o konieczności odłączenia go od tej aparatury. Stwierdzono nieodwracalne uszkodzenie pnia mózgu, uznano więc, że w najlepszym interesie chłopca będzie zakończenie sztucznego podtrzymywania jego życia. Procedurę wielokrotnie przesuwano w czasie. Rodzice Archiego – i cała jego rodzina – nie potrafili pogodzić się z decyzją lekarzy, sądu i Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu, do którego odwoływali się po wyroku brytyjskiego Sądu Najwyższego. Archie Battersbee zmarł 6 sierpnia 2022 roku.

Mama Archiego, Hollie Dance, uważa, że chłopiec mógł stracić przytomność w wyniku internetowego wyzwania, w którym wziął udział. Zaapelowała też do rodziców innych dzieci, by ci upewnili się, czy synowie i córki nie biorą udziału w podobnych niebezpiecznych wyzwaniach: „Proszę, proszę was rodzice: porozmawiajcie ze swoimi dziećmi. Wiem, że jest wiele podobnych wyzwań w sieci".

Archie padł ofiarą wyzwania na TikToku. To tzw. blackout challenge, który polega na podduszaniu się dopóty, dopóki się nie zemdleje. Nie tylko on zmarł w wyniku podjęcia tego wyzwania. W podobny sposób zmarły w 2021 roku Amerykanki – 8-letnia Lalani Erika Walton i 9-letnia Arriani Jaileen Arroyo, a wcześniej 10-letnie Nylah Anderson z Pensylwanii i Antonella Sicomero z Włoch.

Lalani była zapaloną tiktokerką – publikowała krótkie filmy, na których śpiewała i tańczyła. W pewnym momencie tiktokowy algorytm zaczął podsuwać jej treści polegające na podduszaniu się. W lipcu 2022 roku jej rodziców zaniepokoiły siniaki na jej szyi. Dziewczynka tłumaczyła, że powstały na skutek upadku. Po jakimś czasie, część 20-godzinnej podróży samochodem ze swoją macochą spędziła na oglądaniu filmów, które później matka Lalani określiła jako filmy z „blackout challenge". Po powrocie do domu poszła spać, a kiedy macocha weszła do jej pokoju, zobaczyła ją „wiszącą na łóżku z liną na szyi". Policja, po przejrzeniu telefonu i tabletu Lalani, stwierdziła, że 9-latka oglądała „w kółko" filmy z „blackout challenge" na TikToku.

Również Arriani uwielbiała zamieszczać na TikToku filmiki z piosenkami i tańcem. Stopniowo zaczęła mieć obsesję na punkcie aplikacji. 26 lutego 2021 roku młodszy syn Eduardo zaalarmował ojca pracującego w piwnicy, że jego siostra się nie rusza. Kiedy ten wbiegł na górę, jego córka wisiała na smyczy psa. Została przewieziona do szpitala, ale nie udało się już uratować jej życia.

Kto jest winny?

W maju tego roku matka 10-letniej Nylah Anderson pozwała firmę ByteDance, która jest właścicielem platformy TikToka, za to, że przyczyniła się do śmierci jej córki. Według postawionych zarzutów, algorytm funkcjonujący na TikToku zdeterminował, że śmiertelnie groźny „blackout challenge" pasował do zainteresowań dziewczynki i zarekomendował jej taką treść. Właściciel TikToka wydał wtedy oświadczenie, w którym pisał: „Ten niepokojący challenge, o którym ludzie dowiadują się nie tylko z TikToka, od dłuższego czasu nawiedza i szkodzi naszej platformie. Nigdy jednak nie trendował w usłudze. Pozostajemy czujni i zaangażowani w zapewnianiu naszym użytkownikom bezpieczeństwa i od razu usnęlibyśmy taką treść, jak tylko zostałaby odnaleziona. Wyrażamy wyrazy największego współczucia rodzinie z powodu jej tragicznej straty".

Niedługo później właściciela TikToka pozwali również rodzice Lalani i Arriani. Prawnicy w pozwie twierdzą, że również w tym przypadku TikTok i jego algorytm kierowały do kanału dziewczynek niedopuszczalnie niebezpieczne filmy, zachęcając je do zaangażowania się i wzięcia udziału w wyzwaniu „blackout challenge". Według kancelarii prawnej Social Media Victims Law Center, TikTok jest produktem wadliwym, dlatego do dziewczynek trafił niebezpieczny trend, a sama aplikacja „nie zaoferowała dzieciom ani ich rodzicom odpowiednich zabezpieczeń, wszystko w imię maksymalizacji przychodów z reklam". Zarówno Lalani, jak i Arriani wierzyły, że dzięki publikacji filmu z wyzwaniem staną się sławne, nie doceniały jednak i nie rozumiały niebezpieczeństwa, które kryje się za tym, do czego zachęcał je TikTok.

Nie ulega wątpliwości, że firma ByteDance przestała sobie radzić z tą skalą zagrożeń, a algorytmy aplikacji podsuwają dzieciom treści, które nigdy nie powinny były do nich trafić. To właśnie łączy te młode ofiary challenge'u – żadna z nich aktywnie nie poszukiwała wyzwania „blackout", aplikacja sama podsuwała im treści opatrzone tym hasztagiem. Trzeba jed-

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl bdab83362d

nak podkreślić, że TikTok z zasady przeznaczony jest dla osób od 13. roku życia. Zasadnym jest więc pytanie, co na TikToku robiły dzieci w wieku 8, 9, 10 czy 12 lat? Dlaczego korzystały z tej aplikacji bez nadzoru?

Sprawa jest więc bardziej złożona. Doktor Maciej Dębski z Uniwersytetu Gdańskiego, socjolog problemów społecznych i prezes Fundacji „Dbam o Mój Z@sięg", zajmującej się edukacją społeczeństwa na temat cyfrowej higieny i profilaktyki e-uzależnień wśród dzieci, młodzieży i dorosłych, komentując wyzwania w mediach społecznościowych, stwierdził, że wina w takich sytuacjach rozkłada się na wiele stron. Winna bowiem jest szkoła, która powinna lepiej ostrzegać przed takimi potencjalnymi zagrożeniami, ale winni są też rodzice, którzy nie zdają sobie sprawy, jak potężnym narzędziem są dzisiaj media społecznościowe. Według niego, rodzice powinni dzielić dziś swoją uwagę między świat rzeczywisty a wirtualny: „Błędem jest całkowite odrzucanie przestrzeni cyfrowej, niechęć do uczestniczenia w niej. Rodzice muszą kontrolować działalność dzieci w Internecie oraz stworzyć im odpowiednią rzeczywistą alternatywę".

Potrzeba rywalizacji i akceptacji

Zasada internetowego wyzwania jest prosta: ktoś wyznacza zadania i typuje osoby, które mają je wykonać. Realizację zadania dokumentujemy filmikiem, wrzucamy do sieci i nominujemy kolejne osoby. To przecież nic nowego. To „zabawa" znana od długiego już czasu, dużo dłuższego niż era panowania Internetu. „Dzieci często dołączają do ryzykownych challenge'ów, żeby podbudować poczucie własnej wartości. Chcą pokazać, że nie odstają od rówieśników. Media społecznościowe zaspokajają potrzebę przynależności do grupy, a jednocześnie stwarzają możliwości do przekraczania granic, dlatego są potencjalnie niebezpieczne" – uważa dr Maciej Dębski. Internet daje w tym wypadku więcej możliwości. Ma dużo większy zasięg działania, stąd też większą siłę zasięgu i szersze grono odbiorców mają różnego rodzaju wyzwania.

Młodzi ludzie nie zdają sobie sprawy z konsekwencji, jakie mogą wyniknąć z wykonania jakiegoś challenge'u albo też je bagatelizują. „Dzieci często nie myślą o konsekwencjach. Działają pod wpływem impulsu w przekonaniu, że »mnie nic złego nie spotka«. Nie w pełni rozumieją konsekwencje ryzykownych zachowań, ale za to szybko odczuwają gratyfikację wywoływaną przez te zachowania. Po części jest to związane z etapem rozwoju. Ważniejsza niż zagrożenie jest także akceptacja grupy. Dlatego warto, aby rodzic od samego początku, kiedy tylko córka lub syn zaczynają przygodę z internetem, był ich przewodnikiem po wirtualnym świecie" – mówi Marta Witkowska, psycholog z Akademii NASK. I dodaje: „Rozmawiajmy z dziećmi o bezpiecznym korzystaniu z sieci. Mówmy o konsekwencjach, ale także o tym, że wszelkie problemy możemy rozwiązywać wspólnie. Interesujmy się tym, jak nasze dzieci spędzają czas online. I najważniejsze – świećmy przykładem".

Większość młodych ludzi, by posiadać dobrą równowagę psychiczną, potrzebuje miłości, opieki najbliższych, przyjaźni i akceptacji rówieśników, a także osobistych sukcesów w szkole lub poza nią. Jeśli któregoś z tych elementów zabraknie, gdy dziecko czuje się zagubione, wyizolowane, samotne, niepewne swojej wartości, szczególnie gdy ma delikatniejszą psychikę i jest wrażliwsze od rówieśników, bardziej jest narażone na depresję i myślenie autodestrukcyjne. Niebezpieczeństwo wciągnięcia w tego typu gry wtedy wzrasta. Uczestnictwo w „tajnym projekcie" może być także sposobem na zdobycie akceptacji i „szacunku" u rówieśników. Dochodzi do tego jeszcze uzależnienie od Internetu i różnych portali społecznościowych, obserwowane u coraz młodszych użytkowników tych mediów. Młodzi ludzie uciekają w swoim pojęciu w lepszy świat, nierzeczywisty, bo ten rzeczywisty wydaje się im czasami nie do zniesienia. Początkowo mówią, że to tylko zabawa. Z czasem jednak, w wyniku coraz większego zatracania się w nierealnym życiu, może dojść do tragedii. Jeśli zaś któreś z dzieci potnie sobie na przykład rękę, tłumacząc swój czyn zabawą albo grą, przyjrzyjmy mu się dobrze, jego rodzinie, domowi i otoczeniu. Nie można pozostać obojętnym. Później może oznaczać za późno.

W trosce o dzieci

Wiele internetowych challenge'ów jest niegroźnych, a niektóre nawet pożyteczne. Wiele niestety i takich, które przybierają niepokojący charakter. Istnieją wreszcie te z gruntu niebezpiecznych, a jak widać nawet śmiertelnie niebezpiecznych. O tym, że w Internecie znaleźć można wiele patologicznych treści, nie trzeba nikogo przekonywać. Problem leży w tym, by dzieci przed nimi chronić. To zadanie niezwykle trudne i wymagające wysiłku wielu stron – administratorów i moderatorów w sieci, pedagogów w szkole, ale przede wszystkim rodziców. Jak mówi dr M. Dębski: „Rodzice często zapominają, że trzeba dorosnąć do używania pewnych aplikacji. Rodzic musi wiedzieć, że gdy daje dziecku dostęp do Internetu, daje mu dostęp do całego świata. My dorośli sobie w tym świecie mniej więcej radzimy, chociaż nie mamy wszystkiego poukładanego w głowie w zakresie korzystania w sieci. Ale 12-, 13-latek może sobie totalnie nie poradzić". ■

eprasa.pl bdab83362d

Marek Kalinowski

Dialogi z Vivaldim

Max Richter komponował już muzykę idealną do snu, tworzył dzieła do filmu, teatru i baletu. Jego płyty prowokowały do dyskusji, nierzadko wywołując skrajne emocje. Dzisiaj wraca do rozpoczętych przed dziesięcioma laty dialogów z najgłośniejszym dziełem Antonio Vivaldiego. Sprawdźmy, co tym razem przynoszą „Cztery pory roku".

Wśród współczesnych kompozytorów muzyki klasycznej niewielu jest takich, których dzieła odbiłyby się tak szerokim echem, wykraczając daleko poza środowisko melomanów, a co więcej, pnąc się na sam szczyt list przebojów. Max Richter jest tu z pewnością postacią wyjątkową. Choć wykształcenie muzyczne zdobył na Uniwersytecie w Edynburgu i londyńskiej Królewskiej Akademii Muzycznej (kompozycja i fortepian), wielu – bardziej konserwatywnych – słuchaczy twórcą muzyki klasycznej zapewne by go nie nazwało. I to chyba nie tylko dlatego, że z pasją sięgał po instrumenty i chwyty muzyki popularnej, lecz także z tego powodu, że jego licznym pomysłom nie można było odmówić odwagi.

Przypomnijmy choćby ośmiogodzinne dzieło „Sleep" – napisane, jak sama nazwa wskazuje, by zapewnić słuchaczom idealny wypoczynek. Na koncertach publiczność chłonęła więc relaksacyjne dźwięki bądź, zaopatrzona we własne śpiwory, oddawała się... sennym marzeniom, do czego sam kompozytor przecież ochoczo zachęcał. Ostatecznie jednak kompozycja musiała się podobać, skoro trafiła na pierwsze miejsca magazynu „Billboard", a to nie pierwsza płyta Richtera, która przyniosła tak ogromny sukces i zarazem tak liczne kontrowersje.

Tuż przed wakacjami ukazało się zupełnie nowe nagranie najbardziej znanego dzieła Richtera, reinterpretacji „Czterech pór roku" Antonio Vivaldiego, które swoje pierwsze wydanie miały 10 lat temu. Kompozytor „ośmielił się" wówczas wyciąć z arcydzieła Vivaldiego ukochane fragmenty, by przetasować je, zapętlić i wpuścić w wir własnej kreatywności, gdzie dodatkowe linie budują syntezatory. Czy rzeczywiście, tak jak w opinii niektórych krytyków, chodziło o uproszczenie Vivaldiego dla masowego odbiorcy? Trudno się zgodzić z tak postawionym zarzutem. Ile razy spacerujemy, ciesząc się w myślach fragmentem ukochanej muzyki. Richter wchodzi w śmiały dialog z uwielbianym przez siebie dziełem, zatrzymując czas i rozciągając w nieskończoność płynącą z tej interakcji przyjemność, którą jeszcze wzmacnia ostatnie nagranie. Choć już pierwsza wersja, ze znanym skrzypkiem Danielem Hope i Konzerthaus Kammerorchester Berlin, nie budziła zastrzeżeń, to jednak teraz muzyka zyskuje pełne, surowe, a zarazem poruszająco ciepłe brzmienie. Wszystko za sprawą młodych muzyków Chineke! Orchestra oraz znakomitej solistki Eleny Urioste, którzy dzieło Richtera nagrywają na historycznych instrumentach z epoki Vivaldiego. Sam kompozytor pozostaje za klawiaturą analogowego syntezatora z lat 70., którym zastąpił współczesną elektronikę. Można więc powiedzieć, że Max Richter uczynił już raz z „Czterech pór roku" dzieło zupełnie współczesne, by teraz trochę na powrót przenieść je znów do baroku.

Max Richter, THE NEW FOUR SEASONS: VIVALDI RECOMPOSED, Deutsche Grammophon

Proszę sprawdzić album „The New Four Seasons", być może część słuchaczy dołączy do grona krytyków. Jestem jednak przekonany, że większość, za sprawą tej właśnie płyty, tak jak Max Richter, zakocha się w „Czterech porach roku" Vivaldiego na nowo. ■

eprasa.pl bdab83362d

XIX-wieczni pisarze budzili przestrach czytelników pełnymi grozy opowieściami polarnymi o wyprawach w niezbadane rejony świata. Obszar od Ziemi Ognistej po Nową Gwineę był na mapach białą plamą. W 1897 roku statek „Belgica" wypłynął z awanturniczą ekspedycją na Antarktydę. Tam gdzie awantura, musieli być Polacy. 25-letni Antoni Dobrowolski był wyjętym spod prawa uciekinierem z rosyjskiego zesłania, zaś dwa lata starszy Henryk Arctowski został kierownikiem naukowym wyprawy, któremu przyniosła ona gigantyczną sławę. Arctowski wykorzystał ją później, biorąc udział Paryżu wraz z Romanem Dmowskim i Ignacym Janem Paderewskim w negocjowaniu polskich granic. W PRL komuniści wygnali sędziwego naukowca z kraju. Na amerykańskich uniwersytetach do ostatnich dni upominał się o polską sprawę.

Piotr Lisiewicz

Najbardziej awanturnicza wyprawa w historii świata

FOT. NAC

eprasa.pl

Jako 22-latek zmienił nazwisko z Arzt na Arctowski, by podkreślić swoją polskość. Był wówczas, w 1893 roku, wygnańcem z okupowanej przez zaborców Polski i podejmował pracę na uniwersytecie w belgijskim Liège. Historia w życiu Henryka Arctowskiego zatoczyła koło. Gdy był już po osiemdziesiątce i jego siły słabły, jeden z amerykańskich uczniów, Bolesław Solak, zapytał go, znowu wygnańca: „Dlaczego nie połączy się Pan Profesor z młodym amerykańskim geofizykiem i kosztem podziału zasługi nie doprowadzi tej pracy do końca?". Zanotował taką odpowiedź: „Profesor popatrzył na mnie z pod krzaczastych brwi, przyglądał mi się przez chwilę, potem położył mi dłoń na ramieniu: Panie! Dla tej samej przyczyny, dla której zmieniłem nazwisko z Arzta na Arctowskiego, dla... i spuścił głowę, a ja usłyszałem głośno w moim mózgu – dla POLSKI!".

Niezbadane lądy

Urodził się 15 lipca 1871 roku w Warszawie jako Henryk Arzt. Brzmienie nazwiska wynikało stąd, że jego przodkowie przybyli do Polski jakieś 200 lat wcześniej z Wirtembergii. Jego ojciec pracował na kolei, był też kupcem. Henryk uczył się w gimnazjum w Inowrocławiu, jednak już jako nastolatek stał się ofiarą niemieckich represji z powodu patriotycznej działalności jego rodziny. Po trzech latach szykan rodzice mieli dość i przenieśli go do belgijskiego Liège, gdzie ukończył szkołę średnią Athénee.

Także w Liège rozpoczął w 1888 roku studia na wydziale matematyczno-przyrodniczym, w zakresie matematyki i fizyki. Po roku przeniósł się do Paryża. Tam podjął studia z zakresu geologii i chemii w Muzeum Przyrodniczym. Kontynuował je na Sorbonie, uczęszczał też na wykłady w Collège de France i w paryskiej Szkole Górniczej. Ostatecznie zakres studiów objął chemię z geochemią, petrografią i mineralogią. Znał w tym czasie Marię Curie-Skłodowską.

Potem wrócił do Liège i na tamtejszym uniwersytecie rozpoczął pracę pod kierunkiem profesora Walthera Springa. To wtedy dla podkreślenia swojej polskości wystąpił do rządu belgijskiego o zgodę na zmianę swojego nazwiska na Arctowski, na co uzyskał zgodę. W latach 1894–1896 opublikował w Liège 20 artykułów w czasopismach naukowych, m.in. w czasopismach „Bulletin de l'Academie Royale de Belgique" i „Zeitschrift fur anorganische Chemie". Zajmował się wówczas petrologią skał magmowych, w tym warunkami termodynamicznymi minerałów skałotwórczych.

Naukowcy i awanturnicy wyjęci spod prawa

Historia udziału Arctowskiego w jednej z najbardziej awanturniczych wypraw w historii ludzkości zaczyna się w roku 1895, gdy poznał on belgijskiego podróżnika, Adriena de Gerlache de Gomery'ego, który przygotowywał się na ową nieprawdopodobną wyprawę antarktyczną na statku „Belgica".

Gerlache oprócz awanturników niebojących się śmierci, której prawdopodobieństwo było niemałe, potrzebował także kogoś z naukową wiedzą, pozwalającą podjąć badania nieznanego lądu. Tym kimś był polski emigrant.

Arctowski rozpoczął przygotowania do wyprawy. Dwa lata poświęcił na dodatkowe studia: geologiczne oraz oceanograficzne w Anglii, meteorologiczne w Anglii i w Belgii oraz glacjologiczne w Szwajcarii. W Anglii odwiedził uczestników wyprawy antarktycznej w 1874 roku na statku „Challenger" – G. Murraya i J. Buchanana. Z uczestników wyprawy oprócz Arctowskiego tylko jego rówieśnik, 29-letni Emil Racovitza, rumuński zoolog i botanik, miał solidne przygotowanie naukowe. Kolejny jej uczestnik, 32-letni wówczas Amerykanin Frederick Albert Cook, był lekarzem-chirurgiem i fotografem. Później wiele lat spędził w więzieniu, choć historycy nie są zgodni, czy był oszustem, czy ofiarą tych, którzy zazdrościli mu sławy.

Przed początkiem wyprawy w roku 1897 Arctowski zgłosił udział w niej młodszego kolegi Antoniego Dobrowolskiego. Dobrowolski pochodził z biednej rodziny. Jego ojciec był chłopem bezrolnym. Antoni od 12 roku życia musiał pracować na swoje utrzymanie, m.in. udzielając korepetycji. Ukończył gimnazjum w Warszawie. Zaraz po maturze został aresztowany przez władze carskie i skazany na trzy lata więzienia za działalność konspiracyjną. Więziony był w X pawilonie Cytadeli w Warszawie, a potem na Pawiaku i w Petersburgu. Wreszcie zesłany został do Tyflisu na Kaukazie. Szalona ucieczka stamtąd powiodła się i Dobrowolski trafił do Szwajcarii, a potem do Liège, gdzie rozpoczął studia w zakresie fizyki i nauk biologicznych. I poznał Arctowskiego.

Belgijska flaga i ciało w przeręblu

Uczestnicy wyprawy wyruszyli na Antarktydę 16 sierpnia 1897 roku. Statek „Belgica" wypłynął z portu w Antwerpii. Zaopatrzenie podróżników wyglądało całkiem znośnie: puree z groszku, pasztet z wątróbek, krewetki, wędzone śledzie, szynka, ozorki, mus owocowy, rodzynki w maladze, piernik...

A potem... statek utkwił w lodzie, a wreszcie zapadły ciemności. Pod koniec lutego 1898 roku mróz skuł Morze Bellinghausena, a po paru tygodniach zapadł mrok. Podróżnicy wznieśli wokół statku wały śnieżne. Wszyscy wiedzieli, że temperatura mocno spadnie. Ale nikt nie wiedział, jak mocno, bo nigdy wcześniej nie przebywał tu człowiek.

eprasa.pl bdab83362d

Jak napisał Julian Sancton w książce „Obłęd na krańcu świata. Wyprawa statku Belgica w mrok antarktycznej nocy", jeden z członków załogi doznał ataku serca, a drugi, 21-letni Norweg, załamania nerwowego. W efekcie próbował sam wydostać się z lodowej pułapki, co skończyło się tragicznie...

Arctowski zapisał: „Biedny Wiencke, który dzielił z nami niedole i trudy, nie doznał rozkoszy, jakich doznali jego towarzysze, odkrywając w dni kilka po jego śmierci nowe ziemie, których piękność krajobrazów jest trudna do opisania!". 6 lipca zmarł bardzo lubiany przez kolegów Emile Danco. Niezdiagnozowana choroba serca nie pozwoliła mu przetrwać trudów polarnej zimy. Jak wspominał Arctowski, w półmroku wyniesiono owinięte w belgijską flagę ciało do przerębla wykutego w lodzie, by oddać je morzu. Dobrowolski napisał zaś na pożegnanie: „Do widzenia, do widzenia, poruczniku Danco! Nie tyś pierwszy i nie tyś pewnie ostatni. Może się spotkamy! Może nawet jeszcze tej zimy!".

De Gerlache i Lecointe spisali testamenty, nie widząc wielkich nadziei na opuszczenie lodowego piekła. Dwóch norweskich marynarzy zaczęło wykazywać oznaki choroby umysłowej. Gerlache pisał: „Nie jesteśmy już marynarzami, a niewielką kolonią karną, w której skazańcy odbywają wyrok".

Wśród członków międzynarodowej załogi najwięcej optymizmu wykazywał Norweg Roald Amundsen, przyszły sławny zdobywca bieguna południowego. 20 czerwca 1898 roku Amundsen napisał, że takiego życia pragnął i że zaciągnięcie się na wyprawę nie było szczeniackim, naiwnym marzeniem, lecz dojrzałą decyzją.

W takich to warunkach Arctowski prowadził badania naukowe. Jak notował, „trzeba było zbierać spostrzeżenia astronomiczne, magnetyczne, meteorologiczne, obserwować zjawiska zorzy, dużo czasu zabierały sondowanie, pomiary temperatury głębin morskich, łowienie zwierząt, polowanie na pingwiny i foki, wycieczki, wreszcie liczne codzienne zatrudnienia". W ramach owych badań Arctowski naukowo udowodnił związek masywu górskiego Andów z górami na Ziemi Grahama. Wykonał też mapę batymetryczną i przekroje termiczne wód Morza Bellingshausena. Wykonał też dokładne obserwacje meteorologiczne, które udokumentował szkicami.

22 lipca na niebie pojawiło się słońce. Gerlache napisał w swoich dziennikach: „Nasze oczy poraziła ta barwna wizja. Tylko ten, komu odebrano słońce, będzie w stanie pojąć, jak wiele dobrego czyni ono dla ciała i duszy. Dopiero wtedy można zrozumieć cześć, jaką pierwotne ludy oddają słońcu i od niepamiętnych czasów umieszczają w panteonie swych bóstw".

A doktor Cook odnotował: „W trzydzieści zaledwie dni przybyło nam po dziesięć lat... Nasza skóra stała się szorstka jak tarka do gałki muszkatołowej. Mieliśmy długie włosy pełne kołtunów i siwizny, mimo że najstarszy z nas nie miał jeszcze trzydziestu pięciu lat".

Wyprawa trwała 15 miesięcy i była pierwszą w historii ludzkości, która przezimowała na Antarktydzie, uwięziona w krze lodowej. Relacje z mrożącej krew w żyłach wyprawy czytał cały świat, w tym konstatację Arctowskiego z upływających tam dni „Jesteśmy w domu wariatów". Te słowa obiegły świat i gdy trzy dziesięciolecia później admirał Rychard Byrd organizował kolejną wyprawę nad Antarktydę, zabrał ze sobą dwie trumny i 12... kaftanów bezpieczeństwa. A relacje na temat tego, jak przygotować człowieka do tak ekstremalnych przeżyć, czytali po kolejnych dziesięcioleciach organizatorzy lotów w kosmos.

▶ Podwaliny pod współczesną naukę

Po powrocie z wyprawy Arctowski podjął pracę w Observatoire Royal de Belgique w Uccle, gdzie opracowywał materiały zebrane podczas wyprawy. Obejmowały one zagadnienia z zakresu geologii, glacjologii, meteorologii, oceanografii, optyki atmosfery i zjawiska zórz polarnych. Arctowski przedstawił na ich podstawie „Projekt międzynarodowych badań Antarktydy", który zreferował na Kongresie Brytyjskiego Stowarzyszenia Popierania Rozwoju Nauki w angielskim Dover we wrześniu 1899 roku.

Jak pisze na swojej stronie The Explorers Club Polska, zgromadzony materiał, wydany w 10 tomach opracowań i sprawozdań, stworzył podwaliny nowoczesnych badań regionów polarnych: geologicznych, meteorologicznych, glacjologicznych i oceanograficznych. Jak wylicza The Explorers Club Polska, z dzisiejszej perspektywy najważniejsze odkrycia Arctowskiego to:

1. Stwierdzenie analogii pomiędzy budową geologiczną Południowych Andów a archipelagami Łuku Scotia i górami Półwyspu Antarktycznego (dla podkreślenia tego związku zaproponował, aby pasmo Andów i Gór Transantarktycznych nazwać Antarktandami).

2. Stwierdzenie zmiany granicy zasięgu śniegu w rejonie Ziemi Ognistej, która podniosła się od czasu maksimum glacjalnego.

3. Uzyskanie całorocznego cyklu obserwacji meteorologicznych, z których wynika, że klimat Antarktydy jest chłodniejszy, niż wcześniej sądzono.

4. Stwierdzenie, że szelf kontynentalny Antarktydy leży na głębokości 400–600 m, a więc znacznie głębiej niż przy innych kontynentach.

eprasa.pl bdab83362d

5. Stwierdzenie podobieństwa zjawisk optycznych w atmosferze, w szczególności rodzaj halo w chmurach krystalicznych i podobieństwa zorzy na półkuli południowej i półkuli północnej.

W tym czasie Arctowski uczestniczył w polskim życiu emigracyjnym. W 1903 roku przemawiał na pogrzebie poety Henryka Merzbacha, powstańca styczniowego. W tym samym czasie zdarzyło się coś bardzo ważnego w życiu Arctowskiego: podczas rautu na zamku królewskim w Belgii poznał amerykańską śpiewaczkę Arian Jane Addy, swoją przyszłą żonę.

Przygotowywana przez Arctowskiego na 1907 rok kolejna wyprawa belgijska nie doszła do skutku. Dopiero w 1910 roku odbyły się wyprawy Roalda Amundsena i Roberta Scotta. Tymczasem Arctowski w 1909 roku wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie kierował działem przyrodniczym Nowojorskiej Biblioteki Publicznej i prowadził badania nad zmianami klimatycznymi, a także odbył wyprawę na Spitsbergen i Lofoty na francuskim statku.

▶ Dwa i pół tysiąca stron dla Amerykanów o Polsce

Ani amerykańska żona, ani amerykańska kariera nie zmieniły uczuć Arctowskiego w sprawie tego, co najważniejsze: odzyskania niepodległości przez Polskę. Gdy w czasie I wojny światowej powstała w Stanach Zjednoczonych organizacja Inquiry, szykująca materiały do konferencji pokojowej w Wersalu, na której ważyć się miały losy niepodległości Polski po 123 latach rozbiorów, Arctowski opracował dla niej specjalny „Raport o Polsce" („Raport on Poland, compiled for the use of the American Delegation to the Peace Conference by Henryk Arctowski").

Nawiązał kontakt z profesorem Uniwersytetu Harvardzkiego w Cambridge Robertem Howardem Lordem, który notabene był autorem monografii o II rozbiorze Polski. Lord był też kierownikiem Komisji Housa (Komisji Dla Spraw Polski) powołanej w USA, jako podkomisji Instytucji do spraw pokojowych Inquiry.

Jak czytamy na stronie The Explorers Club Polska: „Raport o Polsce do użytku delegacji amerykańskiej na konferencję pokojową" składał się „z 14 działów i obejmował blisko 2,5 tysiąca stron maszynopisu, ponad 100 map, liczne rysunki, wykresy i tabele". A jego żona Jane, która stała się pod jego wpływem żarliwą polską patriotką, prowadziła w czasie I wojny światowej akcję charytatywną na rzecz uchodźców polskich, przeznaczając na ten cel dochody ze swoich koncertów.

Potem Arctowski trafił do Paryża, gdzie razem z Romanem Dmowskim i Ignacym Janem Paderewskim podjął działania na rzecz polskiej sprawy. Jego wkład w ustalenie granic Polski i na rzecz propagandy sprawy polskiej opisywał później prof. Eugeniusz Romer.

▶ Oczywisty powrót do niepodległej Polski

Gdy Polska odzyskała niepodległość, światowej rangi uczony nie miał wątpliwości, gdzie jest jego miejsce. Paderewski zaproponował mu stanowisko ministra oświaty w swoim rządzie (ściślej biorąc, było to Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego), ale Arctowski nie chciał być urzędnikiem. Wybrał pracę na Uniwersytecie Lwowskim. W 1921 roku objął stanowisko kierownika Katedry Geofizyki i Meteorologii. Tą katedrą, przekształconą później w Instytut Geofizyki i Meteorologii, kierował do 1939 roku.

Jak pisze Adam Krawczyk na stronie krakowskiej AGH, w 1925 roku odbywał się Międzynarodowy Kongres Geograficzny w Kairze. Delegacja polska liczyła 42 osoby. Przewodniczącym polskiej delegacji i delegatem rządu był Henryk Arctowski, któremu towarzyszyła żona Jane. Cytuje on wspomnienia prof. Kazimierza Stołyhwo z tego wydarzenia: „O 4-tej po południu stanęliśmy w Brindisi. U wejścia do portu ładne stare castello będące i obecnie twierdzą. Port zupełnie pusty. Zabraliśmy jedynie spory ładunek wina i pocztę do Kairu. Wyraziliśmy żartobliwie nadzieję, że jest to prawdopodobnie ładunek przeznaczony dla nas... Wieczorem, po obiedzie, obchodziliśmy dzisiaj uroczystość 25-lecia pożycia małżeńskiego pp. Arctowskich". Przy tej okazji pisze o żonie polskiego uczonego: „Była polską patriotką, angażowała się w sprawę polskiej niepodległości w czasie pierwszej wojny światowej. W latach międzywojennych działała społecznie we Lwowie, m.in. prowadziła kursy języka angielskiego dla studentów Uniwersytetu Jana Kazimierza i Politechniki Lwowskiej, corocznie finansowała dwóm najlepszym studentom stypendium zagraniczne. Była nie tylko żoną, ale i współpracowniczką Henryka Arctowskiego".

Arctowski w niepodległej Polsce opublikował wraz ze swoim zespołem ponad 130 prac naukowych i 10 tomów Komunikatów Instytutu Geofizyki i Meteorologii. Do swojego Instytutu sprowadził ze Stanów Zjednoczonych własną obszerną bibliotekę naukową. Do podniesienia rangi lwowskiego uniwersytetu używał swoich kontaktów na świecie. W 1928 roku był jednym z inicjatorów zwołania Kongresu Międzynarodowej Unii Geograficznej w Cambridge. W ramach Kongresu została powołana Komisja Wahań Klimatycznych. W 1929 roku Arctowski wysunął projekt założenia polskiej bazy badawczej na Spitsbergenie. Zaproponował wyko-

eprasa.pl bdab83362d

rzystanie nowoczesnych środków lokomocji na terenach polarnych – sań motorowych oraz helikoptera na płozach. W 1935 roku został powołany na członka Polskiej Akademii Umiejętności.

Przeciwko sługusom moskiewskim

W sierpniu 1939 roku Arctowski wyjechał do Waszyngtonu na Kongres Międzynarodowej Unii Geodezyjno-Geofizycznej, gdzie pełnił funkcję przewodniczącego Komisji Zmian Klimatu. Na Kongresie reprezentował trzy instytucje: Polską Akademię Umiejętności, Uniwersytet we Lwowie i Międzynarodową Unię Geograficzną. Tam zastała go wojna.

Arctowscy stracili cały swój lwowski majątek, ale w Ameryce posypały się dla Henryka oferty. Przyjął propozycję pracy w Smithsonian Institution, czyli obserwatorium astronomicznym w Waszyngtonie. Z tą instytucją miał być związany w latach 1939–1950. Prowadził tam badania promieniowania słonecznego, a w szczególności zmian pogody. 23 lipca 1940 roku Arctowski wraz z żoną otrzymali obywatelstwo amerykańskie.

Po wybuchu wojny Arctowski znowu walczył w Ameryce o polską sprawę. W tym czasie komunistyczni naukowcy, na czele z Oskarem Lange, zaczęli wspierać sowieckie roszczenia co do polskich ziem. Wydawany przez poetę Jana Lechonia „Tygodnik Polski" z 30 stycznia 1944 roku pisał o sowieckich kolaborantach: „pan Lange, pan Penzik, pan Szyk i towarzysze ich, powtarzając wszystkie kłamstwa i oszczerstwa urzędowych pism i agencji sowieckich, skierowane przeciwko rządowi polskiemu, polskiemu wojsku i polskiemu narodowi, domagając się, aby rząd ten oddał Sowietom połowę polskiej ziemi, prowadząc kampanię polityczną najwyraźniej dyktowaną przez obce państwo i w jego interesie, dopuszczają się zdrady państwa polskiego". Sądząc po stylu owego wstępniaka, jego autorem był sam Lechoń, który stwierdzał: „Ta zdrada nie jest szaleństwem, nie jest jakimś odosobnionym wybrykiem, czy jakąś jednostkową degeneracją; jest to zdrada zorganizowana, czynna, karna, świadoma swych celów, ważąca każdy krok, raz układna, raz pełna niepojętej zbrodniczej buty; jej cel jest jasny, bo przecież sama otwarcie go głosi: oddanie polskiej ziemi wrogom".

Poniżej wstępniaka Lechonia znajdował się „List uczonych polskich w USA i Kanadzie", a pierwszym podpisanym na tej liście był Henryk Arctowski. Naukowcy o ogromnym dorobku pisali: „Dr Oskar Lange pojawił się jako zagorzały zwolennik rosyjskich roszczeń do Polski Wschodniej, 29 kwietnia 1943 r. (kilka dni po zerwaniu przez Sowiety stosunków dyplomatycznych z Polską), publikując prowokacyjny list w New York Herald Tribune, w której determinacja Polski do zachowania integralności swojego terytorium zostało przez niego nazwana »histerią narodową«. Jego sugestie były identyczne z propozycjami rosyjskiego MSZ".

W 1950 roku Arctowski zakończył pracę w Smithsonian Institution, powołując się na ubytek sił, ale nadal kontynuował pracę naukową. W 1953 roku Arctowscy przenieśli się do Nowego Jorku, a rok później do sanatorium na Florydzie. Do Waszyngtonu powrócili w roku 1957. Kończył się już ich ziemski czas. Henryk zmarł 21 lutego 1958 roku, w wieku 87 lat, a Jane zaledwie kilkanaście tygodni później, 4 maja 1958 roku. Ich prochy, zgodnie z ich życzeniem, zostały sprowadzone do Polski i pochowane na Powązkach w 1960 roku.

Lodowiec Arctowskiego

Henryk Arctowski jest upamiętniany na całym świecie, natomiast w Polsce, po czasach komunizmu, odbywało się to często z niemałym opóźnieniem. Nazwisko profesora Arctowskiego zostało upamiętnione w wielu nazwach geograficznych. W Arktyce na Spitsbergenie jest Góra Arctowskiego i Lodowiec Arctowskiego, a na Antarktydzie Półwysep Arctowskiego, Zatoka Arctowskiego, Nunatak Arctowskiego oraz Góry Arctowskiego.

Część majątku odziedziczonego przez Arian Jane Addy-Arctowską Arctowscy przeznaczyli na ustanowienie Fundacji im. H. Arctowskiego w Narodowej Akademii Nauk Stanów Zjednoczonych. Co trzy lata Fundacja przyznaje nagrodę i medal im. Henryka Arctowskiego za wybitne osiągnięcia w badaniach heliofizyki i w badaniach zależności Słońce–Ziemia. W 1969 roku Amerykańska Akademia Nauk ustanowiła Medal Arctowskiego za badania fizyki Słońca i wzajemnych wpływów Słońca i Ziemi. W końcu peerelowska jeszcze Marynarka Wojenna RP nadała swojemu okrętowi hydrograficznemu nazwę „ORP Arctowski".

19 września 2007 roku Narodowy Bank Polski wprowadził do obiegu monety, przedstawiające Henryka Arctowskiego i Antoniego B. Dobrowolskiego, o nominałach: 10 zł – wykonaną stemplem lustrzanym w srebrze, 2 zł – wykonaną stemplem zwykłym w stopie Nordic Gold.

Pod adresem internetowym Arctowski.pl odnajdujemy stację badawczą zlokalizowaną na Wyspie Króla Jerzego w archipelagu Szetlandów Południowych, która obecnie nosi nazwę Polska Stacja Antarktyczna im. Henryka Arctowskiego. ■

eprasa.pl bdab83362d

Jest na Litwie maleńka miejscowość, niedaleko granicy z Białorusią. Po litewsku zwie się Šalininkai, a po polsku Soleczniki. Przy kościele i cmentarzu stoi wielki głaz z napisem: „Na cmentarzu solecznickim w listopadzie 1821 r. Adam Mickiewicz obserwował obrzędy Dziadów". Co sprowadziło wieszcza akurat do Solecznik w listopadzie owego roku?

DZIADY 1821. MICKIEWICZA POBYT W SOLECZNIKACH I OKOLICY

Tomasz Łysiak

Dotarłem do tej miejscowości wraz z grupą młodzieży – wolontariuszy, harcerzy, uczniów klasy mundurowej – zwiedzającą Litwę w ramach programu Polskiej Fundacji Narodowej „Z miłości do Rzeczypospolitej Obojga Narodów". Jakież było moje zaskoczenie, gdy Cezary Jurkiewicz pokazał wszystkim ów kamień z napisem upamiętniającym obrzęd, w którym wziął udział poeta, a potem zainspirowany tym, co zobaczył, opisał go w „Dziadach". Odkrywanie starych, przedwiekowych grobów, spacer wśród pomników cmentarnych, szum drzew, które pamiętają Mickiewicza – miały w sobie coś z polskiego rytuału. Szukamy przodków, chcemy usłyszeć ich głosy, potrzebujemy, by znów mówili do nas. Stąd nasza potrzeba poszukiwania polskich korzeni – tym silniejsza, im mocniej te korzenie murszeją, im bardziej ktoś je nam próbuje przeciąć.

▶ Stała w miejscu, grobowej podobna kolumnie

Za kościołem solecznickim pw. św. Piotra Apostoła znajduje się kamienny nagrobek z płytą, na której widnieje napis: „D.O.M. Pamiątce Michała Wagnera, podporucznika Żandarmeryi W. X. Lit. Na placu bitwy pod Widzami w Pow. Brasł. w 25 Roku życia poległego. Przez przychylnego brata poświęcono". Tym bratem był Karol Ferdynand Wagner. Sam kościół zresztą stoi w miejscu, w którym niegdyś znajdowała się kaplica cmentarna Wagnerów, a w jej podziemiach były groby członków tej rodziny. Jak podał „Kurier Wileński", cytując ustalenia Reginy Bućko, która spisała nazwiska, zanim miały zniknąć na zawsze, w kaplicy spoczywało dziesięcioro Wagnerów – w tym hrabia Karol Wagner (1786–1863), który kupił Soleczniki w roku 1823, i jego córka, która na płycie nagrobnej miała słowa: „śp. Wanda Wagnerówna, zmarła w 1839, żyła 18 lat"...

Historia miasteczka wiele ma wspólnego z rodziną żołnierza poległego w czasie kampanii napoleońskiej roku 1812. W wydanej, w 1934 roku, w Wilnie rozprawie doktorskiej „Dobra Wielkie Soleczniki" pisał Ludwik Kohutek: „z chwilą objęcia Wielkich Solecznik w posiadanie przez Wagnerów nastąpił w historii tego majątku moment zwrotny. O ile gospodarkę za Chodkiewiczów i Szwykowskich można by nazwać zaledwie wegetacją dworu i wsi solecznickich, o tyle od 1835 r. Wielkie Soleczniki wchodzą na drogę ciągłej i nieprzerwanej ewolucji"...

▶ Księże, arcyprzednia rada!

Jednak nas przecież interesuje bardziej Adam Mickiewicz i jego pobyt w miasteczku, w listopadzie roku 1821. Być może jakimś wyjaśnieniem byłby fakt, iż właśnie tu znajdowała się poczta konna i jej budynek, zatem w Solecznikach można było się zatrzymać, podróżując do Wilna. Ale też są tropy inne. Oto od roku 1818 proboszczem parafii solecznickiej był ksiądz Paweł Hrynaszkiewicz, siostrzeniec ks. Józefa Mickiewicza (u którego zatrzymywał się Mickiewicz, gdy uczył się w Wilnie). To u niego spędzał Wigilię i Boże Narodzenie w roku 1818. Połączył ich obu także Uniwersytet Wileński, na którym ksiądz studiował, a potem został nawet prefektem kościoła akademickiego. Pisała Alwida Antonina Bajor, że „U księdza Pawła Hrynaszkiewicza w Solecznikach Adam był także latem 1821 r.". Być może kapłan ten mógł mieć istotny wpływ na treść „Dziadów" – jak twierdzą niektórzy, to jego postać i dysputy z nim prowadzone przybrały kształt dialogów Pustelnika lub Gustawa z Księdzem.

▶ I czegóż ona przede mną uciekła?

Jest jeszcze jeden, ważniejszy dla serca Mickiewicza, trop, który wiedzie do Solecznik i wyjaśnić może, dlaczego właśnie tu oglądał obrzęd dziadów. Prowadzą nas do niego znakomici znawcy Mickiewiczowskiego życiorysu idący śladem jego największej życiowej, niespełnionej miłości – Maryli Wereszczakówny. Jarosław Marek Rymkiewicz pisze o pobliskich miejscowościach, usiłując dociec okoliczności jej ślubu z hrabią Puttkamerem (ewangelikiem – co było dla tych rozważań istotne, gdyż chodziło o konkretną świątynię, w której sakrament mógł się odbyć). W każdym razie pamiętamy, iż autor „Ballad i Romansów" oraz „Pana Tadeusza" zadurzył się w Wereszczakównie najpewniej w roku 1818 lub 1819. Dwa lata później – jego wielka miłość wzięła ślub z Wawrzyńcem Puttkamerem. Wiemy także, że w sierpniu tego roku doszło do spotkania Mickiewicza z Marylą. Najprawdopodobniej w rodzinnym dworze Maryli w Tuhanowiczach, co Rymkiewicz opisał, snując nawet rozważania, czy przypadkiem zbieganie Zosi pod desce do ogrodu (w „Panu Tadeuszu") nie było wzięte z podobnej sceny widzianej w tuhanowickim dworze... Pisze o tym także Bohdan Urbankowski w książce „Adam Mickiewicz. Tajemnice wiary, miłości i śmierci", rysując piórem takie okoliczności: „stary park w Tuhanowiczach, gaik Maryli, jakiś omszony kamień na granicy...". Spotkanie – co ważne – miało się odbyć już po ślubie. Przy czym to właśnie w trakcie pobytu w Solecznikach miał się Mickiewicz o jej zamążpójściu dowiedzieć.

FOT. ARCH

eprasa.pl bdab83362d

Jak trup samotny, obok weselnego tłumu

Po wizytach wakacyjnych nasz wieszcz „załatwił sobie urlop od belfrowania". Był w Kownie i w Wilnie. Wreszcie nadeszła kulminacja całej sprawy, w wyniku emocjonalnego crescendo – jak sobie możemy to wyobrazić. 28 września 1821 roku (10 października starego stylu) Adam jest jeszcze w Wilnie. Co będzie dalej? Urbankowski przytacza list Czeczota do Pietraszewicza opisujący nastrój poety: „(Adam) przyjechał z Tuhanowicz bez mała, jak zwariowany. Nic prawie nie robi, trudno z nim i nie można już nawet i gadać, milczy, lulkę pali, chodzi wiele, zawsze zamyślony, a o niczym dobrym nie myśli, bo całą myśl opanowała Maria: słowem zbrzydził świat i życie, ledwie że nas nie zbrzydził".

Jak domniema Urbankowski – już wtedy pewnie wieszcz myślał o pojedynku. Być może nawet o śmierci swojej w tymże pojedynku... I przytacza kolejny list Czeczota: „Adam bardzo źle wychodzi na swoim kochaniu. Ciągle, jak w gorączce, ciągle dusza natężona nie daje mu spokojności życia [...]. Jeszcze na nieszczęście bliski pobyt od miasta sprowadza często do niego równie zaślepioną kochankę. Te wizyty są to gwałtowne miotanego i tak najwyższą namiętnością wstrząśnienia". Tu musimy na chwilę przerwać opowieść Czeczota i narrację Urbankowskiego, by dać czytelnikowi wyjaśnienie dotyczące miejsc. Gdy w powyższym cytacie mowa o „bliskim pobycie od miasta", chodzi tu o miejscowość Bolcieniki. To tam mieszkała Maryla w majątku męża. Gdy spojrzymy na mapę, od razu sprawa się wyjaśnia – Soleczniki leżą bardzo blisko – to około 12 km dystansu. Obecnie dzieli je granica litewsko-białoruska, stąd „sąsiedztwa" nie czuć. Inaczej jednak było w wieku XIX.

Kobieto! puchu marny! ty wietrzna istoto!

Czytajmy dalej list Czeczota: „Mąż [czyli hr. Puttkamer – przyp. T.Ł.] wyszedł na posiedzenie wspierających niedostatnich uczniów; Adam, korzystając z okoliczności, poszedł do niej, siedział z godzinę, ale nie pamięta, jak siedział. Darowała mu pierścień, a przecież ledwie się wtedy o tym dowiedział, kiedy powróciwszy od niej padł na łóżko, zasnął i we śnie przyśnił, że mu pierścień darowała [...]. Już teraz szczęścia i przyjemności nie zna; jedynym jego szczęściem sylwetka Marii, którą sobie, i to długo by mówić, prze jakie drogi, prze jakie sposoby, kazał sobie zrobić". Jak z tego widać, poprzednia miłość Adama, Karolina Sobańska – całkiem już w cień odeszła na korzyść Maryli.

Ponoć, jak pisze Urbankowski, to spotkanie z Puttkamerową faktycznie się odbyło. Leonard Podhorski-Okołów, na podstawie dokumentów, do których dotarł, ustalił, iż jesienią 1821 roku odbyły się w Wilnie trzy zebrania Towarzystwa Wspierania Niedostatnich Uczniów – 7 i 8 września, oraz... 2 listopada.

Urbankowski wnioskuje: „Poeta mógł być u Maryli 2 listopada tegoż roku. Wtedy to »nie wiadomo, co się z nim działo« i wtedy zaślepiona kochanka podarowała mu pierścień. Wyprawy w inną rzeczywistość to mają do siebie, że po powrocie niczego się nie pamięta...".

Na świecie jeszcze, lecz już nie dla świata!

My dodajmy teraz do tej opowieści, i swego rodzaju małego śledztwa, wątek dotyczący Solecznik. Jest bowiem możliwe, że ów obrzęd dziadów, który wieszcz Adam obserwował na miejscowym cmentarzu, widziała także Maryla. Jeśli przyjmiemy, że odbył się 31 października bądź 1 listopada, i złożymy z tym listy potwierdzające spotkanie oraz wręczenie pierścienia, a także pobyt hrabiego Puttkamera w Wilnie w dniu 2 listopada – czyż wszystko nie układa się w harmonijną całość? Co prawda Tadeusz Pini, który w roku 1933 wydał rozprawę „»Dziady« a Maryla", chociaż cytował list Czeczota i pisał o spotkaniu kochanków, nic o Solecznikach nie wspomniał.

W roku 1821 Mickiewicz pracował nad tłumaczeniem „Cierpień młodego Wertera" – nie bez kozery zatem ponure nastroje mogły się pojawiać w jego duszy, gdy dodamy historię owej niespełnionej miłości.

Wpadł w końcu na pomysł pojedynku. Odnotował tę historię przyjaciel poety, Teodor Łoziński, który zaproponował, że będzie sekundantem i zaniesie pistolety. „»Dobrze – odpowiedział Adam obojętnie – pójdziemy«. Wziąłem więc pistolety i ruszyliśmy do dworu". Tam jednak spotkali państwo Puttkamerów przechadzających się w ogrodzie. „Skorośmy tylko weszli w bramę, pani postrzegłszy nas, poskoczyła ku nam, chcąc powitać poetę, ale ten spotkał ją wzrokiem, od którego słowa zastygły na ustach, ano ten, chwyciwszy ją za rękę, zapomniał o Puttkamerze, o mnie, o zamiarze swoim i o całym bożym świecie. Trzymając się za ręce, milcząc, tylko wpatrując się w siebie wzajemnie – poeta i pani Puttkamerowa – poszli drogą wiodącą do ogrodu"...

Takie to niebywałe sceny działy się w roku 1821. Roku, w którym Adam Mickiewicz, na cmentarzu w Solecznikach, patrzył na obrzęd dziadów... ■

eprasa.pl bdab83362d

Piotr Lisiewicz

Czy dało się w 1933 roku przewidzieć, co stanie się z Niemcami w roku 1939? Zdecydowana większość ówczesnych polityków i publicystów odpowiedziałaby, że nie. Artykuł Zygmunta Nowakowskiego, instytucji miasta Krakowa, pisarza, genialnego felietonisty, dyrektora teatru Słowackiego, aktora, kibica Cracovii i obrońcy zwierząt, a po wojnie jednego z liderów antykomunistycznej emigracji, pokazuje, że to wisiało w powietrzu i dla osoby o szczególnej wrażliwości było jasne już po dojściu Hitlera do władzy. „Azja! Instynkt trzody, zasłuchanej w dźwięk słów idealnie pustych i naiwnych zarazem... Dzisiejsze Niemcy nie są niczym innym, jak jedną wielką propagandą. Tylko to można o nich powiedzieć z całą pewnością. I w tym podobni są do Rosji sowieckiej" – pisał autor „Wieczorów pod dębem", gdy nikt tak jeszcze nie myślał. A przy okazji polecam wszystkim świetną książkę Pawła Chojnackiego „Kiedy Zygmunt Nowakowski wróci wreszcie do Krakowa?". Czy my kiedyś odzyskamy nasze miasta, które przecież znamy jak zły szeląg?

Zygmunt Nowakowski

Deutschland über Alles...

Byłem w stratosferze pychy. I w stratosferze chamstwa. W Bytomiu przekroczyłem granice Azji. Znalazłem się w Polsce. To jest w Europie. I jest mi dobrze. Jak dobrze! Celnik zauważył bezbrzeżną słodycz, rozlaną szeroko na mojej twarzy, i spytał, czy przypadkiem nie wiozę sacharyny.

– Nie! Wiozę raczej miód. Bardzo dużo miodu. Ale wiozę go nie stamtąd. To wyrób krajowy, nasz. I nabrałem tego miodu w tej chwili dopiero... Przed sekundą.

– Proszę pokazać!

– Nie mogę w żaden sposób! Ja ten miód mam wewnątrz, w sercu. Dobrze mi do tego stopnia, że nawet panu życzę, aby pan po najdłuższym życiu dostał się do królestwa niebieskiego...

▶ „Jest Zygmunt. A tobie na imię Jan"

Celnik, zupełnie słusznie, popatrzył na mnie jak na wariata. Nic dziwnego, bo trudno mnie zrozumieć. Przecież nawet ja sam nie rozumiem siebie. Oto zbliża się polski policjant. Powiedziałem zaś sobie tam, w Poczdamie, że z pierwszym polskim posterunkowym, którego spotkam po powrocie, muszę zostać na ty. Pytam go więc, kiedy kończy służbę. Ponieważ chcę z nim wypić bruderszaft. Koniecznie! Tak, tak, nie wymiga mi się pan, panie posterunkowy, i musimy pójść na wódkę. I przy pierwszym kieliszku powiem krótką mowę, którą dałoby się streścić mniej więcej w ten sposób:

– Mam do pana wielką sympatię, panie posterunkowy! Na twarzy pańskiej maluje się pański zacny, prawy charakter. Sposób, w jaki pan ukłonił się, pytając o paszport, świadczy, że ma pan kulturę towarzyską. Z punktu widzenia antropologii przedstawia pan typ sarmacki, względnie asteniczno-pykniczny, z lekką przymieszką typu alpejskiego, albo dynarskiego. Czyli, że jesteśmy sobie bliscy. Poza tym jest pan gentlemanem. Jest pan świetnie ubrany – proszę mi nie przerywać – jest pan wytworny. Wygląda pan na człowieka łagodnego i zadowolonego – proszę mi nie przerywać – przede wszystkim zaś na człowieka przyzwoitego. Nie zrobił pan nigdy żadnego świństewka – wiem co pan chce powiedzieć, ale tego się nie liczy. Detale, głupstwa, nic więcej! Nigdy nie znęcał się pan nad bezbronnymi – proszę nie przerywać – naturalnie, pan sam chce wspomnieć o pewnych jaskrawych, ale rzadkich wypadkach, o pewnym akademiku południowo-słowiańskiego pochodzenia. I o innych zdarzeniach analogicznych, które trafiały się od czasu do czasu.

eprasa.pl bdab83362d

Owszem, bywało rozmaicie. Ale są to raczej wyjątki. Oczywiście, lepiej, żeby ich wcale nie było. Ale nie mówmy o tym. Cieszę się, widząc pana. Jest mi na imię Zygmunt. A panu? To jest raczej tobie?

– Jan, proszę pana doktora.

– Nie ma żadnego doktora. Jest Zygmunt. A tobie na imię Jan. Świetnie się składa. Nie może być nic odpowiedniejszego, jak właśnie Jan. Jasiu, wypij!...

Taką to imaginacyjną rozmowę przeprowadziłem z pierwszym polskim posterunkowym. Chciałem się wygadać. Wyrzucić z siebie wszystko to, co mnie gniecie. Przecież myślałem, że w Poczdamie padnę trupem na miejscu. Popularniej mówiąc, że mnie szlag trafi. Patrząc na defiladę pod kościołem garnizonowym, odnosiłem wrażenie, że jestem pyłkiem jakimś czy atomem wgniecionym w bruk. Czułem, że to po mnie maszerują te bataliony, że łamią mi kości, depcą obcasami po piersiach. Że mnie druzgocą kopyta końskie i koła armat. Dlatego jeszcze w tej chwili trudno mi pozbierać się.

▶ Upiór Fryderyka w jasny, słoneczny dzień

Gdy musiałem wysłuchać dwadzieścia jeden strzałów armatnich, coś nagle trzasnęło mi w nerwach. Gdyby strzałów było n.p. 25, albo nawet 22, nie wytrzymałbym. I te strzały do tej pory mam w uchu. Strzały i bicie dzwonów ze wszystkich kościołów. A jest tych kościołów tyle chyba, co w Krakowie. Nie koniec na tym! „Deutschland über alles, über alles in der Welt!" Każda nuta rozpruwa mi bebechy. A oni bisują. I drugą zwrotkę śpiewają już wszyscy. Nawet nie śpiewają, ale ryczą. Wszystkie ulice miasteczka i cały zapchany plac. To już nie pieśń, ale jakaś lawina, która urwała się nagle. Bo do Poczdamu zwaliło się wszystko, co mogło. Za okno, za miejsce w oknie jakiś amerykański dziennikarz zapłacił sto dolarów. Niemcy zaś jechali od wczesnego rana. Powstały jakieś spółki transportowe. Ludzie jechali na lorach, na wozach pocztowych, było kilka olbrzymich placów na zaparkowanie taboru tysięcy aut i rowerów. Starcy i dzieci, bogaci i biedni, słowem, kto mógł. A kto nie mógł, tego wieźli na wózku.

Po diabła ciężkiego pchałem się do tego Poczdamu i zabiegałem o Presseausweis. Przeklinam ten najgłupszy pomysł. Być Polakiem i patrzeć własnymi oczyma, jak pęcherz niemiecki nadyma się, pęcznieje, wzbiera. Gryzłem wargi do krwi a wydostać się stamtąd nie było sposobu. Musiałem czekać sześć bitych godzin, aż do chwili, kiedy udało się ruszyć auto z zatoru [...]

Mógłby ktoś powiedzieć, że strach ma wielkie oczy. Ale to nie był strach. Raczej obrzydzenie. Uczucie, które w wywiadzie określiłem jako ciśnienie miliarda niemieckich atmosfer. Z tym łączy się jakby podgorączkowa temperatura. I skłonność do zwidzeń. Zobaczyłem więc Fryderyka Wielkiego, jak szedł przez gęsty szpaler. Nie ma dziś w Berlinie i w całych Niemczech ani kawałka muru czy kiosku, z którego nie patrzyłby Fryderyk, reprodukowany na tysiącach pocztówek i obrazów. Zwłaszcza w momencie, gdy wstaje z trumny. Najnowszy film „Choral von Leuthen" (choć nietaktownie wypomina zwycięstwo odniesione nad Austrią) jest apoteozą Fryderyka, którego oczy wystrzelają z rogu każdej ulicy.

Może dlatego, że ta twarz utkwiła mi w pamięci, ujrzałem upiora Fryderyka w jasny, słoneczny dzień. Wyszedł z podziemi kościoła i pochylony, oparty na lasce, kroczył przez Breite Strasse ku dziedzińcowi pałacu. To miejsce dawnych parad a równocześnie plac kaźni. Plac, na którym ćwiczono setki żołnierzy rózgami. Na śmierć. W całym mieście słychać było świst batów i jęk ofiar. Mięso i krew pryskało na ściany, jak mówi o tym pamiętnikarz, kaznodzieja nadworny z Poczdamu.

Upiór Fryderyka Wielkiego odbierał defiladę. Na powitanie króla zjawił się w komplecie cały kwiat dawnej armii cesarskiej. W błyszczących pikelhaubach, w futrzanych kołpakach, z piórami czaplemi, w admiralskich kapeluszach, kapiący od złota i orderów, przybrani w szarfy. A na każdym dachu i w dymniku każdym żołnierze z karabinami wymierzonymi w niebo. Na wypadek, gdyby przecież wbrew zakazowi odważył się przelecieć nad placem jakiś samolot.

▶ Niemcy są jedną wielką propagandą

Pewnie, że to ich wielkie święto. Cieszą się i może mają z czego. Przyszłość pokaże. Ale na to nie powinienem się patrzeć. Tak, jakbym do obcych ludzi wlazł podczas wilii. Niezaproszony i niecierpiany przez nich. To też zostałem ukarany widokiem tej rewii!

Idzie Hitler. Żartami nie da się zbyć tej – dla mnie w tej chwili – potężnej indywidualności. Lakiernik z fachu? No, więc co z tego? Teraz ma całe Niemcy w dłoni. Całe, bez reszty. Razem z rzekomo separatystyczną Bawarją, która w jednej sekundzie padła na kolana. Całe Niemcy! Taki olbrzymi, potężny naród. Hitler stanowi wielkość, o której na dobrą sprawę nikt nie wiedział nic. Nie wiadomo, czy on sam wiedział? Jest emanacją, wykładnikiem potwornej, nieobliczalnej siły, która teraz ściele mu się pod nogi. Jest bożyszczem. I hasłem. I wielką niewiadomą. Ludzie patrzą na niego, jak w tęczę. Są tacy, którzy za-

eprasa.pl bdab83362d

bierają stołeczki składane i jedzenie i czekają dzień i noc, aby go zobaczyć. W tej chwili jest absolutnie wszystkim. Na baczność stoi przed nim sześćdziesiąt milionów.

Opozycja? Szukajcie jej po wszystkich więzieniach i to głównie za granicą! Von Papen prosi o przyjęcie do nowicjatu w partii narodowo socjalistycznej, jakiś wybitny poseł komunistyczny zgłasza się z tą samą prośbą. Otrzymuje odpowiedź, że co najmniej przez trzy lata musi dobrem sprawowaniem się zasłużyć na przyjęcie do partii... Stratosfera pychy! I Azja! Instynkt trzody, zasłuchanej w dźwięk słów idealnie pustych i naiwnych zarazem, jak słowa wszystkich wielkich proroków. – Równocześnie jednak słowa te są zdobywcze. Takie, które czasami stają się ciałem.

Byłem od niego o jakichś dwadzieścia kroków. Spontanicznie zrodziła się myśl, co będzie, jeśli ktoś strzeli czy rzuci bombę. Czy momentalnie zawali się cały olbrzymi gmach, którego fundamentem jest jeden jedyny człowiek? Mam wrażenie, że wszędzie indziej ludzie daliby sobie jakoś radę w analogicznej sytuacji, ale tu chyba nie...

W uszach mam jeszcze huk strzałów poczdamskich, w oczach ćmi się od blasku tysięcy pochodni, których dym dławi mnie. Przede mną leży sterta cała literatury, broszur, książek, śpiewników i.t.d. Chcę jakoś zebrać się w kupę, przekreślić jednym pociągnięciem pióra siedm kiepskich – co mówię – podłych felietonów, a napisać wreszcie coś, coby miało ręce i nogi. Oraz głowę. Doprawdy nie wiem, od czego zacząć.

Chyba od stwierdzenia faktu, że o Niemczech nie wiedzieliśmy nic. Wszystkie nasze pojęcia i wyobrażenia były z gruntu fałszywe. Nie tylko pojęcia nasze, ale i pojęcia obcych. Więcej mogłaby o Niemczech dzisiejszych powiedzieć pani de Stael, która przed stu dwudziestu laty napisała książkę „L'Allemagne". Sędziwy Tacyt, autor Germanii, znał ich lepiej niż my. Powiedział on zaś, że „spokojne życie nie odpowiada temu narodowi". Zdaje się, że miał rację.

Dzisiejsze Niemcy nie są niczym innym, jak jedną wielką propagandą. Tylko to można o nich powiedzieć z całą pewnością. I w tym podobni są do Rosji sowieckiej. Cokolwiek innego mówiłoby się, będzie to zawsze połączone z ryzykiem pomyłki. To też, gdy ludzie pytają o szczegóły i wrażenia, zawsze zdaję sobie sprawę z tego, że wszystkie porównania czy analogje nie mówią nic w tym wypadku. Są fałszywe i raczej wprowadzają w błąd, zamiast cośkolwiek wyjaśnić czy uplastycznić.

Weźmy najprostszy przykład. W uroczystościach poczdamskich brali udział weterani z 66-go i 70-go roku. Myślałem, że zobaczę coś w rodzaju naszych weteranów powstania styczniowego. Tymczasem ta grupa imponowała przede wszystkim... bogactwem futer i liberią lokajów, którzy popychali wózki. Nasz weteran w pochodzie wzrusza, jest ornamentem uczuciowym. I widząc ich, mówimy sobie: „Jak to dobrze, że nimi zajęło się państwo, że mają mundury i pensje, że im nie zbywa na niczym"... Weterani, których widziałem w Poczdamie, nie potrzebują niczyjej pomocy.

Przykład inny. Pyta mnie ktoś:

– Panie, więc ci Hitlerowcy to tak, jak nasi Strzelcy?

Jestem w kłopocie. Hitlerowcy to jakby Strzelcy... Tak i nie. Może socjologicznie czy jak tam spełniają identyczną funkcję, ale różnicę wyjaśni mała scenka, mikroskopijny epizod. Do wielkiej, wytwornej restauracji wchodzi jegomość w brunatnej koszuli. Prostak. Ale trzeźwy zupełnie. Zamawia sobie jakąś potrawę. Gdy ją przynieśli, widelcem i nożem przeorał cały półmisek, przejechał jak broną po jarzynach, zeżarł połowę i woła kelnera. Żeby mu to zabrali i dali coś innego. Nie smakuje mu. Trzeba widzieć, co się dzieje w restauracji! Zjawia się szef, blady jak trup, cały sztab kelnerów, piccolów itd. Proszą o wybaczenie, zaklinają się, że to nie ich wina, że to kucharz... Zaraz przyniosą coś innego. Wszystko leci im z rąk. Drżą półmiski, talerze, brzęczą widelce. Kelner upuszcza jakiś kawałek, który rozbija się z hukiem. W pośpiechu, galopem przynoszą coś innego. Stają w przyzwoitym oddaleniu, pytając trwożnie, czy teraz smakuje. Bo gdyby nie, to oni w każdej chwili jeszcze i to zmienią...

Czy taka scenka, możliwa u nas ostatecznie gdzieś na prowincji, jest do pomyślenia np. w Europie lub Bristolu, u George'a w Wilnie czy Lwowie albo w krakowskim Starym Teatrze? Chyba nie [...]

Pierwszy obóz dla więźniów politycznych obliczono odrazu na 5000 lokatorów. Oczywiście, to tylko prowizorium. W projekcie jest budowa olbrzymiej centrali o rozmiarach... całych Niemiec.

Gdy więc myślę o tych rzeczach, pewne nasze lokale i pewne osobistości maleją mi w oczach. Nabierają jakichś konturów: zdrobniałych. Imiona ich stają się pieszczotliwe. I nie dalej, jak wczoraj słyszałem, że ktoś mówiąc o naszych sprawach, użył słowa „Kosteczek". Potem przeszedł na „Kostuś". Wreszcie na „Kostuchna"... ■

_____

Przedruk za: „Ilustrowany Kuryer Codzienny", 27.03.1933, Kraków, Rok 24, Nr 86.

Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl bdab83362d

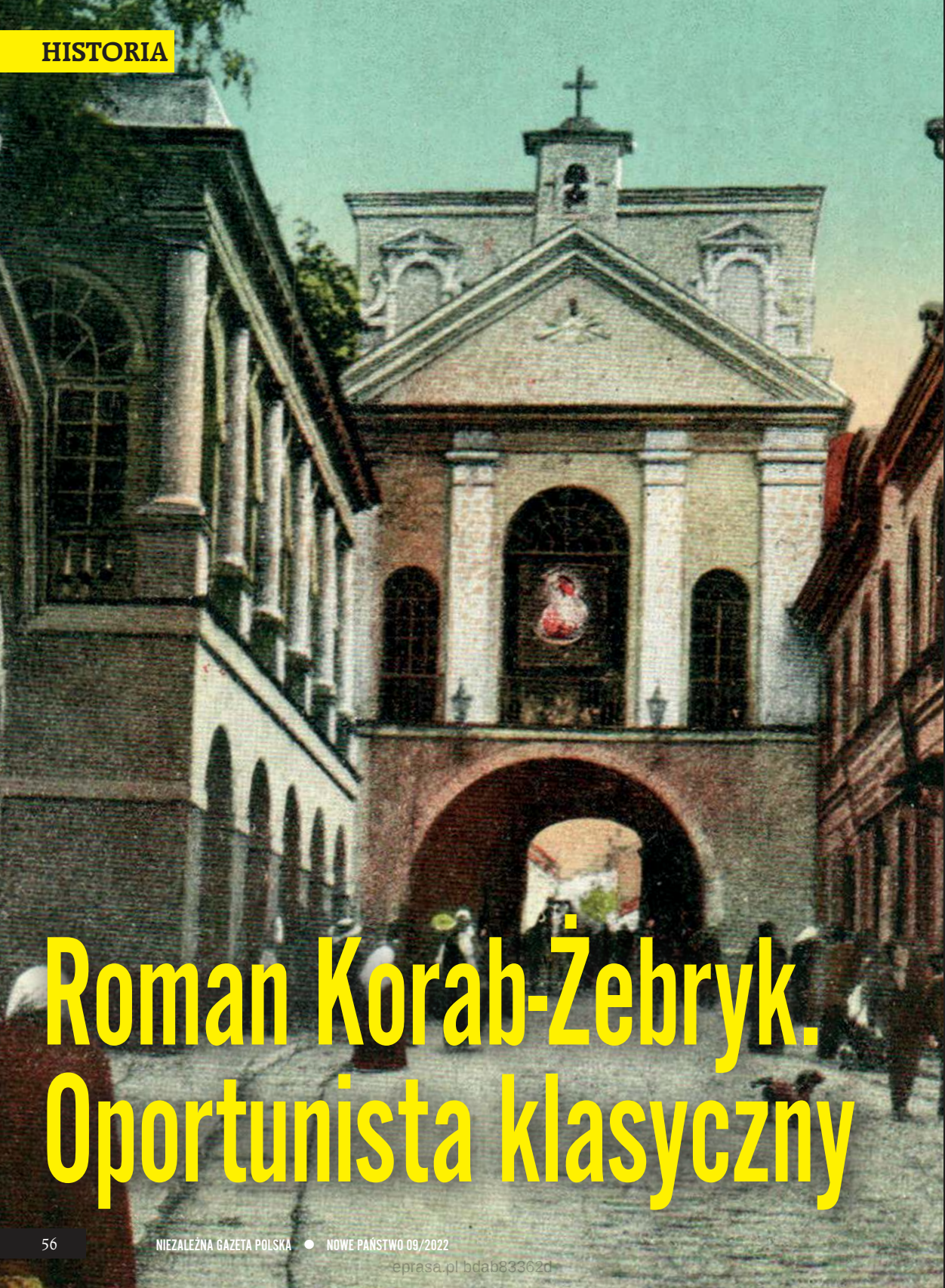

Roman Korab-Żebryk. Oportunista klasyczny

eprasa.pl bdab833620

Roman Korab-Żebryk w swojej książce nazwał „Łupaszkę" dezerterem. Obrzucając Mackiewicza błotem w prasie PRL, a później III RP, nie dawał pisarzowi żadnych szans na obronę. A gdy koledzy Żebryka z Armii Krajowej byli brutalnie prześladowani, siedzieli w więzieniu, o ile mieli szczęście przeżyć, on w tym czasie pracował na ciepłych posadach w strukturach komunistycznego państwa.

Dariusz Jarosiński

fot. Arch.

Nagonka na Józefa Mackiewicza ma długą historię. Jej początek sięga 1943 roku, kiedy w wileńskim pisemku „Niepodległość", wydawanym przez Biuro Informacji i Propagandy (BIP) Armii Krajowej, ukazał się artykuł autorstwa Jerzego Wrońskiego i Lucjana Krawca pt. „Trzej panowie z Gońca". W artykule-paszkwilu oskarżono o kolaborację z Niemcami Czesława Ancerewicza, Józefa Mackiewicza i emigranta rosyjskiego Eugeniusza Kotlarewskiego. Notabene trzech antykomunistów. Zarzucono im, że współpracowali z niemiecką gadzinówką „Goniec Codzienny". Mackiewicz nie był pracownikiem redakcji, jak sugerowali jego wrogowie, opublikował w „Gońcu" w okresie od lipca do października 1941 roku cztery artykuły o sowieckiej okupacji Wileńszczyzny. Rzekomo za to (piszę rzekomo, bo tak naprawdę do dzisiaj nie wiadomo za co) Mackiewicz został skazany przez Wojskowy Sąd Specjalny AK na karę śmierci. Gwoli wyjaśnienia – Wroński i Krawiec byli socjalistami, członkami PPS; Wroński w czasie okupacji sowieckiej współpracował z bolszewicką gadzinówką „Prawda Wileńska". Do dzisiaj istnieje wiele niejasności związanych z wyrokiem na Mackiewicza. W marcu 1943 roku Czesław Ancerewicz został zastrzelony, a komendant Okręgu Wileńskiego AK, ppłk Aleksander Krzyżanowski „Wilk", „przychylił się do argumentów obrońców Mackiewicza – jak pisze prof. Włodzimierz Bolecki – [...] i wyrok został »formalnie odwołany«".

Opluwacze Józefa Mackiewicza

Kiedy w czasie wojny nie powiodła się egzekucja Mackiewicza, po wojnie czyniono próby zadania mu śmierci cywilnej, zohydzenia go, wyeliminowania z życia publicznego. Głównym adwersarzem Józefa Mackiewicza na emigracji był Zdzisław Jeziorański vel Jan Nowak, szef rozgłośni Radia Wolna Europa. Nowak, wykreowany w III RP na autorytet moralny, w rzeczywistości był kolaborantem niemieckim. „[...] za dolary Nowaka znajdzie się setki »świadków«, którzy powiedzą i napiszą co im każe ten łaps, przekupujący i i kierujący współczesną »myślą niepodległościową Polski«" – pisał w liście do Jerzego Giedroycia w maju 1971 roku Józef Mackiewicz.

Czesław Miłosz zauważał, że „kiedy nad jednym z najwybitniejszych polskich powieściopisarzy sprawuje się sąd kapturowy, bez prawa obrony, warto zastanowić się, jakie poglądy w swoich pismach głosił, jak też kim byli jego oskarżyciele [...]. W nagonce na Mackiewicza brało udział dziwne towarzystwo, bo i patrioci, i ukryci agenci sprawców mordu w Katyniu. Leżało najbardziej w interesie tych ostatnich, żeby świadka ogłosić faszystą i kolaborantem".

A zatem kim byli oskarżyciele Józefa Mackiewicza? „Nowak to przy Korabie baranek!" – twierdził Grzegorz Eberhardt. Chodzi o Romana Koraba-Żebryka, który przy-

eprasa.pl bcab83362d

łączył się w PRL-u do toczonej na emigracji przez Jana Nowaka kampanii oszczerstw przeciwko Mackiewiczowi. Żebryk był kolegą Jerzego Wrońskiego z wileńskiego pisemka „Niepodległość".

Jak uwiarygodnić oskarżenia

W 1969 roku ukazała się na emigracji powieść Józefa Mackiewicza „Nie trzeba głośno mówić" i właśnie ta książka stała się pretekstem do brutalnego zaatakowania pisarza. Korab-Żebryk opublikował na początku 1970 roku w warszawskiej „Kulturze" paszkwil na Józefa Mackiewicza pt. „Los kolaboranta". „W powieści tej były kolaborant hitlerowski, który przez niedopatrzenie historii uszedł spod szubienicy, chce brać odwet i podważyć wyrok śmierci, wydany na niego przez AK. [...] W przeciwieństwie do brata, po wybuchu wojny pozostał na Wileńszczyźnie, staczając się stopniowo na pozycje coraz bardziej obce, a nawet wrogie polskiemu społeczeństwu. Dno upodlenia osiągnął w 1941 roku, gdy po wkroczeniu Niemców do Wilna zdecydował się wejść w skład redakcji gadzinowego dziennika »Goniec Codzienny«. [...] Mackiewicz do końca pozostał »wierny« hitlerowcom. [...] kolaborant wyobcowany z uczciwego społeczeństwa [...]. Można by z niej [powieści – przyp. DJ] odczytać uczucia kolaboracjonisty w czasie agonii okupanta. [...] nie jest to szczera spowiedź byłego kolaboranta, lecz plątanina faktów i plotek. [...] Powieść »Nie trzeba głośno mówić« nie jest wolna od oburzających wypadów w dziedziny, które powinny być dla autora i niedosiężne, i nietykalne. Mam na myśli przede wszystkim brudny paszkwil na naród radziecki [...] pamflet na AK na zlecenie wrogich Polsce kół zagranicznych. [...] powieścidło napiętnowanego przez sprawiedliwość autora. [...] Mackiewicz nie wykazuje żadnej skruchy i nie może powołać się na żadne okoliczności łagodzące. Wyrok WSS z 1943 r. powinien zostać utrzymany w mocy, przynajmniej w sensie moralnym, a Mackiewicz wyobcowany ze społeczeństwa na podobieństwo wszelkich zdrajców i sprzedawczyków". Artykuł został podpisany „b. dowódca 1.Wileńskiej Brygady AK", co miało uwiarygodnić oskarżenia.

W 1989 roku ponownie Korab-Żebryk zaatakował Józefa Mackiewicza. Tym razem oskarżył kłamliwie pisarza o antysemityzm, a mianowicie w liście do redakcji „Tygodnika Powszechnego" dowodził, że Mackiewicz jest autorem książki o antysemickich treściach pt. „Burza nad lasem", opublikowanej w 1944 roku w Warszawie. Prawdopodobnie powtarzał on bzdury po Lucjanie Krawcu mieszkającym po wojnie na emigracji. Profesor Bolecki skwitował to adekwatnie: „Poważne traktowanie stwierdzeń Krawca czy Żebryka ma tyle sensu, co szukanie dowodów na to, że Józef Mackiewicz był kanibalem, który przybył z Marsa".

Stara śpiewka

Oskarżyciele Mackiewicza niczym się nie zrażali. Atakowali dalej, bezpardonowo. Obawiano się, nie bez powodu, że twórczość pisarza – antykomunisty, który zyskał olbrzymią popularność w latach 80. w podziemnych wydawnictwach, może zakłócić magdalenkowy kompromis z komunistami. Obowiązywała dyrektywa Adama Michnika z 1981 roku: „Po moim trupie, Mackiewicz nigdy". W czerwcu 1991 roku ukazał się list otwarty przeciwko nadaniu imienia Józefa Mackiewicza jednej z krakowskich ulic. Nieważne było, że miał zastąpić komunistycznego patrona. W liście powtórzono dawne zarzuty o kolaboracji pisarza z Niemcami. List podpisali: Roman Korab-Żebryk, Władysław Bartoszewski, Cezary Chlebowski, Stanisław Dąbrowa-Kostka, Józef Garliński, Stanisław M. Jankowski, Grzegorz Mazur, Jan Nowak-Jeziorański, Andrzej Przewoźnik.

1 sierpnia 1994 roku w ambasadzie amerykańskiej spotkali się m.in. Korab-Żebryk, Jan Nowak, Andrzej Przewoźnik, sekretarz generalny Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, prof. Adam Dobroński, szef Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych (dwaj ostatni byli zarejestrowani przez SB jako tajni współpracownicy). Żebryk zanotował później: „Przywitałem się z Janem Nowakiem-Jeziorańskim. Roz(mawialiśmy) o J(ózefie) M(ackiewiczu). Nowak dziwił się, że (Grzegorz) Mazur nie wydaje gotowej książki" (Tomasz Balbus „Korab Wilniuk klasyczny").

„Nie rozumiał antysowieckiej postawy Mackiewicza"

Najwięcej faktów na temat Romana Żebryka można uzyskać z książki dr. hab. Tomasza Balbusa „»Korab«. Wilniuk klasyczny. Doktor Korab-Żebryk (1916–2004). Biografia Wilnianina, oficera Armii Krajowej, więźnia NKWD, historyka Polski Podziemnej (na tle dziejów XX wieku)". Już po przeczytaniu kilkunastu pierwszych stron biografii trzeba stwierdzić, że jest to książka kuriozum, w której historia życia Żebryka przeplatana jest fragmentami prozy Józefa Mackiewicza. Autor „Drogi donikąd", wybitny pisarz, został sprowadzony do roli ilustratora dziejów swego oszczercy i opluwacza. Balbus zdaje się nie rozumieć, że po prostu znieważył pisarza.

W książce liczącej 630 stron zawarł Balbus wiele nieistotnych lub mało istotnych szczegółów, lecz nie znalazł miejsca, by zająć się szerzej sprawą pisanych paszkwili przez Koraba na Józefa Mackiewicza. W dwóch przypisach drobnym maczkiem zostały wymienione tytuły oszczerczych artykułów, które niezorientowanemu czytelnikowi niewiele mówią. Dokonał też osobliwego porównania Mackiewicza i Żebryka. Przytoczę ten fragment, bo jest to przykład zamazania, rozmycia istoty rzeczy: „To kra-

eprasa.pl bdab83362d

jowiec, orędownik sojuszu polsko-litewskiego, wirtuoz kresowej powieści, mistrz reportażu, przenikliwy analityk bolszewizmu, oprócz dominującego wyznania katolickiego wskazujący na różnorodność kulturalną tych ziem, Józef Mackiewicz. W PRL-u antagonista socjalisty, komendanta brygady i historyka AK, Romana Koraba-Żebryka. Różnili się politycznymi poglądami jeszcze przed agresją nazistowskich Niemiec i sowieckiej Rosji. Jako publicyści, w okresie komunistycznego zniewolenia, ścinając pióra, walczyli niepotrzebnie. Wilniukami byli podobnymi. Wybitnymi i klasycznymi. Wegetującemu w biedzie na emigracji znakomitemu pisarzowi i żyjącemu w szarzyźnie komunizmu niezależnemu historykowi nie dane było spotkać się i zmierzyć w dyskusji w wolnej Polsce".

To nie Mackiewicz zwalczał Żebryka, jak pisze Balbus, lecz Żebryk Mackiewicza. Obrzucając Mackiewicza błotem w prasie PRL, a później III RP, nie dawał mu żadnych szans na obronę. Nawet „Gazeta Wyborcza" nie chciała drukować mu wszystkich paszkwili na pisarza, bo były wyjątkowo agresywne i prymitywne. Szkoda, że Balbus nie zdobył się na wyjaśnienie powodów owej nagonki Żebryka na pisarza, a jedynie stał się jego adwokatem. Na nieuczciwe, obraźliwe słowa Żebryka o pracach naukowych prof. Włodzimierza Boleckiego, że to „śmieci publicystyczne, które usiłują zrehabilitować Mackiewicza przy pomocy tendencyjnych materiałów i ordynarnych kłamstw", Balbus zareagował słowami: „Akowska, mityczna wizja historii przesłaniała weteranowi perspektywę szerszą, geopolityczną". Balbus twierdzi, że Korab „Nie rozumiał antysowieckiej postawy i emigracyjnej działalności »renegata« Józefa Mackiewicza". Jest to żałosne tłumaczenie. Nie rozumiał antysowieckiej postawy czy raczej sam prezentował poglądy prosowieckie? Zapewne Korab podzielał opinię piszącego do niego w 1975 roku list Stanisława Ochockiego, absolwenta Wydziału Prawa USB, szefa Służby Sprawiedliwości Komendy Okręgu Wileńskiego AK, że Mackiewicz to „renegat i zdrajca hołubiony przez londyńskie »Wiadomości«, nędzna kreatura [...], gestapowiec". Smutne to.

Status osoby nietykalnej

Roman Żebryk był absolwentem Wydziału Prawa na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. W czasie studiów związał się z wileńskim środowiskiem lewicowym, należeli do niego zarówno socjaliści, jak i komuniści. W 1937 roku Żebryk występował jako świadek obrony przed wileńskim sądem w procesie komunistycznej młodzieży wileńskiej, również żydowskiego pochodzenia. Z poznanymi wówczas działaczami lewicowymi utrzymywał po wojnie koleżeńskie, a nawet przyjacielskie relacje. Im, pełniącym w strukturach PRL ważne funkcje, notablom PPR i PZPR, zawdzięczał dobrze opłacaną pracę, status osoby nietykalnej, możliwości wyjazdów za granicę.

Brał udział w kampanii wrześniowej 1939 roku, w następnym roku zaczął działać w strukturach ZWZ – AK. W kwietniu 1944 roku Żebryk został żołnierzem partyzanckiego oddziału dowodzonego przez por. Czesława Grombczewskiego „Juranda", 1. Wileńskiej Brygady AK. Z oddziałem tym wziął udział w operacji „Ostra Brama". Po śmierci komendanta brygady, legendarnego por. „Juranda", który 13 lipca 1944 roku poległ w bitwie pod Krawczunami Nowosiółką, ostatniej bitwie operacji „Ostra Brama", w dniach 13–17 lipca, czyli przez cztery dni, pełnił funkcję dowódcy brygady. Od początku lat 70. ubiegłego wieku przedstawiał się jako były dowódca 1. Wileńskiej Brygady AK. Po rozbrojeniu brygady przez Sowietów został aresztowany przez NKWD, a następnie więziony wraz z innymi oficerami w obozie w Riazaniu. Do Polski wrócił w 1947 roku.

Szybko nawiązał kontakt z wpływową grupą byłych wileńskich działaczy lewicowych. W 1948 roku zamieszkał w Warszawie. W okresie od 1 lutego 1948 do 31 sierpnia 1951 roku pracował jako asystent w Katedrze Filozofii i Encyklopedii Prawa na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego u prof. Czesława Nowińskiego, wileńskiego działacza młodzieżówki socjalistycznej OM TUR, który wcześniej nazywał się Sawa Friedman. Pracę na uczelni uzyskał Żebryk dzięki prof. Juliuszowi Bardachowi, którego znał od czasów studenckich z Wilna. Bardach pochodził z zasymilowanej rodziny żydowskiej, karierę zaczął w 1943 roku jako oficer polityczno-wychowawczy w Armii Berlinga. Asystentem na Wydziale Prawa był w tym czasie Igor Andrejew, kolega Żebryka od czasów wileńskich. Andrejew pochodził ze spolszczonej rodziny rosyjskiej żydowskiego pochodzenia. W 1952 roku Andrejew należał do grupy sądowych morderców gen. Augusta Fieldorfa „Nila". Roman Żebryk utrzymywał z Igorem Andrejewem bardzo bliskie relacje przez całe życie.

„Nie złamała go bezpieka"

W maju 1951 roku, w czasie przesłuchania przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa, został nakłoniony do podpisania oświadczenia o współpracy. Zarejestrowano go jako tajnego współpracownika ps. „Waga". Żebryk odmawiał nachodzącym go ubowcom składania donosów na kolegów z AK, zresztą nie utrzymywał w tamtym czasie z nimi kontaktu. Udzielał jedynie informacji na temat działalności w konspiracji wileńskiej. W październiku 1953 roku Korab napisał list do Stanisława Radkiewicza, ministra Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, i poskarżył się na działania funkcjonariuszy UB. Korab musiał być pewny wsparcia kolegów z wileńskiego środowiska lewicowego, bo skarżenie się w 1953 roku na funkcjonariuszy UB było rzeczą niebywałą i mogło skończył się tragicznie. Ale nie w tym przypadku. Poprosił także o interwencję u Radkiewicza, ówczesnego ministra zdrowia,

eprasa.pl bdab83362d

członka centralnej komisji kontroli partyjnej, Jerzego Sztachelskiego, który był jego wileńskim kolegą. Jak podaje Balbus: „7 stycznia 1954 r. Roman Korab-Żebryk został »zdjęty z ewidencji« sieci agenturalnej Wydziału III »z powodu odmowy współpracy«". W 1986 roku akta prowadzonego przez bezpiekę rozpracowania i werbunku zostały zniszczone.

Żebryk wchodził w Wilnie w skład zarządu okręgowego Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej, utrzymywał wówczas kontakty ze wspomnianym już Juliuszem Bardachem, z Jerzym Putramentem, Wincentym Kraśko, Stefanem Jędrychowskim, Henrykiem Dembińskim. Przy okazji warto dodać, że w pisemku BIP AK „Niepodległość" władze podziemne podały informację, że Sztachelski, Dembiński i Jędrychowski zostali zaocznie skazani na karę śmierci za „działalność zmierzającą do oderwania części terytorium RP i zamiar przyłączenia Wileńszczyzny do Związku Sowieckiego".

W 1949 roku Żebryk podjął pracę w Ministerstwie Sprawiedliwości jako aplikant sądowy. Od końca 1951 do 1953 roku pełnił funkcję zastępcy kierownika redakcji wydawnictw prawnych Państwowego Wydawnictwa Naukowego, dodatkowo zatrudniony był na stanowisku sekretarza redakcji „Nowe Prawo", a także tłumaczył z języka rosyjskiego sowieckie „dzieła" naukowe dla PWN i Książki i Wiedzy. Później przez trzy lata pracował w Instytucie Naukowo-Badawczym jako ekonomista, a przez sześć lat był zatrudniony w Centrali Handlu Zagranicznego „CEKOP". W centralach handlu zagranicznego zatrudniane były jedynie osoby specjalnego zaufania, sprawdzone przez bezpiekę, wiele z nich wykonywało wywiadowcze zadania na zlecenie peerelowskich służb specjalnych. Pracownicy central handlu zagranicznego byli uprzywilejowaną kastą – bardzo dobrze zarabiali, mieli dostęp do waluty, posiadali możliwość podróżowania lub przebywania dłuższy czas na Zachodzie. Od 1966 do 1977 roku Żebryk pracował jako starszy radca ekonomiczny w Ministerstwie Komunikacji. W 1977 roku przeszedł na emeryturę.

W biografii Tomasza Balbusa aż się roi od wypieszczonych opinii o Korabie, typu: „W PRL-u miłośnik festiwalów chopinowskich, przemierzał zabłocone blokowiska Warszawy w dobrze skrojonym garniturze. Nie lubił zniszczonego w czasie powstania miasta ze stalinowskim »pałacem« i czerwonymi krawatami. Miasta już bez poległych i wymordowanych przez nazistów i komunistów polskich elit. Nie zwerbowały akowca milionowe szeregi pezetpeerowców, nie złamała bezpieka".

Korab utrzymywał bliskie kontakty, jak pisze Balbus, w „celach naukowych", z Igorem Andrejewem, Juliuszem Bardachem, Aleksandrem Blumem, Emilem Hertzem, Leszkiem Krzemieniem, Ryszardem Nazarewiczem.

Dwie równoległe rzeczywistości

Kiedy koledzy Żebryka z Armii Krajowej byli brutalnie prześladowani, siedzieli w więzieniu, o ile mieli szczęście przeżyć, on w tym czasie pracował na ciepłych posadach w strukturach komunistycznego państwa. Korab został łagodnie potraktowany w czasie trwania „Akcji X" – była to operacja prowadzona w 1948 roku przez MBP przeciwko Wileńskiemu Okręgowi AK. Objęła zasięgiem kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców byłych Kresów II RP, ponad 6 tys. ludzi aresztowano, z tego ponad 50 skazano na karę śmierci i wykonano wyroki. Inni dowódcy oddziałów partyzanckich AK mieli mniej szczęścia. Urząd Bezpieczeństwa aresztował na przykład w ramach „Akcji X" kpt. Gracjana Fróga „Szczerbca", byłego komendanta 3. Wileńskiej Brygady AK, mimo że ten nie działał w powojennej konspiracji antykomunistycznej. W maju 1951 roku kpt. Fróg „Szczerbiec" został zamordowany w mokotowskim więzieniu.

Chyba nikt nie może mieć wątpliwości, czym było w latach stalinizmu Ministerstwo Sprawiedliwości, gdzie pracował Korab. To oczywiste, że był on przeciwny działaniom podziemia antykomunistycznego. Przystosował się do narzuconego przez Sowietów systemu. Kiedy obywatel PRL-u mógł jedynie pomarzyć o otrzymaniu paszportu, Korab korzystał z nieograniczonych możliwości wyjazdów za granicę. Długa jest lista jego zagranicznych podróży służbowych i prywatnych. Pierwszy raz wyjechał w 1961 roku jako pracownik CEKOPU do Moskwy i do Lipska w NRD. Później prawie co roku jeździł do Związku Sowieckiego, NRD, Czechosłowacji, ale także do krajów kapitalistycznych – Francji, Hiszpanii, Austrii, Wielkiej Brytanii. W 1988 roku przebywał przez trzy miesiące w Londynie w ramach stypendium naukowego.

„Naukowe i środowiskowe wydarzenie"

Zdaniem prof. Piotra Niwińskiego, największym autorytetem w środowisku kresowych żołnierzy cieszył się ppłk Adam Szydłowski „Poleszuk", w czasie wojny cichociemny, komendant Okręgu Nowogródzkiego AK. Odgrywał on od lat 50. dużą rolę w integracji środowiska akowskich kombatantów. „Poleszuk" patronował spotkaniom towarzyskim i przedsięwzięciom upamiętniającym boje AK. Najbliższymi jego współpracownikami byli Teodor Sawicki „Otto" i Wacław Sawicz „Emil". Skupił wokół siebie grono kilkudziesięciu partyzantów, którzy podjęli się zbierania materiałów, dokumentów, wspomnień w celu opracowania historii wileńskiej AK. Jak pisał prof. Niwiński w pracy „Działania komunistycznego aparatu represji wobec środowisk kombatantów wileńskiej AK w latach 1945–1980": „[...] Szydłowski skłaniał się ku pracy czysto historycznej, starając się pisać bez emocji, nie uwypuklając tylko sukcesów". W październiku 1960 roku ppłk Adam Szydłowski zmarł, a w roku następnym pracę doty-

eprasa.pl bdab83362d

czącą Okręgu Wileńskiego przejął po ppłk. Szydłowskim – Korab-Żebryk. Już pod koniec 1961 roku Korab przygotował 400-stronicową pracę i przekazał ją do druku do Biura Historycznego MON. Jak pisał we wspomnianej książce prof. Niwiński: „Praca jednak wywołała szeroką krytykę środowiska wileńskiego. Zarzucano Korab-Żebrykowi zbytnie uproszczenie historii Okręgu, skupienie się na tych wątkach, w których brał udział osobiście".

Przy tej okazji ujawniła się nieposkromiona ambicja Żebryka bycia „kimś" w PRL-u, potrzeba brylowania w mediach, wielka aspiracja naukowa. Osobne badania historyczne na temat działalności AK na Wileńszczyźnie prowadził mieszkający we Wrocławiu Bronisław Krzyżanowski „Bałtruk". Wydał on w 1979 roku w Instytucie Literackim w Paryżu książkę „Wileński matecznik".

Korab-Żebryk publikował w najrozmaitszych peerelowskich czasopismach, gazetach, począwszy od „Wojskowego Przeglądu Historycznego", na „Sporcie dla Wszystkich" i zbowidowskim „Za Wolność i Lud" skończywszy. W 1974 roku Żebryk obronił pracę doktorską na temat operacji „Ostra Brama".

W 1985 roku Państwowe Wydawnictwo Naukowe wydało książkę Koraba-Żebryka – „Operacja wileńska AK". Książka już ze względu na sam tytuł wzbudziła duże zainteresowanie czytelników. „Praca stała się naukowym i środowiskowym wydarzeniem" – pisał biograf Żebryka, Tomasz Balbus. I dalej o wielkim sukcesie naukowym: „Pozytywnie ocenili rozprawę specjaliści od stosunków polsko-litewskich oraz II wojny światowej. Negatywnie wojskowi »politrucy« i nieliczni weterani podziemia, w tym dwóch wieloletnich agentów UB/SB".

Nazwał „Łupaszkę" dezerterem

Czy rzeczywiście był to sukces? Tomasz Balbus dziwnym trafem przemilczał recenzję jednego z największych autorytetów wśród historyków Polski Podziemnej, prof. Tomasza Strzembosza. A profesor odniósł się do pracy Żebryka z dużym chłodem, wytykając jej liczne wady („Odra", 1987 nr 2). Skrytykował m.in., że okres do września 1939 do czerwca 1941 roku autor potraktował jedną stroną, unikając faktu, że wówczas Wileńszczyzna była okupowana przez Sowietów, a przecież te wydarzenia ukształtowały późniejsze postawy, świadomość mieszkańców tej ziemi. Dużo więcej na ten temat napisała już w 1966 roku, czyli 20 lat wcześniej, Maria Turlejska, komunistyczna działaczka i historyk. Zdaniem profesora: „[...] trudno znaleźć do tego jakiekolwiek wytłumaczenie". Profesor uważa, że „brak też jest kontekstu, w którym operacja ta wyrosła". Niezrozumiałe również jest, że autor urywa opisywanie dziejów „Operacji wileńskiej AK" w dniu 13 lipca 1944 roku, a przecież – jak pisze w recenzji prof. Strzembosz: „Po zakończeniu walk o Wilno nastąpiło internowanie akowskiego dowództwa, [...] przejście do podziemia części akowców, przebijanie się na zachód niektórych oddziałów – jednym słowem operacja »Ostra Brama« miała dalsze implikacje. W książce już nie ma o tym ani słowa".

„W ogóle trzeba dodać – pisał w recenzji prof. Strzembosz – że w zakresie problemów politycznych, a zwłaszcza tych, które powstawały w kontakcie pomiędzy polskim podziemiem a państwowością radziecką, książka Koraba-Żebryka wnosi niezwykle mało, a w niektórych fragmentach zawodzi zupełnie, pomijając sprawy istotne bądź wypowiadając się o nich w sposób aż nadto publicystyczny. I tak np. pisząc o oddziałach »Góry« i »Ragnera« (por. Czesław Zajączkowski) autor twierdzi: »Przyznawali się wprawdzie skwapliwie do przynależności do AK i na tym opierali swoją popularność w społeczeństwie, zwłaszcza że gromiąc oddziały rekwizycyjne radzieckich partyzantów oddawali doraźną przysługę miejscowej ludności: dopiero później okazało się, ile wyrządzili szkody społeczeństwu polskiemu, gdy po wypędzeniu Niemców władze radzieckie uzasadniały rozbrajanie resztek AK zdradą oddziałów »Góry« i »Ragnera««. Tak jak gdyby władze radzieckie [...] rzeczywiście uzależniały stosunek do społeczeństwa polskiego i »resztek AK« od postawy takiego czy innego oddziału, a nie własnych koncepcji politycznych i układu sił międzynarodowych".

Korab-Żebryk zachował się też nieprofesjonalnie, nie jak naukowiec, podkreślając przesadnie rolę własnego oddziału w walkach o Wilno, 1. Wileńskiej Brygady AK oraz 23. Brygady Brasławskiej, które wchodziły w skład 2. Zgrupowania mjr. Mieczysława Potockiego „Węgielnego". „W efekcie – pisze prof. Strzembosz – »Burza« na Wileńszczyźnie została nam zaprezentowana jako »Burza« 2. Zgrupowania".

Bohaterska sanitariuszka 5. Wileńskiej Brygady AK, Janina Wasiłojć-Smoleńska „Jachna", w rozmowie z Marzeną Kruk i Edytą Wnuk, mówiła z goryczą: „Korab-Żebryk nazwał w swojej książce »Łupaszkę« dezerterem. To dla zawodowego oficera jest chyba jedną z najohydniejszych obelg, jakie istnieją. Nawet ubowcy nie użyli wobec »Łupaszki« takiego określenia. Fakt, że zrobił to jeden z kolegów, nie pozostaje bez znaczenia. [...] Książka ta zresztą nie tylko z tego powodu wywołała wielkie oburzenie w środowisku akowskim. Koledzy napisali recenzję, w której zawarli nasze uwagi". To „naukowe i środowiskowe wydarzenie" nie wyglądało więc tak, jak pisał o tym dr hab. Balbus. Żebryk, prezentujący zbowidowe kombatanctwo, w książce „Operacja wileńska AK" oczernił bohaterskich dowódców oddziałów AK: „Łupaszkę", „Górę", „Ragnera", którzy zwalczali bolszewickich okupantów.

Maciej Rybiński w przedmowie do książki Grzegorza Eberhardta „Pisarz dla dorosłych. Opowieść o Józefie Mackiewiczu" pisał, że autor „Drogi donikąd" „nawet zmarły jest groźny dla żywych, bo daje świadectwo ich intelektualnego upadku i moralnego zaprzaństwa". Czyż nie miał racji? ■

eprasa.pl bdab83362d

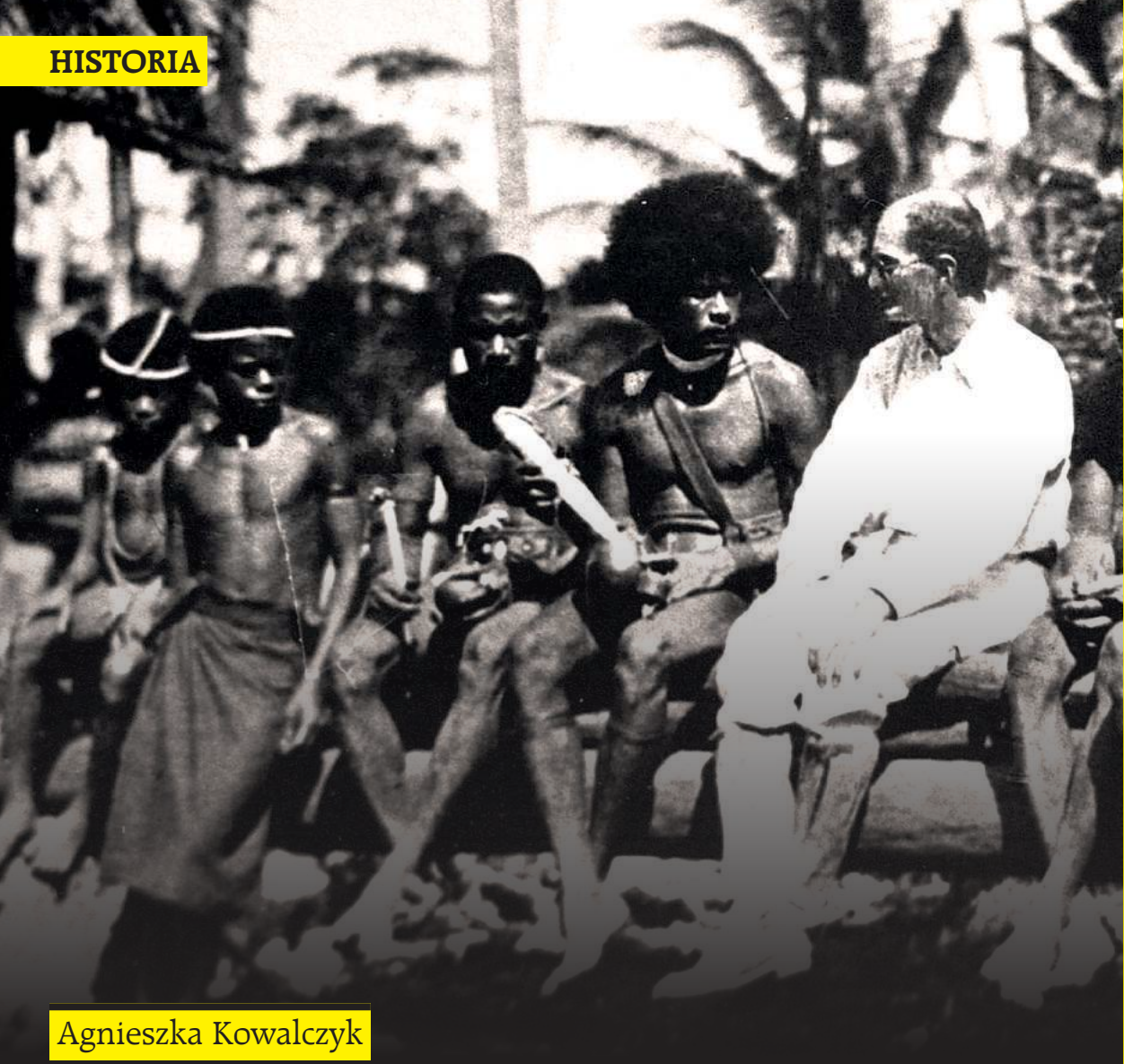

Agnieszka Kowalczyk

BRONISŁAW MALINOWSKI WŚRÓD TUBYLCÓW AUSTRALII I OCEANII

eprasa.pl bdab83362d

„Oto mężczyzna, który przybywa z dalekiego kraju, aby dopiąć celu w ich oczach daremnego – pisał o nim Rafael Brudo – nie misjonarz i nie sędzia, nie kupuje ani sprzedaje, zawsze zadaje pytania i daje tytoń w zamian za słowa". Widzieli, jak przed zapadnięciem zmroku, idzie na plażę i wykonuje tam ruchy przypominające tajemnicze zaklęcia. Budziło to ich podejrzenia i wzmagało niepokój, bo nie mogli dociec, kim jest ten dziwny biały człowiek w okrągłych szkiełkach na nosie. Jak się wkrótce okazało oryginałem wzbudzającym najwyższe zainteresowanie Papuasów i Melanezyjczyków był Polak, który zrewolucjonizował XX-wieczną antropologię, twórca koncepcji mitu, magii i pierwotnej gospodarki – Bronisław Malinowski.

fot. PAP/CAF/repr.

Gdy w 1914 roku wyruszał w swą pierwszą terenową wyprawę badawczą do Australii i Oceanii, zdołał już zwrócić na siebie uwagę antropologicznego establishmentu London School of Economics przy Uniwersytecie Londyńskim. Młody doktor filozofii przybył z Krakowa do stolicy Wielkiej Brytanii w 1910 roku, by na jednej z najbardziej prestiżowych uczelni Europy zgłębiać arkana nauk antropologicznych i socjologicznych. Szedł jak burza. Swoje artykuły i recenzje drukował na łamach renomowanych pism „Man" i „Folk-lore", wygłaszał referaty naukowe, a przede wszystkim przygotowywał studium socjologiczne poświęcone życiu rodzinnemu Aborygenów (1913). Nie bał się wchodzić w naukowe szranki z największymi sławami antropologii brytyjskiej – Jamesem Frazerem, Williamem Riversem i Emile'em Durkheimem. Dzięki zaangażowaniu swoich akademickich mentorów – Alfreda Haddona, Charlesa Seligmana i Roberta Maretta – zdobył fundusze na ekspedycję badawczą do Nowej Gwinei, która miała odmienić jego życie.

Jedyny Polak w krainie Aborygenów

Do australijskiego portu we Fremantle Malinowski wpłynął 21 lipca 1914 roku. Jego wielka przygoda antropologiczna miała rozpocząć się od wzięcia udziału w międzynarodowym kongresie Brytyjskiego Towarzystwa Popierania Nauki, któremu przewodził profesor David Masson, ojciec Elsie – przyszłej żony Malinowskiego. Do brzegów Australii dobijał właśnie statek „Eurypides" wiozący na swym pokładzie elitę intelektualną Starego Kontynentu, w tym londyńskich antropologów Riversa i Marreta, a także profesora anatomii i egiptologa Graftona Smitha, fizyka i laureata Nagrody Nobla Ernsta Rutherforda oraz pioniera radiotelegrafii Olivera Lodge'a. Wśród pięciuset uczonych australijskich i trzystu przybyłych z zagranicy Bronisław był jedynym Polakiem.

W Australii przyjęty został iście po królewsku przez gościnną rodzinę Ernesta Le Souëfa, dyrektora zoo w południowym Perth. Z werandy jego drewnianego domu rozciągnął się widok na wody zatoki Perth Water, natomiast australijski busz rozpalał wyobraźnię setkami odmian eukaliptusów. Gdy Bronisław układał się do snu, słyszał wycie dzikich zwierząt, a rankiem kąpał się w jeziorze „w ekscytującej bliskości lwów i tygrysów". Wraz z Witkacym, jego przyjacielem i współtowarzyszem podróży, zwiedzali słynące ze złotonośnych pokładów kopalnie w Kalgoorlie i poznawali sztukę rzucania bumerangiem. Przeprawiając się przez puszczę, z ciekawością oglądali drzewa pieprzowe, krzaki banksji i puszystej haznariny, a nade wszystko pałające swą egzotyką drzewa black

eprasa.pl b2ab83362d

boy, podobne do bukietów wielkich traw w wąskich wazonach. Pewnego lipcowego popołudnia Bronisław pierwszy raz w życiu zobaczył Aborygenów, którym poświęcił jedną ze swych książek.

Słowo „aborygen" znaczy „człowiek żyjący od zawsze". Wiąże się z bytowaniem tubylców australijskich, których cywilizacja uważana jest za najstarszą na świecie, ponieważ, jak dowodzą badania naukowe, zasiedlili oni większą część kontynentu w ciągu 30 tys. lat koczowania. Żyli w buszu, na łonie przyrody, w szałasach z gałęzi, kory eukaliptusów i ostrej trawy spinifex. Zmieniając swoje siedliska, polowali na kangury, wombaty, posumy, strusie i dzikie ptactwo, zaopatrzeni w oszczepy, włócznie o kamiennych ostrzach i drewniane bumerangi. Korzystali z dobrodziejstw pobliskich jezior i wód – łowili ryby i skorupiaki, które były ich ulubionym przysmakiem, podobnie jak mięso długoszyich żółwi, jaja emu i wydobywane z pni drzew mangrowych białe robaki zjadane na surowo. Nie gardzili też małżami, ślimakami i jaszczurkami. Zajadali się wielkimi rybami baramundi. Zbierali korzenie dzikich roślin, owoce, orzechy i jagody. Lilia wodna na przykład dostarczała im nasion, które Aborygenki rozcierały kamieniami, a uzyskany proszek rozmącony z wodą stanowił pewien rodzaj ciasta, pieczonego następnie w popiele ogniska. Z drzew ściągały gniazda brązowych mrówek, z których przyrządzały pyszne danie, przypominające w smaku miąższ orzecha kokosowego. W czasie suszy tubylcy pozyskiwali wodę pitną z tak zwanych billabongów – niedużych zbiorników wydrążonych w ziemi nieopodal jeziora lub rzeki albo też za napój służył im sok wyciskany z drzew papirusowych.

Aborygeni przywiązywali dużą wagę do wychowywania dzieci zgodnie z tradycją przodków. Dwunastoletniego chłopca wysyłano więc do buszu, by przeszedł tam obrzęd inicjacji w dorosłość poprzedzony rytualnym namaszczeniem krwią. W tym celu pokrywano nią jego ciało, niekiedy nakazywano jej wypicie. Zabiegi te służyły zjednoczeniu z duchami Epoki Snu, dzięki czemu następowało „zawiązanie ścisłego braterstwa krwi". Aby młody Aborygen stał się odważnym myśliwym, musiał przetrwać samotnie w puszczy od kilku dni do kilku miesięcy, odprowadzany do jej bram i rozpaczliwie żegnany zwłaszcza przez kobiety, które okaleczały swoje ciało, cięły pasy skóry, żałośnie zawodziły. W momencie jego powrotu następował najważniejszy akt ceremonii – obrzezanie. Młodzieniec uczestniczył też w wędrówkach inicjacyjnych, podczas których odwiedzał miejsca święte dla plemienia, z jakiego pochodził i wsłuchiwał się w mityczne opowieści o jego bohaterach.

Na ziemi obiecanej antropologów

Do sąsiadującej z Australią Nowej Gwinei, największej po Grenlandii wyspy świata, dopłynął 12 września 1914 roku. Zachodnia jej część zajęta była przez Holendrów, północno wschodnia – przez Niemców, ta zaś wysunięta na południowy wschód, zwana Papuą, znajdowała się od 1884 roku pod protektoratem Wielkiej Brytanii, a od 1906 roku – pod zwierzchnictwem Związku Australijskiego. Połowa Papui, jak twierdził jej ówczesny gubernator Hubert Murray, była niezbadana i domagała się odkrycia. Zasiedlali ją Papuasi – autochtoni posługujący się językami papuaskimi oraz Melanezyjczycy, którzy zadomowili się na wybrzeżach i mówili językami austronezyjskimi. Nowa Gwinea z dawien dawna uchodziła za krainę ludożerców. Mięso ludzkie uznawano tam za wielki przysmak, lepszy nawet od wieprzowiny, jak piszą badacze Australii Ewa i Zdzisław Preisnerowie, dodając, że pieczone było we wcześniej przygotowanych dołach i umieszczane na rozżarzonych do czerwoności kamieniach. Niejednokrotnie schwytany przez Papuasów człowiek, któremu złamano kończyny, musiał patrzeć, jak przygotowywano się do uczty z jego ciała.

Ci niegdysiejsi kanibale to mistrzowie tańca. Przystępując do wykonania swych rytualnych obrzędów, malowali swoje twarze wymyślnie i fantazyjnie różnymi barwnikami (wapnem, kredą, ochrą), tak iż przypominały one kolorowe maski. Na głowy zakładali pióropusze zdobiące ich wyrafinowane fryzury. W uszach zawieszali monety, medale, blaszki, a w przedziurawione nosy wkładali kły zwierząt, patyki i ptasie pióra. Ruszając w tany, wojownicy prezentowali swoje uzbrojenie – wykonane z palm dzidy, łuki, włócznie, kamienne siekiery, sztylety z kości kazuara, a nawet i z kości ludzkich.

Wśród tubylców Mailu

Przed Bronisławem otwierała się nietknięta dotąd stopą żadnego antropologa kraina Mailusów zasiedlających wybrzeża Nowej Gwinei – od Przylądka Rodneya na zachodzie do zatoki Orangerie na wschodzie. Była to ziemia obezwładniająca bujną tropikalną roślinnością, wszechobecną zielenią wzgórz, od których odcinała się pożółkłymi i spieczonymi zboczami wyspa Mailu. Na miejscu mógł przekonać się, że nieprzebrane przestwory dżungli to dla tubylców skarbiec wszelkiego rodzaju drewna, włókien, łyka, trzciny, a także wielu surowców potrzebnych biegłym w sztuce rzemiosła wyspiarzom. Żyzna i dobrze nawodniona ziemia rodziła kolokazję o wielkich jadalnych bulwach, banany, trzcinę cukrową, kuliste lub maczugowate owoce pnącego się jamu, a także bataty, melonowce i sagowce. Tereny te w szczególności upodobały sobie dzikie świnie, małe kangury, kuskusy, australijskie torbacze owadożerne i zasiedliła moc rajskich ptaków o niesamowitym upierzeniu, stanowiących nieodłączną część tubylczego me-

eprasa.pl bdab83362d

nu. Rafy koralowe sprzyjały zaś zdobywaniu skarbów morza – ryb, mięczaków, muszli i korali. Z jednych wytwarzało się narzędzia, z innych ozdoby.

Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się przed Bronisławem mailuskie wioski porozrzucane malowniczo na plażach. Ich mieszkańcy łączyli się w niewielkie konfederacje, utrzymujące ze sobą przyjazne stosunki i mające wspólnych wrogów, przeciwko którym organizowali wyprawy wojenne. Najsilniejszą pozycję zajmowała społeczność wsi Mailu. Najludniejsza i posiadająca najwięcej łodzi wojennych stanowiła główny ośrodek żeglarstwa i handlu na całym południowo-wschodnim wybrzeżu. W tejże osadzie uwagę Malinowskiego przykuły dwa równoległe rzędy domów stawianych na palach i rozdzielonych szeroką ulicą. Swój wyjątkowy charakter zawdzięczały one rzeźbom o kształcie rybich ogonów i głów węży oraz pozawieszanym gdzieniegdzie świńskim szczękom. Pośrodku osady stał niewzruszenie dúbu – dom spotkań mężczyzn, do którego nie wolno było wstępować kobietom ani dzieciom, a bez specjalnego zaproszenia – tubylcom z innych stron. Mailu tętniło życiem. Na ulicy bawili się najmłodsi, spacerowały psy i świnie. Nad brzegiem morza królowały czółna – wielkie oró'u, suszyły się sieci, kobiety lepiły garnki, mężczyźni naprawiali łódki, a wszystko działo się jak przed wiekami.

Malinowski wędrował po wioskach, zapisując wytrwale wszystkie informacje płynące od krajowców. Jednocześnie uczył się języka motu, by pokonać bariery komunikacyjne. Dzięki temu dowiedział się na przykład, że jeden z tubylców Dimdim to zabójca swej matki, który popełnił ten straszny czyn w stanie opętania, zwanym przez miejscowych o-o. Wierzyli oni, że „spadające gwiazdy, nazywane w języku mailu karavani, wchodzą w mężczyznę lub kobietę i zmieniają ich w o-o. Nie musi być żadnego powodu, żadnej złości, żadnego żalu. Ten duch ich po prostu bierze w posiadanie". Wtedy mordują, niszczą, co popadnie, rąbią na kawałki swą łódź, rzucają włócznią w dom. Jedna z kobiet o imieniu Vaila, miewała takie napady regularnie, przystrajała wtedy głowę i talię w trawy, brała włócznię lub bęben i puszczała się w dzikie pląsy, wykonując jeden ze zwyczajowych tańców plemiennych.

W świątecznym rytmie madúny

Na szlaku poznawania tubylczego życia dane było Bronisławowi zgłębiać tajniki uczty govi madúna, do której długo przygotowywano się, gotując sago, skrobiąc kokosy i przeprowadzając nieskończone próby taneczne. Wydarzenie to odgrywało najważniejszą rolę w życiu społecznym i umysłowym tubylców. „Podczas świętowania i w porze ucztowania – wyjaśniał Malinowski – odbywa się wielki pokaz tego wszystkiego, co Papuas naprawdę miłuje – bębnów, ozdób, walk, kobiet, a przede wszystkim świń". Samo słowo madúna oznacza „podział" i wiąże się z dzieleniem żywności między współplemieńców. To wielkie święto Mailusów poprzedzała seria uroczystości o charakterze przygotowawczym, zwanych kanáre lub gátsi, którym towarzyszył zawsze taniec o wymiarze magiczno-religijnym.

Im bliżej madúny, tym Mailusi stawali się bardziej podekscytowani – mężczyźni coraz wymyślniej zdobili swe ciała, na frontach werand zawieszali bębny, naszyjniki z sapisapi, wisiorki z kłów dzika, naramienniki, wielkie krążki z muszli i talerze inkrustowane modligroszkiem. Siedziby dekorowali proporcami z suchego pandanusa, gałązkami i ozdobami z liści palmowych, które potem, w czasie tańców, wtykali w pasy i w naramienniki. Istotnym elementem przygotowania do tego wyczekiwanego święta był pokaz żywności. Domostwa naczelników podklanów plemiennych zostały obwieszone kiełbasami sago, które psuły się po czterech tygodniach, więc kilkakrotnie wymieniano je na świeże. Z kolei przed siedliskami wydającego ucztę klanu wisiały długie rzędy bananów.

W chwili gdy tubylcy opuszczali swą wioskę, by udać się na wielkie uroczystości, jeden z Mailusów dął w konchę, by wszem wobec obwieścić to wydarzenie. „Świnię, powieszoną na żerdzi za skrępowane kopyta, niosą w orszaku i kładą na pokładzie czółna. Gdy zbliża się święto, czółen jest coraz więcej i cały horyzont jest upstrzony żaglami w kształcie szczypiec kraba" – opisywał Malinowski te zadziwiające dla Europejczyka zwyczaje w „Tubylcach Mailu", swym pierwszym terenowym studium etnograficznym. Samą zaś madúnę inicjowały plemienne tańce, w tym najważniejszy – ceremonialny – wykonywany przez samych mężczyzn. Punkt kulminacyjny święta stanowił tak długo oczekiwany akt podziału żywności – orzechów kokosowych, sago, taitu, jamu, taro i bananów. Świnie – będące bożyszczem dzikich i obiektem niekończących się rozmów, porównań, podziwu i przechwałek – zabijano na specjalnych podestach wznoszonych we wsi od strony buszu, po czym mięso i pozostałe pożywienie dzielił gospodarz madúny, wzywając każdy z klanów do odebrania należnej mu części.

U Massimów i Dobuańczyków

Żeglując na wschód, wzdłuż południowego wybrzeża Nowej Gwinei, wpłynął Malinowski do zatoki Orangerie, wkraczając tym samym w „królestwo skał i koralu", do ziemi południowych Massimów. Była to istna melanezyjska Arkadia słynąca nie tylko z porywających swą melodią pieśni, efektownych tańców, lecz także z rozwijanego na wielką skalę rzemiosła i handlu. Malinowski nie zapominał jednak i o tym, że ci

eprasa.pl bdab83362d

„natchnieni piewcy pierwotnych lasów i mórz" to do niedawna jeszcze ludożercy i łowcy głów, którzy „na swoich dużych czółnach wojennych dokonywali zdradzieckich, okrutnych wypraw, napadając na śpiące wioski, zabijając mężczyzn, kobiety i dzieci, i wyprawiając uczty z ich ciał".

Przyglądającego się Massimom antropologa uderzyło to, że różnili się znacznie od innych ludów – mieli grube, szerokie twarze, płaskie nosy, skośne oczy, co nadawało im dość dziwaczny wygląd. Włosy, mniej skręcone niż u Papuasów, nosili na kształt dużych wiechci i często przycinali po bokach, co czyniło ich głowy podobne do cylindrów. Wydawali się nieufni i płochliwi, ale za to przyjaźnie nastawieni do przybyszów, uśmiechnięci i chętni do pomocy. Przystrajali swe głowy białymi piórami kakadu i purpurowymi kwiatami hibiscusa, uszy zdobili czerwonymi krążkami z muszli i pierścieniami z szylkretu, nosili pasy i naramienniki plecione z ciemnobrązowej paproci, wtykając za nie aromatyczne liście, które służyły im za najlepsze perfumy.

Wystarczy skierować się na północ od siedlisk południowych Massimów, by zanurzyć się w rzeczywistość, jaką żyło plemię Dobu zasiedlające północne części wysp Normanby i Fergusson oraz rozdzierające je brzegi Cieśniny Dawsona. Swoistym *axis mundi* tego okręgu jest stożek wygasłego wulkanu z pasmem tropikalnej roślinności pośrodku, stanowiący wyspę Dobu, od której wzięły nazwę inne, leżące w jej sąsiedztwie. W odległych czasach wypuszczały się stąd wyprawy okrutnych kanibali i łowców głów, budzących prawdziwy postrach wśród okolicznych ludów.

Mieszkańcy Dobu – ludzie ciemnej karnacji, niskiego wzrostu, lekko przygarbieni, z dużymi głowami – przypominali Malinowskiemu postacie jakichś baśniowych gnomów. Ich wioski, usiane na urodzajnych i równinnych nabrzeżach, tonęły w zieloności nieprzerwanych plantacji drzew owocowych, palm, bananów i jamu, a stawiane na palach domy były bardziej surowe niż siedliska południowych Massimów. W przeszłości otaczały je człowiecze czaszki, które zachowały się do tej pory jako efekt polowań na ludzi. Władzę sprawowała tu starszyzna plemienna. Wysokim statusem społecznym cieszyły się kobiety. Odgrywały przewodnią rolę w rozwijaniu sztuki ogrodniczej i związanych z nią obrzędów magicznych. Niektóre z nich parały się nawet czarną magią. Według miejscowych wierzeń to właśnie wyspa Dobu uchodziła za główną siedzibę wiedźm, które zjadały serca i płuca, piły krew i łamały kości swym wrogom, a co więcej potrafiły być niewidzialne i latać. W porównaniu z nimi jeszcze okrutniejsi w swych praktykach wydawali się Malinowskiemu czarownicy Mailu i Motu – ci najpierw zabijali swoją ofiarę, dobierali się do jej wnętrzności, które usuwali, rozdzierali bądź odprawiali nad nią czary, by potem zaszyć nieszczęśnika, przywrócić do życia, tylko po to, by umierał w męczarniach. Nie mogło ujść uwagi antropologa, że Dobuańczycy najbardziej bali się straszliwych skutków czarnej magii, uznawanej na wyspach zachodniego Pacyfiku za „główny instrument władzy i wymierzania kar". Wierzyli w istnienie takich formuł magicznych i rytuałów, które ściągają nieszczęście, chorobę i śmierć.

Na koralowych wyspach Trobrianda

Wielce ciekawiło badacza z Polski życie ludów archipelagu Trobrianda, które w jego przekonaniu przewodziły całej kulturze materialnej i artystycznej na tym krańcu świata. Gdy przedarłszy się przez labirynt mielizn, wpłynął na wody laguny otaczającej wyspę Boyowa, jedną z największych i najbogatszych na Trobriandach, ujrzał splątany, gruby gąszcz niskiej dżungli wznoszącej się nad plażą, a głębiej jeszcze gaj palmowy, który tworzył jakieś tajemnicze wnętrze, jakby pulsujący zielenią strop podtrzymywany przez żywe filary palm. Była to pierwsza wioska Trobriandczyków, do której zawitał podczas swojej antropologicznej eskapady. Jej serce stanowił baku – centralny, okrągły plac będący sceną życia plemiennego podczas ceremonii i uroczystości publicznych – świąt, tańców, obrzędowego podziału żywności, żałobnego czuwania. Otaczał go pierścień zabudowań na palach, o pięknie zdobionych fasadach, ścianach z dużych okrągłych belek, kładzionych jedna na drugą, tak by pozostawały między nimi widoczne szpary. Były to spichlerze na jam, wokół których stały domy mieszkalne wzniesione wprost na ziemi, ciemne i duszne, z jednym tylko otworem wejściowym.

Tubylcy zaskakiwali swoim wyglądem. Byli wśród nich mężczyźni i kobiety o subtelnych, delikatnych rysach, inteligentnym wyrazie twarzy, „orlim profilu" obok natur prymitywnych o „negroidalnym" obliczu, grubych wargach i niskim czole. Niektórzy mieli proste włosy, inni – kędzierzawe szopy charakterystyczne dla większości Melanezyjczyków. Zdobili swe ciała wyplatanymi naramiennikami i pasami, nosili kolczyki ze skorupy żółwia i krążki muszli spondylusa. Gdy w osobie Malinowskiego ujrzeli białego podróżnika, od razu otoczyli go zwartym kołem, przyglądając mu się z ciekawością i żartując poufale na temat ubioru i wyglądu tego dziwnego przedstawiciela Europy – wysokiego, łysiejącego, w okularach o zielonkawych szkłach i brodzie, która wśród Trobriandczyków uchodziła za coś niezwykle szpetnego, odstraszającego każdą tamtejszą kobietę. Europejczycy w oczach „dzikich" nie grzeszyli urodą. „Proste włosy [...], nos »ostry jak ostrze toporka«;

eprasa.pl bdab83362d

cienkie wargi, duże oczy »jak kałuże wody«; biała skóra z plamkami jak u albinosa – wszystko to, mówią krajowcy (i bez wątpienia czują), jest brzydkie". Na szczęście Malinowski nie uchodził w ich oczach za zupełne wcielenie europejskiej brzydoty, bo ratowały go fizjologiczne cechy Polaka, pod pewnymi względami upodabniające go do Melanezyjczyków – grube wargi, małe oczy i tępy nos. Niestety, miał szkaradne w ich mniemaniu czoło i włosy.

Niespożytą skarbnicą wiedzy o magii trobriandzkiej okazał się dla badacza uzdolniony i inteligentny Bagidou z Omarakany, który pozwalał mu uczestniczyć w magicznych obrzędach ogrodowych i dyktował mu swoje zaklęcia z niezwykłą cierpliwością. Ten zaś współczuł Bagidou, gdy dowiedział się, że żona porzuciła go dla innego mężczyzny, a przecież, jak powiadano w wiosce, był najlepszym znawcą magii miłosnej. Bronisław był też pod wrażeniem innych „arystokratów" podklanu Tabalu – Namwana Guyau, Yobukwana, Kalogusa, Dipapa – pełnych godności, przedsiębiorczych i ujmujących dobrymi manierami.

▶ Co to jest kula?

Podczas swoich poszukiwań badawczych Malinowski odkrył niezwykłe i nieopisane dotąd przez uczonych zjawisko wymiany najcenniejszych dla wyspiarzy przedmiotów o charakterze symbolicznym, powiązane z całą sferą ściśle określonych zachowań, obrzędów magicznych i publicznych ceremonii. System ów nosił nazwę kula i funkcjonował wśród społeczności melanezyjskich zamieszkujących pierścień wysp u południowo-wschodnich wybrzeży Nowej Gwinei. Polegał na przekazywaniu sobie przez sąsiadujące ludy naramienników (mwali) wykonanych z białej stożkowej muszli Conus mille punctatus oraz naszyjników (soulava) z czerwonych krążków małża spondylusa. Wędrowały one okrężną drogą obiegającą wiele wysp Oceanii: naszyjniki – w kierunku południowym, a naramienniki – w północnym. Uczestnicy kula, jak wyjaśnia Malinowski, nazywają siebie karayat'u („partnerami") i pozostając we wzajemnych zobowiązaniach handlowych, w razie potrzeby udzielają sobie wsparcia, gościnności i pomocy.

Każda z podejmowanych wypraw morskich, podczas której przed tubylczą załogą otwierały się nieskończone horyzonty, musiała wzbudzać u kolejnych pokoleń żeglarzy „żądzę przygody, ciekawość i pragnienie zobaczenia wielce wysławianych cudów obcych lądów". Do tego dochodziła jeszcze ambicja powrotu z mnóstwem skarbów, w drodze do których czyhało na śmiałków wiele niebezpieczeństw – gwałtowne nawałnice, piaszczyste rafy, latające wiedźmy albo też ośmiornice żądne ofiary z życia młodych żeglarzy. Ale nawet i te potwory niestraszne były Trobriandczykom, bo głęboko wierzyli w moc odprawianych rytuałów chroniących przed złą przygodą na morzu.

Tak też było z tubylcami z Sinakety, którzy po szczęśliwym dopłynięciu na ziemie plemienia Dobu wypowiadali prastare formuły magiczne i dęli w „czarodziejską" konchę, by „wywołać głębokie poruszenie w umysłach Dobuańczyków". Gospodarze wyspy witali ich z muszlowymi naszyjnikami w rękach, które ceremonialnie wręczali gościom, po czym każdy żeglarz z Sinakety udawał się do domu swego „partnera kula", gdzie był dalej obdarowywany i sam ofiarowywał podarunki darczyńcom. W następnym roku to Dobuańczycy zrewanżują się, wyprawiając do Sinakety, „z dokładnie tym samym ceremoniałem, magią i socjologią".

Malinowski daje do zrozumienia, że kula to system wyjątkowy, którego próżno by szukać w innych częściach świata. Świadczy o szczególnym rodzaju międzyplemiennych więzi, stałym partnerstwie łączącym ze sobą tysiące ludzi rozrzuconych na olbrzymim obszarze zachodniego Pacyfiku.

***

Ekspedycja badawcza Malinowskiego przyniosła nadspodziewane owoce w postaci pionierskich publikacji naukowych, w których stworzył podwaliny nowej antropologii. Spod jego pióra wyszły prace o rewolucyjnym wręcz znaczeniu – „Agronauci zachodniego Pacyfiku" (1922), „Życie seksualne dzikich w północno-zachodniej Melanezji" (1929) czy „Ogrody koralowe i ich magia" (1935). To właśnie wśród ludów Oceanii pojął, w czym tkwi tajemnica efektywnej pracy terenowej, owa „magia etnografa", dzięki której jest w stanie wydobyć istotę życia krajowców i zrekonstruować najprawdziwszy obraz ich wspólnoty plemiennej. Tam, w królestwie wysp wulkanicznych i raf koralowych, wśród Mailusów, Massimów, Trobriandczyków, zrozumiał, że aby wniknąć w ducha miejsca i ducha ludów to miejsce tworzących, trzeba „trzymać się z dala od białych ludzi i żyć wśród tubylców". Najlepszą na to metodą stało się obozowanie w wiosce i poszukiwanie autentycznego kontaktu z „dzikimi". Malinowski nazwał ten sposób postępowania postawą aktywnego łowcy, który intensyfikuje swe działania w celach poznawczych. Wychodził przy tym z założenia, że kulturę tubylców trzeba zgłębiać nie fragmentarycznie, lecz całościowo, wnikając jednocześnie we wszystkie możliwe sfery ich życia. ■

Źródła: B. Malinowski, „Argonauci zachodniego Pacyfiku. Relacje o poczynaniach i przygodach krajowców z Nowej Gwinei", Warszawa 1987; M.W. Young, „Bronisław Malinowski. Odyseja antropologa 1884–1920", Warszawa 2008.

eprasa.pl bdab83362d

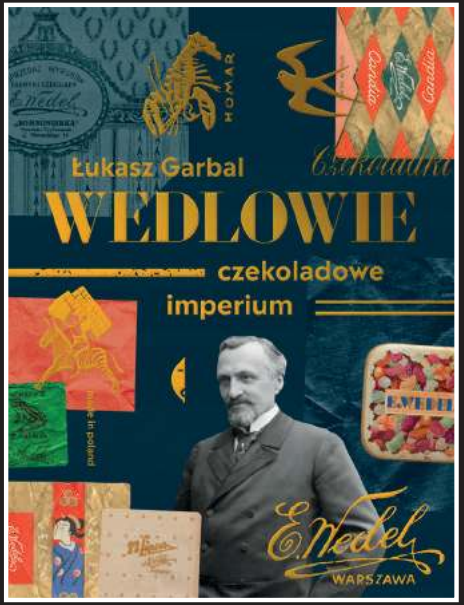

Łukasz Garbal, „Wedlowie. Czekoladowe imperium", Czarne, Wołowiec 2021, s. 504

Krzysztof Wołodźko

SŁODKO-GORZKA OPOWIEŚĆ. WEDEL I POLSKA HISTORIA

Łukasz Garbal, autor książki „Wedlowie. Czekoladowe imperium" pyta: „Jak to się stało, że Emil, [Carla] syn, został Polakiem, a wnuk Jan w czasie II wojny światowej odważnie odmawiał podpisania folkslisty?". To jeszcze jedna opowieść o wrastaniu w polskość, o skomplikowanych losach Polski i Polaków w ciągu ostatnich stuleci.

eprasa.pl bdab83362d

Historia czekoladowego imperium Wedla zaczęła się w listopadzie 1851 roku. W Warszawie. Reklama nowo założonej cukierni przy Miodowej pod numerem 484 (obecnie to Miodowa 14) uroczo trąci staroświeckim, nieledwie aptekarskim stylem. Nie bez powodu: współczesne cukiernictwo rozwinęło się na bazie dawnego, klasycznego aptekarstwa. „Karmelki dobre na cierpienia, jakich przysparza jesienna wilgoć, i drezdeński słodowy syrop, nader skuteczny na kaszel i katar" – tak warszawskiej klienteli przedstawił się w „Kurjerze Warszawskim" młody niemiecki mistrz cukierniczy Carl Wedel, który kilka lat wcześniej przyjechał do Warszawy, wówczas miasta na zachodnich rubieżach carstwa rosyjskiego.

Z Berlina do Warszawy

Łukasz Garbal, autor książki „Wedlowie. Czekoladowe imperium", pyta: „Jak to się stało, że Emil, [Carla] syn, został Polakiem, a wnuk Jan w czasie II wojny światowej odważnie odmawiał podpisania folkslisty?". To jeszcze jedna opowieść o wrastaniu w polskość, o skomplikowanych losach Polski i Polaków w ciągu ostatnich stuleci. Opowieść o tyle nietypowa i cenna, że pokazuje tę historię przez pryzmat perypetii kapitalizmu nad Wisłą. Wedel to firma i marka, która przede wszystkim kojarzy się kolejnym pokoleniom Polek i Polaków ze słodyczami. A także z dwiema wielkimi rewolucjami przekształceniowymi. Pierwsza wiąże się z PRL-owską nacjonalizacją z 1949 roku, która przyniosła nową, znaną dobrze przez dekady nazwę: „22 Lipca, dawniej E. Wedel". Druga rewolucja przekształceniowa to czasy powrotu kapitalizmu, w znacznej mierze opartego na wyprzedaży zachodnim koncernom choćby takich firm jak Wedel. Słynna marka w III Rzeczypospolitej kilkukrotnie zmieniała właścicieli. Od 2010 roku jest własnością japońsko-koreańskiego koncernu Lotte Group.

Wróćmy do początków tej opowieści. Kilka miesięcy po rozpoczęciu działalności na Miodowej Carl Wedel zaczął też reklamować własną fabrykę karmelków, cukrów i ciast – zakład rzemieślniczy tuż przy cukierni. Szybko postawił na produkty własnej marki: drezdeński syrop słodowy zmienił się w „Syrop Słodowy C. Wedla". Carl sztuki cukierniczej uczył się w Berlinie, Paryżu i Londynie. Pewnie dlatego początkowo jego cukiernia/fabryka znana była w Warszawie jako „najpierwsza i największa fabryka Angielskich Owocowych Cukrów". Czekoladę na znaczną skalę Wedel zaczął produkować kilka lat później, gdy sprowadził z Francji specjalną maszynę parowo-walcową. Produkowana dzięki niej „czekolada parowa" (musiało to wówczas brzmieć arcynowocześnie w uszach warszawskiej klienteli!) kusiła zamożniejszych waniliowymi, cynamonowymi i korzennymi smakami. W 1859 roku wyroby Wedla można było kupić w Częstochowie, Lublinie, a nawet w Grodnie.

Emil Wedel wybiera polskość

Nadszedł czas powstania styczniowego. We wrześniu 1861 roku warszawski tłum spustoszył cukiernię na Miodowej. Niemiec i ewangelik Carl Wedel łożył co prawda na Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności, lecz sprawy polskiej nie uważał za swoją: nie chciał wspomagać organizacji politycznych i zamknąć swojej cukierni w czas patriotycznych manifestacji. Przed firmą Wedla stanęło widmo plajty – Carl był przegrany w oczach stołecznej, patriotycznej klienteli. Nie mógł już firmować swoim imieniem zapowiadającego się dotąd dobrze biznesu. Na ratunek pospieszył syn, Emil, który uczył się wówczas cukiernictwa w Paryżu.

W listopadzie 1861 roku dał ogłoszenie do prasy: „Mam głębokie przekonanie, że działając otwarcie i uczciwie i mając zamiar pracować z pożytkiem w obranym zawodzie pod moim własnym nazwiskiem, zyskam sobie współczucie i życzliwość Warszawy, której obywatelstwem szczycić się pragnę". Kolejne prasowe komunikaty podpisywano już „Fabryka Czekolady Emila Wedel (Syna)". Warszawa dała Wedlom drugą szansę. Emil – zdaniem Garbala – wybrał polskość już w popowstaniowym, trudnym czasie. Jego polskość była mieszczańska, pozytywistyczna, liberalna w klasycznym tego słowa znaczeniu. Pozostał przy tym ewangelikiem. A w księdze adresowej Warszawy podpisał się nieco później nie jako przemysłowiec, lecz jako obywatel miejski. Pełnię władzy nad firmą przejął z rąk ojca dopiero w 1878 roku.

Kolejne lata to nagrody dla firmy w Moskwie i Paryżu. To należało spożytkować. Emil był nie tylko cukiernikiem, lecz także biznesmenem. Dobrze rozumiał, że firma, aby utrzymać się na rynku, musi się rozwijać. Tak powstała nowa fabryka na Szpitalnej 4/6/8. Wyroby Wedla zyskały także oryginalne oznaczenie. Na początku lutego 1869 roku poinformowano „Szanowną Publiczność", że odtąd wszystkie produkty będą sygnowane stemplem C.E. Wedel. Z czasem pozostał tylko słynny do dziś podpis „E. Wedel". Emil przystąpił do realizacji kolejnego pomysłu: jesienią 1869 roku „otwarto mleczarnię na ulicy Zjazd. Czekolada, dotychczas niedostępna dla uboższych, kosztowała tam tyle ile tania kawa. Była to czekolada wedlowska, po siedem i pół kopiejki szklanka". Pomysłem zachwycała się lokalna prasa. „Dziennik Warszawski" pisał: „Zasługa takiego obniżenia ceny tego posilnego napoju należy do jednego z cukierni-

eprasa.pl bdab83362d

ków tutejszych, Wedla, który zaprowadziwszy u siebie fabrykę czekolady na maszynie parowej, dostarcza ją na miasto po niskich, nieznanych dawniej cenach". W rok później Wedel ogłaszał się już ze swoimi produktami „we wszystkich miastach prowincjonalnych kraju i niektórych Zachodnich Guberni Cesarstwa".

Sienkiewicz w sklepie u Wedla

Pod koniec XIX wieku Wedel mógł się poszczycić własną czteropiętrową kamienicą na rogu Szpitalnej i Hortensji z pięknie urządzonym sklepem fabrycznym z wysokimi lustrzanymi szafami, które musiały zachwycać mieszczańską i arystokratyczną klientelę. Mieli tam bywać Henryk Sienkiewicz, Józef Chełmoński i niesłusznie dziś zapomniany pisarz Józef Weyssenhoff. Znacznie wzbogacił się asortyment: „torty i ciastka, kakao i czekolada, cukierki we wszelkich odmianach i smakach (wiśnie w czekoladzie, długie języczki, pralinki, drażetki, kandyzowane pomadki, płatki róży i fiołki w cukrze)".

Ten słodki świat miał swoją bardziej gorzką stronę, która dała o sobie znać już wkrótce, w czas rewolucji 1905 roku: robotnicy u Wedla pracowali do dwunastu godzin, urlopów nie było. Kobiety zarabiały znacznie mniej: za pracę w takich samych warunkach mężczyźni otrzymywali 60–75 rubli pensji, gdy dziewczęta „w najlepszym razie" 28–30 rubli. Emil Wedel udzielał się charytatywnie, ale systemowych zmian w firmie nie chciał: jak donosiła gazeta Polskiej Partii Socjalistycznej, robotników, którzy przyszli do niego z żądaniami lepszych warunków płacy i pracy, miał wypędzić z biura, „zwracając się do nich z wyrazami obelżywymi". Ostatecznie jednak po 1905 roku u Wedla wprowadzono dwutygodniowe urlopy.

Emil Wedel zmarł w listopadzie 1919 roku. Przeżył trudny dla firmy czas I wojny światowej, doczekał niepodległości Polski. Biznes przejął po nim syn Jan, doktor chemii na Uniwersytecie we Fryburgu (dedykację na niemieckojęzycznym dyplomie zapisał po polsku: „Kochanym Rodzicom"). Jan początkowo pracował w rodzinnej firmie jako praktykant, dopiero w 1912 roku powierzono mu funkcję prokurenta i umożliwiono podpisywanie dokumentów. W 1920 roku, gdy bolszewicy szli na Warszawę, w „Emil Wedel i Syn" można było kupić Pożyczkę Państwową, która pomagała w krytycznej sytuacji finansom państwa. Kilka lat później Wedel był jedną z najważniejszych firm, które zapisały się na akcje Banku Polskiego S.A. Miało to pomóc w stabilizowaniu się polskiej waluty, czyli złotego, który miał zbić hiperinflację. Jan był ewangelikiem, nie przeszkadzało mu to jednak łożyć na budowę katolickiego kościoła pw. Matki Boskiej Zwycięskiej na Kamionku.

Reklama w „Robotniku"

Garbal na kartach „Czekoladowego imperium" opisuje nie tylko historię wedlowskiej rodziny i firmy. Pokazuje, jak zmieniała się Warszawa, jej życie codzienne, kulturalne, polityczne. Odkrywa, jak przekształcała się architektura i infrastruktura miasta, położonego w tak niespokojnej części Europy. Wedel kształtował gusta dosłownie i w przenośni: kapitalizm nad Wisłą dojrzewał, coraz większą rolę również w przemyśle spożywczym i coraz bardziej masowym handlu odgrywał marketing. Wedel na reklamie z końca lat 20. to chłopiec z tabliczką czekolady, jadący na zebrze, czyli ilustracja autorstwa włosko-francuskiego malarza i projektanta plakatów Leonetto Cappiello. Chłopca nazwano Maciusiem. Maciuś i zebra trafili do pierwszych przedwojennych polskich powieści graficznych i na neony.

Lata 30. XX wieku to nowy adres Wedla – Zamoyskiego w stolicy II Rzeczypospolitej. Nauczony doświadczeniami ze strajkami, dobrze radzący sobie na rynku mimo wielkiego kryzysu, świadom nowoczesnych wyzwań technologicznych i społecznych, Jan Wedel rozbudowywał nie tylko nową fabrykę, lecz także jak wielu fabrykantów/przemysłowców tamtej epoki dbał o zaplecze usługowe i socjalne dla pracowników. Pod naciskiem robotniczych partii, związków zawodowych, organizacji społecznych, instytucji państwowych i prawodawstwa, kalkując rachunek zysków i strat, wielcy kapitaliści uczyli się traktować coraz lepiej fizycznych i umysłowych pracowników najemnych. Jan Wedel dawał nawet ogłoszenia w PPS-owskim „Robotniku" (w czasach zaborów kierował nim Józef Piłsudski), które zapewne czytywali także jego pracownicy z Koła Cukierników firmy Wedel warszawskiej organizacji PPS.

W tamtym czasie Wedel był już potęgą na polskim rynku. Potwierdziła to Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu w 1929 roku – wielki złoty medal i Grand Prix ugruntowały pozycję firmy. Pozytywnemu wizerunkowi firmy nie zaszkodził nawet nieudany bojkot produktów Wedla, ogłoszony na początku lat 30. przez PPS. Jan Wedel stosował taktykę kija i marchewki: ostro walczył ze związkowcami, których uważał za zagrożenie dla firmy, równocześnie jednak wprowadzał pewne socjalne udogodnienia, bardzo przy tym dbając o wizerunek – mówiąc dzisiejszym językiem – pracodawcy odpowiedzialnego społecznie. Ostatecznie Wedel odwoływał się do rzesz swoich klientów. I grał na ich sentymentach i upodobaniach. W artykule, być może sponsorowanym, na łamach „Kuriera Porannego" można było wówczas przeczytać: „I w tym roku, jak co rok przed Bożym Narodzeniem, sklepy Wedla urządzone jak bombonier-

eprasa.pl bdab83362d

ki, wypełnione słodyczami, zapełniają się wierną od kilku pokoleń publicznością, która jest jednak najlepszym i najsprawiedliwszym sędzią. [...] O, rozkoszna smaczna czekoladko. Jakże nam słodzisz nieco gorzkawe życie współczesne".

Rozkwit. I wojna

Dziennikarz, który spisał te słowa, nie wiedział jeszcze, że jego współczesność stanie się wkrótce gorzka jak piołun. Na razie Wedel wciąż się rozwijał. Wizytówką stały się sklepy firmowe: w Warszawie sklep na Nowym Świecie 53, sklep przy Dworcu Głównym w Śródmieściu (nie mylić z popeerelowskim Centralnym!). Szef firmy dbał, by „wystrój wnętrz sklepowych był przygotowywany przez artystów"; znaczną wagę przywiązywano do witryn, neonów i opakowań. Na tym nie koniec: „w środku odpowiednie wrażenie wywoływały uprzejmość i profesjonalizm pracowników sklepu, nienarzucających się, grzecznie i kompetentnie pomagających dobrać słodycze niejako na miarę klienta". Dla Jana Wedla estetyka była jedną z ważniejszych spraw. Smak i styl musiały współgrać z pięknem, choć było to już piękno epoki produkcji na skalę przemysłową. Nawet jeśli obrazek ten uznamy za zbyt sielankowy, widać w nim pewien trend w naszym rodzimym kapitalizmie, który załamał się chyba na dobre pod wpływem późniejszych tragicznych doświadczeń. Aż upadła wszelka słodycz. Niemcy i Sowiety napadli na Polskę. 28 września 1939 roku podpisano kapitulację Warszawy. Jeden z pracowników Wedla, który wrócił do częściowo zniszczonej fabryki w początkach października, opisywał niemieckich żołnierzy, którzy zabierali z magazynów czekoladę, karmelki i herbatniki. Jan Wedel notował: „ze sklepów doszczętnie się spalił sklep na ulicy Wierzbowej, stylowo i bogato urządzony, ze sklepu na ulicy Pięknej, który również spłonął, zdołaliśmy uratować część urządzenia". Okupanci przejęli kontrolę nad fabryką, co sprowadzało się do zalegalizowanego okradania z pozoru wciąż prywatnego biznesu. Problem nie tylko w tym, że czekolada stała się produktem „tylko dla Niemców". Garbal przejmująco opisuje, jak z pomocą grabieży zasobów, kolejnych podatków, roszczeń finansowych, wygaszania produkcji i zatrudnienia, nakazowo-rozdzielczej polityki wojennej gospodarki w kolejnych latach okupacji okupant niszczył firmę Jana Wedla, formalnie pozostawiając go jej właścicielem. Mimo tych trudnych warunków Wedel stał się dla wielu Polaków i Żydów miejscem wsparcia i pomocy. W fabryce działała zakonspirowana Armia Krajowa, polskie organizacje bojowe z lewa i z prawa, prowadzono także komplety dla młodszych dzieci. Do fabryki przychodził po jedzenie dla swoich podopiecznych Janusz Korczak: „zawsze [...] w wojskowym płaszczu, wojskowych butach tzw. saperkach i, bodajże, w polowej rogatywce bez orzełka. Nie nosił opaski w gwiazdę". Sam Wedel był pod silną presją – próbowano wymusić na nim podpisanie folkslisty; odmawiał, więc go szykanowano – odebrano mu willę w Konstancinie, przedstawiciele „rasy panów" zasiedlili jego kamienicę na Pierackiego 13.

Komuniści. Grabież i nacjonalizacja

„»Czterej pancerni« rabują Wedla" – to jeden z ostatnich rozdziałów pięciusetstronicowej książki Łukasza Garbala. Tytuł nie jest przypadkowy: po upadku Powstania i przejęciu ruin Warszawy przez Sowietów, komuniści błyskawicznie zainstalowali w fabryce specjalny komitet, usankcjonowany przez PKWN. Fabryka Wedla nie poniosła znaczących szkód. Ale teraz ostrzeliwali ją Niemcy. A „wyzwoliciele" i zdesperowani mieszkańcy gruzów dokonywali aktów grabieży i szabru. Jedną z takich prób opisał Janusz Przymanowski, autor książkowego pierwowzoru „Czterech pancernych i psa": żołnierze szabrownicy plądrowali magazyn z alkoholu, gdy jeden z nich wpadł do kadzi z marmoladą. Byłaby z tego całkiem zabawna scenka, gdyby nie przygnębiający obraz zniszczonego marzenia i życiowego dzieła, dorobku trzech pokoleń rodziny Wedlów. Byłoby się z czego śmiać, gdyby nie był to tak gorzki moment w naszych dziejach; moment, który przekreślił szanse nie tylko na suwerenne państwo, lecz może także na inny model kapitalizmu w Polsce, w większym stopniu oparty na własnym kapitale z bogatymi tradycjami.

W Polsce pod sowiecką dominacją fabryka Wedla wygrała współzawodnictwo na najlepszy tort na siedemdziesiąte urodziny Stalina. Władze PRL znacjonalizowały słynną firmę. Jan Wedel najpierw znalazł tam zatrudnienie jako doradca techniczny, później pozbyto się go stamtąd, tłumacząc zwolnienie jego rzekomym „złym stanem zdrowia". To był już zupełnie nowy świat: nieludzka przemoc i cyniczna przewrotność narodowych socjalistów i komunistów nie była znana dawniejszym zaborcom. 12 lutego 1948 roku fabrykę Wedla ostatecznie upaństwowiono. W 1951 roku przemianowano ją na Zakłady Przemysłu Cukierniczego imienia 22 lipca. Początkowo nadal jednak sprzedawano produkty oznaczone marką „E. Wedel". Nie miało to zresztą większego znaczenia: większość produkcji szła na eksport „za dewizy". Część pewnie za bezcen trafiała na stoły sowieckiej elity. Gdy w marcu 1960 roku zmarł Jan Wedel, dyrektor jego dawnej fabryki odmówił autokaru na pogrzeb. Ludzie i tak przyszli żegnać byłego pryncypała. Orkiestrę dali warszawscy tramwajarze. Widać pamiętali jeszcze smak słodyczy przedwojennego Wedla. Schedy po tej historii w ramach wielkiej wyprzedaży wyrzekła się III RP. ■

eprasa.pl bdab83362d

JAPONIA VS KOREA POŁUDNIOWA. CZY ZAKOŃCZY SIĘ SPÓR W SPRAWIE ODSZKODOWAŃ WOJENNYCH?

eprasa.pl bdab83362d

Hanna Shen

Japonia i Korea Południowa są częścią koalicji budowanej przez USA przeciwko zagrożeniu ze strony Chin, Rosji i Korei Północnej. Dwaj dalekowschodni sojusznicy Waszyngtonu są jednak w sporze o odszkodowania wojenne. USA naciska na swoich sojuszników, aby naprawili swoje relacje. Nowy prezydent Korei Południowej podjął inicjatywę zakończenia tego sporu, na którą jednak ani Tokio, ani opozycja w Seulu nie patrzą przychylnie.

FOT. WIKIPEDIA

15 sierpnia bieżącego roku prezydent Korei Południowej Yoon Suk-yeol w przemówieniu z okazji kapitulacji Japonii po II wojnie światowej i końca jej kolonialnych rządów na Półwyspie Koreańskim w latach 1910–1945 powiedział, że Japonia jest partnerem, ponieważ oba kraje stoją w obliczu „wspólnych zagrożeń". Południowokoreański przywódca stwierdził, że Tokio i Seul to sojusznicy USA i to ich pomocy szuka Waszyngton w tworzeniu zjednoczonego frontu przeciwko Chinom, Rosji i Korei Północnej. Yoon dodał, że chce „szybko i właściwie poprawić" stosunki z Tokio, wynikające z historycznych sporów. „Kiedy stosunki koreańsko-japońskie będą zmierzać w kierunku wspólnej przyszłości, a nasze misje będą zgodne, oparte na wspólnych uniwersalnych wartościach, pomoże nam to również rozwiązać historyczne problemy, które istnieją między naszymi dwoma krajami" – powiedział prezydent Korei Płd.

Już kwietniu 2022 roku południowokoreańska delegacja, reprezentująca wówczas prezydenta elekta Yoona, spotkała się w Tokio z premierem Japonii Fumio Kishidą, aby zresetować dwustronne relacje. Szef południowokoreańskiej delegacji powiedział dziennikarzom, że celem wyjazdu było zapięcie „pierwszego guzika nowej relacji koreańsko-japońskiej", odnosząc się do przysłowia, że nieprawidłowe zapięcie pierwszego guzika na kurtce spowoduje, że kolejne zbłądzą.

Stosunki między Japonią a Koreą Południową uległy znacznemu pogorszeniu od czasu objęcia urzędu przez ówczesnego prezydenta Korei Południowej Moona Jae-ina w maju 2017 roku. Do zepsucia relacji przyczyniła się postawa Tokio wobec kwestii historycznych dotyczących niewolnic seksualnych i robotników przymusowych w czasie japońskiej okupacji Korei.

Ianfu – kobiety do pocieszania

Japończycy nazywali je „ianfu": „i" oznacza pocieszenie, „an" to spokój, „fu" to kobieta – czyli kobiety do pocieszania. W rzeczywistości były to niewolnice seksualne. Wśród nich znalazły się Koreanki, Chinki, Malajki, Filipinki oraz te, które urodziły się na Tajwanie, a także białe kobiety pochodzące z podbitych posiadłości kolonialnych lub pielęgniarki z personelu medycznego sił alianckich. Szacuje się, że liczba kobiet wykorzystywanych przez Japończyków wynosi 300–400 tys., a Koreanki stanowią tu najliczniejszą grupę – ponad 200 tys.

eprasa.pl b:ab83362d

Granica wieku dziewcząt najczęściej zaczynała się od 12. roku życia. Jedną z metod werbunku było oszustwo. Młodym dziewczynom mówiono, że czeka na nie praca w japońskiej fabryce. Kobiety były też często porywane przez Japończyków lub podlegające im siły kolaboranckie i zmuszane do prostytucji w domach publicznych zwanych ianjo (ośrodki pocieszania). Tu niewolnice traktowano z wielkim okrucieństwem. „Każdego dnia musiałyśmy przyjmować średnio od 30 do 40 mężczyzn. Często nie miałyśmy nawet czasu na sen" – opisywała swoje przeżycia Koreanka Kim Tŏkchin, która została pocieszycielką w wieku 17 lat. Poza gwałtami na porządku dziennym było bicie, nacinanie ostrzami noży, przypalanie i duszenie.

Koreanka Lee Ok-Seon, która spędziła trzy lata w ianjo w Chinach, a trafiła tam w wieku 14 lat, wspomina, że wiele dziewcząt, które razem z nią znalazły się w domu publicznym, popełniło samobójstwo. „To nie było miejsce dla ludzi. To była rzeźnia" – mówi Lee.

W 1965 roku traktat między Koreą Południową a Japonią, który normalizował stosunki obu krajów, przewidywał wypłatę nie reparacji wojennych, ale japońskiej pomocy rozwojowej dla Korei w wysokości 300 mln dolarów, do której dodano 200 mln kredytów bankowych. W porozumieniu nie wymieniono konkretnie na przykład „kobiet do pocieszania" i odszkodowania dla nich, co doprowadziło do późniejszego konfliktu o to, czy ich roszczenia rzeczywiście zostały uregulowane.

Władze Kraju Kwitnącej Wiśni przez dziesięciolecia po zakończeniu II wojny światowej odmawiały przeprosin za wyrządzone kobietom krzywdy. Jeszcze w 2007 roku ówczesny premier Japonii Shinzo Abe pozwolił sobie na uwagę, że tak naprawdę nie ma dowodów na to, iż kobiety były zmuszane przez japońskiego okupanta do nierządu. Jednak to właśnie ten sam polityk w grudniu 2015 roku wyraził „szczere przeprosiny i żal" wobec tych wszystkich kobiet, które doświadczyły „nieuleczalnych, psychicznych i fizycznych cierpień". W ramach osiągniętego wtedy przez Tokio i Seul porozumienia rząd Japonii postanowił przeznaczyć 1 mld jenów (9,8 mln dolarów) na wsparcie byłych koreańskich niewolnic seksualnych.

Co wpłynęło na zmianę stanowiska Abe i jego rządu? Za osiągniętym konsensusem stał przede wszystkim Waszyngton, który chciał budować silne sojusze w Azji ze względu na ekspansywną politykę Chin Ludowych, a napięte relacje Seulu i Tokio niepokoiły amerykańską administrację. Aby wzmocnić skupioną wokół USA azjatycką koalicję przeciw Pekinowi, Waszyngton postanowił więc odegrać bardziej aktywną rolę w naprawieniu relacji na linii Seul–Tokio. „Pracowaliśmy po cichu tak, aby nie dopuścić do żadnych nieporozumień między obu krajami" – przyznał wtedy jeden z urzędników amerykańskiego Departamentu Stanu.

W 2015 roku Seul i Tokio stwierdziły, że kwestia niewolnic seksualnych została „rozwiązana ostatecznie i nieodwracalnie". Ale koreańskie kobiety, które przeżyły horror japońskiej okupacji, uznały, że ich rząd, na czele którego stała wtedy konserwatywna polityk Park Geun-hye, zawarł tę umowę bez konsultacji z nimi. W 2017 roku nowy prezydent Moon Jae-in powiedział, że umowa jego poprzedniczki „nie rozwiązuje problemu kobiet do pocieszania". W tym czasie Japonia zaczęła mocno sprzeciwiać się stawianiu na całym świecie posągów poświęconym „kobietom do pocieszania". Napięcie na linii Tokio–Seul więc wzrosło.

Robotnicy przymusowi

Szacuje się, że podczas kolonialnych rządów Japonii w latach 1910–1945 w kopalniach i fabrykach w Cesarstwa Japonii pracę przymusową wykonywało ponad 5 mln Koreańczyków.

W swojej autobiografii Yang Geum-deok tak opisała pracę, do jakiej zmuszona została jako 14-latka dla japońskiego okupanta: „Dzwonek obudził nas o 6 rano i szliśmy do obozu do pracy; tam 8–10 godzin pracy. Kazali mi malować samoloty. Nie mieli dla nas drabiny, więc używałam szerokich desek, wspinałam się na nich i malowałem. Wiadro z farbą było dla mnie za ciężkie, więc do dziś boli mnie jedno ramię. [...] Jedliśmy w południe. Każdemu z nas dawano po kulce ryżu, która po 5 kęsach zniknęła, a my wracaliśmy do pracy. Zawsze byłam głodna" – wspominała Yang, dodając, że niektórzy z jej szkolnych przyjaciół zmarli.

Ile dokładnie osób zginęło, wykonując przymusowe prace – nie wiadomo. Według amerykańskiego historyka Rudolpha Rummela, z 670 tys. Koreańczyków zmuszonych do pracy w Japonii w latach 1939–1945 zmarło 60 tys. Główną przyczyną było niedożywienie. Na tej podstawie Rummel wnioskuje, że z ponad 5 mln przymusowych pracowników mogło umrzeć nawet 15 proc.

W 1997 roku dwóch południowych Koreańczyków złożyło pozew w Japonii przeciwko Nippon Steel Corporation za pracę przymusową podczas II wojny światowej, kiedy Japonia rządziła Koreą.

eprasa.pl bdab83362d

Argumentowali, że zostali zwerbowani na podstawie fałszywych ogłoszeń, nie otrzymali należnego wynagrodzenia i zostali narażeni na niebezpieczne warunki pracy. Sąd niższej instancji oddalił pozew w 2001 roku, a japoński Sąd Najwyższy odrzucił apelację w 2003 roku. Sądy orzekły, że podczas gdy firma (opisana tutaj jako Old Nippon Steel, później przekształcona w Nippon Steel) źle traktowała powodów, to Nippon Steel nie ponosi odpowiedzialności za działania Old Nippon Steel. Sądy dodały też, że roszczenia powodów zostały wygaszone na mocy porozumienia z 1965 roku. Gdy powodowie wnieśli później te same roszczenia w Korei Południowej, sąd niższej instancji w 2009 roku również oddalił pozew, powołując się na orzeczenia japońskie i przedawnienie.

W 2005 roku administracja ówczesnego prezydenta Korei Południowej Roh Moo-hyuna przedstawiła inną interpretację traktatu z 1965 roku. Stwierdzono, że umowa „nie miała na celu zajęcia się reparacjami za japońskie rządy kolonialne, ale raczej uregulowanie roszczeń finansowych i cywilnych oraz stosunków zadłużenia" między dwoma krajami zgodnie z art. IV z 1951 roku traktatu pokojowego z San Francisco. Innymi słowy, w przeciwieństwie do traktatów Japonii z innymi krajami, takimi jak Indonezja, Chiny i Birma po II wojnie światowej, w których używano słowa „reparacje" w celu naprawienia szkód i cierpień spowodowanych przez Japonię, porozumienie z 1965 roku z Seulem milczało na temat reparacji. Ta ponowna ocena traktatu z 1965 roku ostatecznie doprowadziła do poważnej zmiany orzeczeń sądów południowokoreańskich. W przełomowych orzeczeniach z maja 2012 roku Sąd Najwyższy Korei Południowej orzekł, że indywidualne roszczenia przeciwko Nippon Steel Corporation (oraz roszczenia innej grupy powodów przeciwko Mitsubishi Heavy Industries) nie zostały wygaszone umową. I tak w 2018 roku południowokoreański Sąd Najwyższy zdecydował, że japońska firma Nippon Steel musi wypłacić czterem Koreańczykom odszkodowania za pracę przymusową wykonywaną podczas II wojny światowej.

Tokio tymczasem cały czas pozostaje przy stanowisku, że kwestia odszkodowań za pracę przymusową w czasie wojny została ostatecznie zamknięta w 1965 roku.

▶ Rozwiązanie z pomocą USA?

Nowy prezydent Korei Płd. Yoon Suk-yeol jasno zadeklarował, że chce poprawy relacji z Japonią i rozwiązania spornych kwestii dotyczących historii. Tego także chce Waszyngton, dla którego Tokio i Seul to ważni partnerzy w budowie sojuszu przeciw zagrożeniom ze strony Chin, Rosji i Korei Płn.

W lipcu bieżącego roku ministrowie spraw zagranicznych Korei Płd. i Japonii spotkali się w Tokio i poinformowali, że będą szukać szybkiego rozwiązania kwestii rekompensat dla Koreańczyków za przymusową pracę w czasie japońskiej okupacji Półwyspu Koreańskiego. Nie przedstawiono jednak żadnych konkretów.

Mówi się, że rząd Yoona przygotowuje plan, według którego odszkodowania dla ofiar kolonialnych rządów Japonii byłyby wypłacane przez fundusz wspierany zarówno przez firmy japońskie, jak i południowokoreańskie. Udział w funduszu byłby dobrowolny. To rozwiązanie pozwoliłoby uniknąć likwidacji aktywów japońskich firm w Korei Płd. oskarżanych o czerpanie korzyści z pracy przymusowej Koreańczyków. Japonia ostrzega przed likwidacją. Widać także, że chce jej uniknąć nowy rząd w Seulu.

Wielu ekspertów uważa, że ten plan Yoona nie tylko nie zadowoli Tokio, lecz także nie uzyska poparcia opozycji w Korei Płd., która ma większość w parlamencie. Choć niektórzy nie tracą nadziei. „Traktuję to jako okazję do osiągnięcia porozumienia" – mówi dr Jeong-ho Roh, dyrektor Centrum Koreańskich Studiów Prawniczych w Columbia Law School. Roh podkreśla, że biorąc pod uwagę konflikt na Ukrainie czy coraz bardziej asertywne Chiny, czy też radzenie sobie z następstwami pandemii COVID-19, Korea i Japonia mogą znacznie więcej zyskać dzięki współpracy niż konfliktowi. „To oczywiste, że obie strony doszły do krawędzi przepaści" – twierdzi dr Roh. „Teraz pytanie brzmi: czy istnieje środek, który pozwoli znaleźć kompromis?".

Być może tym środkiem musi być większe zaangażowanie administracji Bidena. W 2014 roku ówczesny prezydent USA Barack Obama nazwał tragedię „kobiet do pocieszania" „okropnym, rażącym naruszeniem praw człowieka" i zachęcił Japonię do „uczciwego i sprawiedliwego uznania przeszłości". Potem był rok 2015 i długo oczekiwana zmiana stanowiska rządu Japonii w tej kwestii.

Sang-ok Park, były sędzia Sądu Najwyższego Korei Południowej, uważa, że dla USA „poprawa relacji na linii Korea Południowa–Japonia musi być jednym z najważniejszych tematów. Propozycja funduszu może być najlepszą opcją, ponieważ pozwala obu rządom wpływać na efekty jego działalności i, jeśli jest dobrze zaprojektowana, na rozwiązanie problemów ofiar". ■

eprasa.pl bdab83362d

Antoni Rybczyński

NKWD i Gestapo. Sojusz dwóch diabłów

NKWD ściśle współpracowało z Gestapo na długo przed podpisaniem paktu Ribbentrop–Mołotow – co wyszło na jaw dzięki ujawnieniu archiwów KGB na Ukrainie dopiero w ostatnich latach. Okazuje się, że sowiecka bezpieka wydawała niemieckiej uciekinierów szukających w państwie Stalina ratunku przed Hitlerem.

eprasa.pl bdab83362

fot. Arch.

Począwszy od roku 1938 aż do inwazji niemieckiej w 1941, sowiecka tajna policja wysyłała setki uchodźców w ręce Gestapo, aby ci zostali uwięzieni, poddani torturom i w wielu przypadkach zginęli. Początkowo dotyczyło to głównie obywateli niemieckich, lecz później ta współpraca rozszerzyła się także na innych. Współpraca między NKWD a Gestapo jeszcze przed podpisaniem paktu Ribbentrop–Mołotow początkowo dotyczyła deportacji obywateli niemieckich i austriackich: były to kontakty formalne, mające na celu sprecyzowanie czasu przybycia i liczby deportowanych. Ale też w listopadzie 1938 roku podpisano porozumienie między III Rzeszą a ZSRS, w którym wyraźnie mówiono o zacieśnieniu współpracy między aparatami bezpieczeństwa obu totalitaryzmów. Później, w latach 1939–1940, po podpisaniu paktu Ribbentrop–Mołotow, odbyło się kilka wspólnych konferencji NKWD i Gestapo w Polsce, która została podzielona między dwa sojusznicze mocarstwa.

Powrót z „raju"

Pakt Ribbentrop–Mołotow był zaskoczeniem dla wielu, dla niektórych wręcz szokiem. Najbardziej chyba dla niemieckich komunistów. Nie tylko dla tych, którzy prowadzili konspiracyjną walkę z Hitlerem i w większości wylądowali w obozach koncentracyjnych. Była też wszak liczna grupa niemieckich komunistów, którzy wyemigrowali do ZSRS. Pod koniec lat 30. XX wieku mieszkały w Związku Sowieckim tysiące komunistów niemieckich, austriackich, czechosłowackich i polskich. Około 6 tys. z nich nie zdecydowało się przyjąć sowieckiego obywatelstwa. 811 Niemców miało status „emigranta politycznego", pozostali z tej grupy przyjechali legalnie jako zagraniczni specjaliści lub turyści. Ich problemy zaczęły się na długo przed rozpoczęciem współpracy NKWD z Gestapo.

Kontrolujący te środowiska Komintern utrzymywał ścisłe związki z NKWD i synchronizując się z represjami w ZSRS, przeprowadzał „partyjne" czystki oraz sporządzał listy do aresztowania i wydalenia. 9 marca 1936 roku Biuro Polityczne Komitetu Centralnego Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików) przyjęło uchwałę „O środkach ochrony ZSRS przed infiltracją elementów szpiegowskich, terrorystycznych i sabotażowych". Zauważono, że niektórzy emigranci polityczni „są bezpośrednimi agentami agencji wywiadowczych i policyjnych państw kapitalistycznych". W sierpniu 1936 roku na pierwszym „procesie moskiewskim" na ławie oskarżonych zasiadło już pięciu niemieckich emigrantów

ab83362d

politycznych. W Kommunistische Partei Deutschlands rozpoczęła się czystka. Do października 1936 roku partia przedłożyła NKWD listę „trockistów i elementów obcych". Na innej liście znalazły się osoby podejrzane politycznie, które wcześniej były widziane w opozycji lub „odchyleniach" i które wyemigrowały do ZSRS bez zgody KPD. Donosy z Kominternu doprowadziły w 1937 roku do wyłonienia się odrębnego, „niemieckiego" wątku represji. 14 lutego 1937 roku ukazuje się dyrektywa NKWD „O terrorystycznej, wywrotowej i szpiegowskiej działalności niemieckich trockistów, prowadzonej przez Gestapo na terytorium Związku Sowieckiego". 2 kwietnia 1937 roku – nowa dyrektywa „O wzmożonej działalności niemieckich agencji wywiadowczych i instytucji specjalnych Partii Faszystowskiej... na terytorium Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich". Wreszcie 25 lipca 1937 roku ukazał się tajny rozkaz operacyjny nr 00439 ludowego komisarza spraw wewnętrznych Nikołaja Jeżowa o represjach wobec obywateli niemieckich. Dwa dni później ruszyła „operacja niemiecka" NKWD. Przewidywano aresztowanie wszystkich „emigrantów politycznych pracujących w fabrykach wojskowych i zakładach obronnych [...] w przypadku zachowania przez nich obywatelstwa niemieckiego". Jeśli jednak śledztwo ujawniło „niemieckich agentów-szpiegów, sabotażystów i terrorystów", w tym obywateli sowieckich lub obywateli innych państw, to również oni byli aresztowani. Jednocześnie nakazano przeprowadzenie „dokładnej rejestracji wszystkich obywateli niemieckich pracujących we wszystkich innych przedsiębiorstwach przemysłowych, rolnictwie i instytucjach sowieckich, jak również byłych obywateli niemieckich, którzy przyjęli obywatelstwo sowieckie, a wcześniej pracowali w fabrykach wojskowych i warsztatach obronnych".

Rozkaz nr 00698 z 28 października 1937 roku nakazywał monitorowanie niemieckich placówek dyplomatycznych w celu „ujawnienia i zaprzestania wszelkich stosunków [...] z obywatelami sowieckimi przy zastosowaniu szerokich represji". Na przykład komunista Hermann Bezold, który mieszkał w Azerbejdżanie, w niemieckiej kolonii Jelenendorf (obecnie Göygöl) i odwiedzał konsulat generalny Niemiec w Tbilisi, zapłacił za to rozstrzelaniem w październiku 1937 roku. Do maja 1938 roku wszystkie siedem konsulatów Niemiec w ZSRS zostało zmuszonych do zamknięcia. Ci, którzy zostali aresztowani jako szpiedzy, nie mieli żadnego wyboru. Część z nich pozostała w gułagu, a część została deportowana do Niemiec, nawet jeśli w momencie przybycia do ZSRS byli komunistami, socjaldemokratami i/lub Żydami. Okólnik NKWD „O cudzoziemcach" z 22 sierpnia 1937 roku zalecał odmawiać Niemcom i Austriakom przedłużenia zezwoleń na pobyt, zmuszając ich do opuszczenia ZSRS. Co prawda mogli jeszcze wyjechać do kraju trzeciego, ale ci, którzy zostali deportowani, trafili do Niemiec. Według danych ambasady niemieckiej, w latach 1937–1938 deportowano 620 obywateli niemieckich. Wyjazdy cudzoziemców trwały także później – w ręce władz niemieckich wpadli obywatele Austrii, Czechosłowacji i Polski, podbitych przez III Rzeszę.

W 1936 roku Liga Narodów określiła, że uchodźcą z Niemiec jest „każda osoba, która osiedliła się w danym kraju, nie posiada innego obywatelstwa niż niemieckie, i co do której stwierdzono, że nie znajduje się pod prawną lub faktyczną ochroną rządu Rzeszy". Konwencja z 1938 roku dodała do nich bezpaństwowców. Sowieci łamali więc zasady organizacji, do której należeli. W ciągu 1938 roku w łapy Gestapo wydano co najmniej 31 uchodźców. Po podpisaniu paktu Ribbentrop–Mołotow proces ten wyraźnie się nasilił. Na przykład co najmniej 130 emigrantów poddano ekstradycji w 1939 roku, 130 w 1940 roku, 14 w 1941 roku, a kolejnych 108 poddano ekstradycji w terminie nieokreślonym w dostępnych archiwach. Spośród deportowanych 94 osoby były obywatelami Austrii, 56 to rosyjscy Niemcy, urodzeni w Rosji z niemieckich rodziców lub wzięci do rosyjskiej niewoli podczas I wojny światowej, a co najmniej 15 było etnicznymi Żydami.

Pierwsze dokumenty

Pierwsze kroki w kierunku formalnego zbliżenia NKWD i Gestapo były absolutnie tajne. I to strona sowiecka była zdecydowanie bardziej aktywna i szukająca współpracy z Berlinem. Już 5 stycznia 1938 roku protokół w sprawie deportacji cudzoziemców z ZSRS podpisali ludowy komisarz spraw wewnętrznych Nikołaj Jeżow i prokurator generalny Andriej Wyszyński. Na liście było 45 obywateli Niemiec, Austrii i innych państw. Stalin wiedział jednak, że tylko pozbycie się Żydów z kluczowych stanowisk może spowodować, że Hitler zacznie z nim rozmawiać. Zaczęło się od czystki w sowieckim resorcie spraw zagranicznych, która zwiększyła wpływy ludzi z NKWD, oznaczała wydalenie wielu żydowskich pracowników oraz przekazanie kierownictwa komisariatu w ręce Mołotowa. Zmianom w dyplomacji towarzyszyły zmiany także w NKWD: 22 sierpnia 1938 roku na czele Głównego Zarządu Bezpieczeństwa Państwowego i pierwszego zastępcy ludowego komisarza spraw wewnętrznych stanął Ławrientij Beria, a 25 listopada 1938 roku objął on już

eprasa.pl bdab83362d

stanowisko ludowego komisarza. Interesujące jest to, że o bezpośrednich związkach Berii z Gestapo dowiedziało się kilku pracowników NKWD, starych członków partii, którzy donieśli o tym Stalinowi. Rezultat: wszyscy zostali aresztowani i na osobisty rozkaz Stalina i Berii – rozstrzelani.

Dwa tygodnie przed objęciem funkcji szefa komisarza spraw wewnętrznych, 11 listopada 1938 roku w Moskwie Ławrentij Beria w imieniu ZSRS i Heinrich Müller w imieniu III Rzeszy podpisali „Generalne porozumienie o współpracy, wzajemnej pomocy, wspólnych działaniach między Niemcami a ZSRS". W paragrafie pierwszym sformułowano cel umowy: nawiązanie ścisłej współpracy między Gestapo i NKWD dla „wspólnych działań mających na celu zwalczanie wspólnych wrogów prowadzących systematyczną politykę podżegania do wojen, konfliktów międzynarodowych i zniewolenia ludzkości". W paragrafie 2 pkt 2 można przeczytać: „Strony będą prowadzić wspólną walkę ze wspólnymi głównymi wrogami:

– międzynarodowym żydostwem, jego międzynarodowym systemem finansowym, judaizmem i żydowskim światopoglądem;

– degeneracją ludzkości, w imię uzdrowienia białej rasy i stworzenia eugenicznych mechanizmów higieny rasowej".

Paragraf 5 zapowiadał regularną i ścisłą współpracę aparatów bezpieczeństwa:

„Pkt 1. Strony przywiązują dużą wagę do rozwoju i pogłębiania działalności zawodowej. Wymiana doświadczeniami i spotkania oraz oddelegowania pracowników obu instytucji będą prowadzone na stałej podstawie.

Pkt 2. Szefowie NKWD i Gestapo oraz oficerowie obu instytucji będą odbywać regularne spotkania w celu przeprowadzenia konsultacji i omówienia innych działań przyczyniających się do rozwoju i pogłębienia stosunków między obu krajami".

Protokół 2 umowy określał szczegółowo procedurę i warunki wydawania drugiej stronie jej obywateli.

20 grudnia 1938 roku w postanowieniu Politbiura KC WKP(b) zapisano:

„1. Zatwierdzić umowę podpisaną między NKWD ZSRR a niemiecką Państwową Służbą Bezpieczeństwa o współpracy.

2. Na znak szczerości stosunków wydać władzom niemieckim byłych obywateli austriackich i niemieckich, przebywających obecnie na terytorium sowieckim, którzy swoimi działaniami w czasie pracy dla Kominternu wyrządzili znaczne szkody.

3. NKWD ZSRR w związku z powyższym zatrzyma wymaganych obywateli i zapewni transport specjalnego eszelonu w celu ich wydania władzom niemieckim.

4. Wystąpienie do władz niemieckich o ekstradycję byłych obywateli radzieckich, którzy wyemigrowali z ZSRR".

Na praktyczne wdrożenie cytowanych dokumentów nie trzeba było długo czekać. Już 14 stycznia 1939 roku Heydrich przesłał Berii listę osób uznanych za wrogie, żądając ich ekstradycji. W zamian Beria przesłał stronie niemieckiej pierwszą listę 43 osób do ekstradycji.

▶ Sojusz oparty na krwi

Deportowanych do III Rzeszy odbierało Gestapo, po czym przesłuchiwano ich w więzieniu w Lublinie. Z pytań wynikało, że Gestapo wiedziało o ich przynależności do partii antyfaszystowskich i działalności politycznej w ZSRS. Informacje te były prawdopodobnie zawarte w dokumentach pomocniczych NKWD dla deportowanych. Po przesłuchaniach ludzie byli filtrowani, a niektórzy (choć nie wszyscy) trafiali do obozów koncentracyjnych. Na przykład David Walter zginął w komorze gazowej obozu koncentracyjnego na Majdanku. Aleks Brzoska, który nawet pod wpływem tortur nie przyznał się do szpiegostwa, trafił do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Margaret Buber-Neumann, żona rozstrzelanego w ZSRS wiceprzewodniczącego Komunistycznej Partii Niemiec, całą wojnę spędziła w obozie koncentracyjnym w Ravensbrück. Komunista Arnold Klein wyemigrował do Związku Sowieckiego w 1934 roku, pracował pod partyjnym pseudonimem Hans Bloch w wydawnictwach Niemieckiej Partii Komunistycznej, następnie dostał pracę w fabryce samochodów w Niżnym Nowogrodzie. 8 marca 1938 roku został aresztowany przez NKWD i oskarżony o trockizm. 5 lutego 1940 roku władze sowieckie przekazały go w ręce Gestapo. Oskarżony o zdradę stanu trafił do więzienia w Lublinie, następnie przeniesiony do więzienia w Düsseldorfie, gdzie zmarł 25 stycznia 1942 roku. Jednym z wydanych Gestapo Niemców jeszcze przed zawarciem paktu Ribbentrop–Mołotow był Ernst Fabisch z młodzieżówki KPD. Zbiegł w 1934 roku do Czechosłowacji, a potem ZSRS. Pracował tam na budowie elektrowni. W kwietniu 1937 roku został aresztowany przez NKWD. Pół roku przesiedział w więzieniu. W styczniu 1938 roku został odesłany do III Rzeszy. Na granicy już czekało Gestapo. Zginął w Auschwitz w 1943 roku.

Szczególnie tragiczny los czekał niemieckich i austriackich Żydów, którzy wcześniej uciekli do

eprasa.pl bdab83362d

ZSRS przed nazistowskim terrorem. Biznesmen Max Zucker po dojściu Hitlera do władzy postanowił emigrować. Pojechał do syna mieszkającego w ZSRS. Decyzja okazała się fatalna. W 1937 roku Zucker został aresztowany przez NKWD pod zarzutem szpiegostwa, a w 1939 roku, po podpisaniu paktu Ribbentrop–Mołotow, został wywieziony do hitlerowskich Niemiec. Na granicy odebrali go agenci Gestapo. Jako Żyd urodzony w Polsce, Zucker trafił do warszawskiego getta. 23 października 1941 roku został na ulicy pobity na śmierć przez SS. Więcej szczęścia miał słynny naukowiec Aleksander Weisberg. Urodził się w 1901 roku w Krakowie w średniozamożnej rodzinie żydowskiej, która w 1907 roku przeniosła się do Wiednia. Był członkiem Austriackiej Partii Komunistycznej. Po kilku aresztowaniach w Wiedniu, w 1932 roku przeniósł się do Berlina, a następnie do Związku Sowieckiego. Otrzymał propozycję pracy w laboratorium zaawansowanej fizyki w Charkowie. W 1937 roku został aresztowany w Charkowie. Był przesłuchiwany i przetrzymywany w więzieniach w Charkowie i Moskwie, aż do momentu przekazania go Gestapo w styczniu 1940 roku. Znalazł się w grupie około 50 obywateli niemieckich i austriackich, których przywieziono do Brześcia Litewskiego. Lata wojny spędził w okupowanej Polsce: w getcie krakowskim, w obozie pracy pod Warszawą, w kilku więzieniach i w konspiracji. Wkrótce po zakończeniu wojny przeniósł się na Zachód.

Niektórzy wydani przez NKWD w ręce Gestapo dzielili się makabrycznymi wspomnieniami z gułagu. Naziści z powodzeniem wykorzystywali to do swojej propagandy. Ernst Torgler, zastępca przewodniczącego partii komunistycznej w Reichstagu, którego syn Kurt został wydany wiosną 1940 roku, przeszedł na służbę nazistów. Szefowie służb specjalnych ZSRS byli świadomi negatywnego wpływu „operacji narodowych" na wizerunek państwa. I tak podczas przesłuchania Jeżowa w sierpniu 1939 roku przyznał się on do wywołania „niezadowolenia i fermentu wśród ludności ZSRS należącej do tych narodowości", tworzenia „atmosfery niezadowolenia nie tylko z kunktatorskiej, ale i narodowej polityki władz radzieckich". Zarówno całkowita liczba deportowanych, jak i liczba tych z nich, którzy poszli na współpracę z nazistami, nie są znane. Historyk Wilhelm Mensing dowodzi na podstawie niemieckich dokumentów, że wśród deportowanych „większość uniknęła aresztowania. Najmłodsi zostali wysłani do służby w Wehrmachcie". Wiadomo jednak, że część „nazistowskich agentów" represjonowanych w Związku Sowieckim i wydanych Gestapo była prawdziwymi wrogami Hitlera. Mowa o tych, którzy znaleźli się na „Specjalnej liście śledczej Gestapo – ZSRS" (Sonderfahndungsliste UdSSR). Podczas „operacji niemieckiej" NKWD rozstrzelano 93 osoby z tej listy, 97 skazano na obozy, 11 zwolniono, 3 uniewinniono, 9 wywieziono, a 3 zginęły podczas śledztwa. W tym wypadku można powiedzieć, że sowiecka bezpieka wykonała pracę za Gestapo...

Intensyfikacja współpracy

Pakt Ribbentrop–Mołotow i ujawnienie przed światem sojuszu Hitlera ze Stalinem przyspieszyły i wzmocniły współpracę NKWD i Gestapo. Przejawem tego była nie tylko intensyfikacja „wymiany" więźniów – wrogów reżimów. Na przykład szef NKWD Ukrainy, bezpośredni organizator deportacji z zachodniej Ukrainy, Iwan Sierow regularnie spotykał się z przedstawicielami Gestapo, by omawiać kwestie współpracy transgranicznej, przekazywania jeńców i aresztantów oraz uzgadniać szereg innych spraw. Ale w historii najmocniej zapisały się tzw. konferencje NKWD i Gestapo. Pierwsze rozmowy miały miejsce w Brześciu już 27 września 1939 roku. Podpisano porozumienie „O wspólnych działaniach przeciwko polskim agitatorom". W październiku 1939 roku przedstawiciele aparatów bezpieczeństwa mieli się spotkać we Lwowie (co nie jest jednak potwierdzone). W listopadzie 1939 roku w Przemyślu omawiano kwestię deportacji ludności i wymiany jeńców wojennych. Wielu wziętych do niewoli polskich żołnierzy Sowieci wydali Niemcom. Także w listopadzie 1939 roku w ambasadzie ZSRS w Berlinie doszło do spotkania szefa SS Heinricha Himmlera z Wsiewołodem Mierkułowem, zastępcą Berii. Później, 6–7 grudnia 1939 roku, odbyło się spotkanie delegacji Gestapo i NKWD w Krakowie, zaś 8–9 grudnia 1939 roku w Zakopanem.

Za jedną z najważniejszych konferencji historycy uważają jednak tę z 20 lutego 1940 roku, która odbyła się też w Zakopanem. Na czele delegacji niemieckiej stać miał Obersturmbahnführer SS Adolf Eichmann, na czele delegacji sowieckiej Grigorij Litwinow, przypuszczalnie syn ministra spraw zagranicznych Maksyma Litwinowa. W Zakopanem powołano „wspólny ośrodek szkolenia służb bezpieczeństwa". Do ostatniej konferencji miało dojść w marcu 1940 roku (część historyków uważa, że tak naprawdę była to kontynuacja konferencji zakopiańskiej). W maju 1941 roku Sowieci wydali Niemcom ostatnią, jak się okazało, partię więźniów. W czerwcu rozpoczęła się operacja „Barbarossa" początkująca wojnę Stalina i Hitlera, zatem kładąca kres współpracy Gestapo i NKWD. ■

eprasa.pl bdab83362d

Ryszard Czarnecki

List w Kenii pisany

Będąc ponownie w Kenii, jednym z trzech najważniejszych państw Afryki, obok RPA i Nigerii, skonstatowałem, że literatura ważniejsza jest od gospodarki. Prawdę mówiąc wolę czytać książki niż zajmować się spadkami na giełdzie, ale wcale się nie ucieszyłem, bo znowu Polska jest poszkodowana. Wszyscy (no prawie) turyści w Kenii wiedzą, że z tym krajem związała swe życie i twórczość duńska pisarka Karen Blixen. Pies z kulawą nogą nie wie, że twórcą Centralnego Banku Kenii, po uzyskaniu przez ten kraj niepodległości w 1963 roku (rok mojego urodzenia!), był nasz rodak Leon Barański, którego podpis widnieje na pierwszych kenijskich banknotach, które weszły do obiegu w 1966 roku (tysięczne urodziny Polski!). Do domu Dunki – dziś muzeum – ciągną pielgrzymki turystów. O panu Leonie urodzonym w Małopolsce pod koniec XIX wieku nie wiedzą nawet ludzie z kenijskich elit, także ci związani w jakimś sensie z Polską. Przykre.

Duńska pisarka zyskała nieśmiertelność dzięki reżyserowi filmu, który był ekranizacją jej książki „Pożegnanie z Afryką". Dobrze chociaż, że reżyser nazywał się Polak, choć niestety w wersji przez dwa „el" i „ce" na końcu. Meryl Streep, grając Dunkę, przeszła do historii kina, nie mówiąc o przystojniaku Robercie Redfordzie. W filmie też zagrał... pociąg. W muzeum Karen Blixen nie ma o nim wzmianki, lecz ja, człowiek, który podczas podróży służbowych woli chodzić do muzeów niż sączyć drinki w barze, dotarłem do niego w Nairobi Railway Museum. Nosił numer 301, zbudowany był w 1923 roku, a poszedł na emeryturę w latach 70., nie wiedząc, że odkurzy go reżyser Sydney P. Wdrapałem się na lokomotywę, przeczytałem opis o tym Tanganyika Railway, który zakończył żywot już jako East African Railway z innym numerem, bo 2301.

Stojąc na lokomotywie i później w hotelu „Sankara", myślałem o... smutku. Smutna Dunka Karen, która nie mogła mieć dzieci, bo zaraził ją syfilisem jej własny mąż, szwedzki baron Finecke. Gościła we własnym domu na obiedzie księcia Walii, w Nowym Jorku spotykała się z Marilyn Monroe i pisarzem Arthurem Millerem, ale smutek pozostał. Smutek Polaka Leona, który wywiózł w 1939 roku polskie złoto, ratując je przed Niemcami, a potem nie chciał mieć nic wspólnego z komunizmem i tworzył systemy bankowe oraz finansowe w Indonezji i paru krajach Afryki, aby umrzeć daleko od ojczyzny, w USA.

W pobliżu kolejowego muzeum, przy dworcu głównym w Nairobi, na balustradzie wiaduktu, w godzinach szczytu, siedzi wielki ptak. Przypomina bociana. Przyleci z Afryki do Polski?

Po obu stronach drogi, a potem, nazwijmy to, autostrady, biegacze. Kenia z nich słynie. Kenia dzięki nim jest w czołówce każdych igrzysk olimpijskich i lekkoatletycznych mistrzostw świata, Kenia z nich żyje, bo przylatują tu trenować i Polacy, i Amerykanie, i Norwegowie, i cała reszta.

Mijam budynek wyglądający niczym podrzędny sklep, a tu proszę: Glory Restoration Church – jeden z wielu protestanckich kościołów. Protestantów jest tu najwięcej (54 proc. populacji), katolików mniej (21 proc.), są też muzułmanie (11 proc.). Konsula Honorowego RP, absolwenta uczelni z Poznania, Jonesa Skippera Onyino pytam o stosunki chrześcijan z muzułmanami. Odpowiada, że są dobre, a całe zło spowodowane jest przez islamskich radykałów z Somalii. To oni odpowiadają za zamach w 2015 roku w mieście Garissa (zginęło 148 chrześcijan, 79 było rannych). Cóż, pamiętam moją wizytę w innej części Afryki – Burkina Faso – i to samo pytanie zadałem katolickim misjonarzom – Polakom. Też mówili, że relacje z muzułmanami są OK. Tydzień po moim wyjeździe nastąpił pierwszy zamach islamskich terrorystów...

W Kenii jest czyściej niż w wielu krajach Afryki. Paradoksalnie w państwie, którego kolonią kiedyś było terytorium Kenii, czyli w Wielkiej Brytanii, jest coraz brudniej. I bardziej tu niż w pozostałej części Afryki wierzą w demokrację, skoro w 2017 roku, pierwszy raz w historii Czarnego Lądu (jak mówiono w czasach „przed polityczną poprawnością"), unieważniono tu wybory prezydenckie.

Opuszczając Kenię, myślę o polskich dzieciach, których armia Andersa ewakuowała z ZSRS, a które właśnie na tej ziemi znalazły schronienie... ■

eprasa.pl bdab83362d

Przychodnia w buszu

Nie dowiozą cię tu karetką na sygnale. Nie podprowadzi cię tu żaden GPS. Trafisz tu raczej po kilkugodzinnej tułaczce przez busz. Albo przyniesiony w taczce, jak to miało miejsce w przypadku osiemnastoletniego Filipe. Jednak niezależnie od tego, jak długo będziesz tu szedł i w jaki sposób tu trafisz, na miejscu powita cię uśmiech pewnej polskiej pielęgniarki. Ona zrobi już wszystko, aby ci pomóc.

eprasa.pl bdab83362d

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

1. Siostra Anuncjata stara się być dla każdego.
2. Polska zakonnica obserwuje dorastanie najmłodszych mieszkańców kameruńskiego buszu.
3. Gdyby nie siostra Anuncjata oraz pomagający jej mariańscy misjonarze, ci ludzie najprawdopodobniej pozostaliby bez pomocy.

epiasa.pl bdab83362d

Wygląd kuchni mieszkańców wioski Essiengbot nie różni się wiele od wyglądu podobnych miejsc w innych wioskach regionu.

Pojedź do naszej wioski i zapytaj... – Ojciec Franciszek poprawia okulary, by po chwili spojrzeć mi uważnie w oczy. – Oni nadal wierzą, że choroba, która ich spotyka jest zemstą złego ducha...

– I jakie to ma konsekwencje? – pytam, starając się możliwie ostrożnie dobierać słowa. Odnoszę wrażenie, że mój rozmówca jest dziś zmęczony. Obawiam się, że już sam temat choroby u jego podopiecznych może go dodatkowo zdołować.

– Jakie to ma konsekwencje? Bardzo proste. – Ku mojemu zdziwieniu duchowny odpowiada w bardzo ożywionym tonie. – Twierdzą, że w takim razie trzeba takiego ducha wypędzić z człowieka. A do tego będzie potrzebna magia... Zakładają specjalne sznurki na biodra. Bransoletki na ręce, nogi. Zaczynają nosić jakieś fetysze na szyjach. Zdarza się też, że nacinają sobie czoło. Bo przecież tak nakazał czarownik. Takie nacięcie nazywają blendarzem. To z francuskiego. „Je suis blindé" oznacza tyle, co „jestem chroniony". Wierzą, że takie nacięcie jest dla nich gwarancją zdrowia.

– Domyślam się, że taki miejscowy znachor znaczy dla tych ludzi więcej niż lekarz?

– Oczywiście! Wpierw pójdą do niego, a dopiero później, jeśli nie będzie poprawy, do lekarza. Ostatnio jedna dziewczyna bardzo poważnie się poparzyła. Poszła do znachora po ratunek. Wiesz, co jej polecił zrobić? Oblepić ciało błotem.

– Podziałało?

– Wprost przeciwnie. Historia zakończyła się dramatycznie. Wdało się zakażenie do krwi. Dziewczyna umarła. Takich historii mamy tu niestety mnóstwo.

Kobieta gigant

Środek Afryki. Kamerun. Gęsty las. Do najbliższego miasta Messameny trzeba jechać kilka godzin. Ciężko nawet określić dokładnie ile. – Do pierwszego asfaltu mamy 45 kilometrów – instruuje mnie siostra Anuncjata ze Zgromadzenia Sióstr Opatrzności Bożej. – Ubitą leśną drogą. Gdy jest sucho, da się ten odcinek pokonać w godzinkę. Gdy jednak przychodzi pora deszczowa, podróż trwa przynajmniej pół dnia. Da się przywyknąć.

To wioseczka Essiengbot. Nie szukajmy jej na kameruńskich mapach. Nie znajdziemy jej. Nawet w samym Kamerunie mało kto wie o jej istnieniu. Jej lokalizację wskażą nam praktycznie tylko przedstawiciele plemienia badżue. Wszak osada Essiengbot to ich dom. A od kilku lat także siostry Anuncjaty Waszewskiej, posługującej w tutejszym buszu jako pielęgniarka. Pomagającej okolicznej ludności. Służącej rodzinom plemienia badżue. – Mamy tutaj jakieś sto rodzin – tłumaczy mi polska zakonnica. Podczas rozmowy jest niezwykle życzliwa. Ale i bardzo konkretna. Odpowiada na wszystkie pytania,

eprasa.pl bdab83362d

Liczba dzieci chorych na sepsę bije w kameruńskim buszu niechlubne rekordy.

rozwiewa wszelkie wątpliwości. A ma o czym mówić. Zna w Essiengbot każdego. I naprawdę wiele już tu widziała. – W wiosce oprócz przychodni, którą zawiaduję, są jeszcze szkoła i przedszkole. 84 kilometry stąd znajduje się mała parafia Atok, którą zarządzają księża marianie. Kiedyś nasze drogi się przecięły i dziś owocnie współpracujemy. Bez ich pomocy niewiele bym tu mogła zrobić.

Siostra Anuncjata jest pielęgniarką. Tutaj w afrykańskim buszu, z dala od cywilizacji, to niejako równoznaczne z byciem lekarzem. W dodatku takim o najwyższych kwalifikacjach. Prawda jest bowiem taka, że siostra Anuncjata jest dla przybywających do niej ludzi często ostatnim ratunkiem. Podejmuje się więc każdego zabiegu. – Nie bardzo mam wyjście – tłumaczy z uśmiechem. Ale i pewną uroczą nieśmiałością. Każda kolejna chwila spędzona z tą kobietą uświadamia mi, z jakim człowiekiem mam do czynienia. Duchowym gigantem.

Obraz na zawsze

Filipe miał 18 lat. Podczas pracy w buszu zranił się maczetą w nogę. Rana obficie krwawiła. Z czasem wdało się zakażenie. Rodzina próbowała pomóc synowi, przykładając do chorej nogi liście. Nie skutkowało. Z czasem chłopiec zakaził się tężcem. Po czterech miesiącach od wypadku, gdy stan chorego gwałtownie się pogorszył, nie widząc już innej opcji, rodzice ułożyli ciało Filipe na taczce i ruszyli do Essiengbot. Tutejsza przychodnia w buszu była jedyną w okolicy, do której mogliby się udać. Do pokonania mieli 32 kilometry. Pchający taczkę z rannym, mężczyźni zmieniali się w trakcie wędrówki. Wreszcie po kilku godzinach wyczerpującej trasy dotarli do Essiengbot. Filipe był już prawie całkowicie sparaliżowany.

– Prężył się na moich oczach – siostra Anuncjata wspomina moment, w którym zobaczyła Filipe po raz pierwszy. Pielęgniarka zdiagnozowała u młodego pacjenta sztywność karku. Chłopak był w strasznym stanie. Nadal jednak świadomy. – Wyszeptał mi wówczas: „Siostro, czuję, że to już mój koniec...". Po chwili na moich oczach złamał się kark Filipe. Słychać było głośny zgrzyt kości. Nie byłam w stanie już nic zrobić. Ale tej sceny nie zapomnę już nigdy. I tego, że do końca ze mną rozmawiał...

Cztery kropki na dłoni

Godzina dziewiętnasta. Za kilka minut zrobi się w Essiengbot ciemno. Tutaj zachód słońca trwa naprawdę bardzo krótko. Podobnie jak wschód. Dzień i noc trwają po dwanaście godzin. Siostra Anuncjata zapala świecę. Po kolejnym dniu pełnym pracy ma teraz chwilę wytchnienia. Siada przy oknie swojego pokoju. Ciemność wyostrza inne zmysły. Teraz lepiej słychać muzykę lasu. Tym bardziej, że dla wielu zwierząt wieczór to początek pory żeru. W buszu

eprasa.pl bdab83362d

Do tych, którzy nie mają sił lub możliwości, aby przybyć do przychodni, siostra fatyguje się osobiście.

zaczyna robić się bardzo hałaśliwie. Słychać wszystko. Od kojącej muzyki cykad i świerszczy po tajemniczy syki i pohukiwania. Na rykach skończywszy. Te ostatnie to odgłosy małp. Najwidoczniej do wioski zbliżyło się jakieś stado. Siostra Anuncjata mieszka w tym miejscu już jednak zbyt wiele lat, aby cokolwiek z tego, co dzieje się w tej chwili za oknem, robiło na niej wrażenie. Spokojnym ruchem ręki sięga pod habit, by wyciągnąć drewniany różaniec. Po chwili całuje niewielki krzyżyk wystrugany z bambusa. Nad lasem słychać pierwsze grzmoty. Zbliża się burza.

„Sœur, sœur, aidez-moi!" – naraz wśród przedburzowego szumu wiatru słychać piskliwy krzyk dochodzący zza przymkniętych drzwi. Ktoś woła siostrę, prosząc o pomoc. „Co się stało!?" – oderwana od cichej modlitwy zakonnica prędko zrywa się z krzesła i biegnie w kierunku drzwi. Pod nimi znajduje matkę z dwójką dzieci. Jedno z nich, to wyglądające na starsze, głośno płacze. Kobieta trzyma dziewczynkę za rękę i pokazuje coś siostrze Anuncjacie. W panującym ogólnym hałasie, w zdenerwowaniu i płaczu dziecka zakonnica niewiele potrafi zrozumieć.

– O co chodzi? Dlaczego Jacqueline płacze? Co mi pokazujesz? – nieco łagodniejszym, acz zdecydowanym tonem siostra Anuncjata próbuje uspokoić atmosferę.

– Wypadek, siostro, wypadek! Córka kosiła trawnik. Na chwilę chciała odsapnąć. Usiadła więc, opierając się dłońmi o łąkę. I wtedy stało się to... – kobieta pokazuje charakterystyczną ranę na dłoni dziewczynki. Cztery ustawione obok siebie kropki. Siostra Anuncjata aż zanadto dobrze zna ten ślad.

– Skorpion... – szepcze do siebie.

– Nie widziałam go! Był taki malutki. Schował się pod kępą trawy. Musiałam go przygnieść. Tak bardzo mnie boli, siostro... – dziewczynka ledwo wytrzymuje ból.

To nie jest pierwszy przypadek, w którym bohaterska zakonnica będzie ratować pacjenta po ukąszeniu skorpiona. Prędko więc zaciska opaską miejsce nad dłonią dziewczynki, aby ograniczyć rozprzestrzenianie się jadu po całym organizmie. Po chwili biegnie do zamkniętego już o tej porze budynku przychodni. Musi jak najszybciej podać dziecku metronidazol. Z tego, co pamięta, ma jeszcze jedno opakowanie w szafce z lekarstwami. Przez głowę jak błyskawica przelatuje myśl o opóźniającym się transporcie z dostawą lekarstw do buszu. Miały być już przed trzema tygodniami. Z racji braku jakiejkolwiek finansowej pomocy od państwa (w teorii przychodnia ma charakter prywatny, więc nie podlega żadnym subsydiom od ministerstwa) siostra o pomoc musi prosić zaprzyjaźnionych ludzi na całym świecie. Ten transport lekarstw, na który obecnie czeka, sponsorowali akurat księża marianie. Przez kilka miesięcy zbierali fundusze poprzez świeckie Stowarzyszenie Pomocników Mariańskich. Dzięki darczyńcom udało się zebrać na tyle dużo, aby ufundować niezbędne leki oraz opłacić transport medykamentów do zapomnianej przez świat wioski w kameruńskim buszu.

eprasa.pl bdab83362d

Prawdopodobnie jedynie siostra Anuncjata wie, ilu ludziom uratowała już tutaj życie.

Przypominając sobie o opóźniającym się transporcie, siostra Anuncjata dociera do szklanej szafki z lekarstwami. Jest. Faktycznie, ostatnie opakowanie. Wytarczy na uratowanie nastoletniej Jacqueline. I może jeszcze dla jednej osoby.

– Ukąszenia skorpionów to u nas prawdziwa plaga. Zdarzają się praktycznie codziennie – wyjaśnia mi już na spokojnie siostra. – Są wszędzie. Czasem wystarczy jedynie krótkie dotknięcie i jad dostaje się do organizmu. Z wężami jest zresztą podobnie.

Wąż przecięty na wpół

Węże wychodzą z lasu w poszukiwaniu nie tylko gryzoni, lecz także słońca. Wylegują się wówczas najczęściej na świeżo skoszonych trawnikach i łąkach.

– Dla nas zaś taka skoszona trawa to spore ułatwienie, aby takiego węża dojrzeć. W gąszczu wysokich traw wąż bardzo łatwo się schowa. Z kolei na skoszonym trawniku będzie miał poważną trudność. Będzie się wygrzewał, my zaś z łatwością go dostrzeżemy. I złapiemy – tłumaczy ze spokojem siostra Anuncjata. Odnoszę wrażenie, że o jadowitych żmijach i skorpionach mówi z taką swobodą i oczywistością, jakby to była rozmowa o spóźniającym się tramwaju na przystanku w Warszawie.

– Domyślam się jednak, że przy takim nagromadzeniu węży trudno o uniknięcie ukąszeń?

– Oczywiście. Nie wszystkie jednak są niebezpieczne. Zdarzają się jednak i takie – siostra Anuncjata na chwilę zawiesza głos, jakby szukając w myślach pewnego wspomnienia. – Pamiętam, jak przyprowadzono do mnie ukąszonego mężczyznę. Miał już obrzęk na nodze. Wymiotował. Sytuacja była naprawdę poważna. Podałam mu kroplówkę. A następnie rozpoczęłam proces rozrzedzania krwi, a finalnie jej płukania. Mężczyzna przeżył.

– A siostra? Nigdy nie nadepnęła siostra na węża?

– Mnie się akurat poszczęściło – to jeden z pierwszych momentów od dłuższego czasu, gdy siostra Anuncjata zaczyna się cichutko śmiać. – Co nie znaczy, że ich nie spotkam. Są u nas praktycznie każdego dnia. Wchodzą do domów, do pokojów, na werandy, do ogrodów.

– I wie już siostra po tylu latach, jak postępować w takich sytuacjach?

– Jakbym nie wiedziała, nie mogłabym tutaj sama mieszkać – uśmiecha się zakonnica. – Trzeba po prostu wziąć coś twardego i zabić gada. I co ważne: trafiając go od razu w łeb. Okazuje się, że nawet przecięty na wpół wąż często nadal żyje i może zaatakować.

Walka o człowieka

Naszą rozmowę przerywa jakiś mężczyzna. Przyszedł przed dom siostry i prosi, aby ta na chwilę do niego wyszła. Gdy tylko kobieta wychodzi na zewnątrz,

eprasa.pl bdab83362d

mężczyzna pokazuje jej ogromnego białego koguta. Chce go dać siostrze w prezencie.

– Chciałbym podziękować – wyszeptuje wzruszony. Po chwili wręcza zakonnicy cenny podarunek.

– Ten starszy pan przyjechał do mnie kilka tygodni temu z objawami bardzo niskiego ciśnienia – tłumaczy mi siostra, gdy wracamy do naszej rozmowy. – Domyślałam się, że serce jest coraz słabsze. Podałam mu więc pierwszą kroplówkę, zaraz potem drugą, trzecią... I nic. Co gorsza, widziałam, że człowiek mi odlatuje. Poprosiłam żonę, aby go zagadywała, bo w przeciwnym wypadku zaraz go stracimy. Rodzina tak się przejęła jego stanem, że do wioski przyjechał syn mężczyzny. Ze stolicy, z Jaunde. Wziął ojca i zabrał go do miasta, do lekarza. Ten, gdy zobaczył mężczyznę, stwierdził, że wizyta w naszej przychodzi uratowała mu życie. Bez tych kroplówek i szybkiej diagnozy już by nie żył. Teraz zaś przyszedł podziękować.

Siostra na chwilę zawiesza głos. Wyczuwam wzbierające się wzruszenie. Po chwili kobieta na nowo podnosi głowę. – Trzeba walczyć, panie Stefanie. Zawsze trzeba o człowieka walczyć.

▶ Dwie kury za życie

Niedawno do leśnej przychodni siostry Anuncjaty przyszła pewna starsza kobieta. Po krótkiej rozmowie okazało się, że została właśnie wypuszczona ze szpitala w Jaunde. I że cierpi na raka macicy. Lekarze, gdy zobaczyli, w jakim stanie jest kobieta, polecili, by ta wracała do domu, gdyż nie ma tu dla niej ratunku. – W Kamerunie niewielu ludzi stać na kosztowną chemioterapię – wyjaśnia zakonnica.

Kobieta przyszła więc po radę do siostry Anuncjaty. Ta, gdy zobaczyła ogromny wrzód ropny na udzie, nie bardzo wiedziała, co robić. Poświęciła jednak pacjentce cały swój czas.

– Ona ciągle krwawiła – wspomina dziś. – Co gorsza, zaczęły pojawiać się przerzuty na kości. Z rany wypływała ropa. Nakładałam na nią dwa opatrunki dziennie. I co chwila czyściłam ranę. To była robota bez końca, bo ropa cały czas na nowo się zbierała. Zakonnica zaczęła więc dodatkowo masować nogę kobiety.

Po dwóch miesiącach walki z kolana do rany wyszły skrzepy ropy. – Zrozumiałam, że to one blokowały efekt czyszczenia – tłumaczy siostra. – Gdy wypłynęły, ropa momentalnie przestała się zbierać. A noga się zrosła.

Do dziś kobieta żyje. Chodząc na własnych nogach.

– A ja dostałam w nagrodę dwie kury. Tutaj to naprawdę bardzo porządna nagroda – śmieje się siostra Anuncjata.

▶ Chcesz się ożenić, zapłać

Ta siostra to prawdziwy heros – opowiada mi ojciec Krzysztof, mariański misjonarz od lat posługujący w Kamerunie. To właśnie on organizował z Polski pomoc dla bohaterskiej zakonnicy. A właściwie dla jej pacjentów i podopiecznych. Sam zresztą także przyjeżdża, aby – gdy tylko może – pomóc w funkcjonowaniu przychodni w buszu.

– Zmienił nam dach. Wystrugał ławki, żeby oczekujący pacjenci mieli gdzie usiąść. Podłączył nam bieżącą wodę – siostra Anuncjata na jednym wydechu wymienia zasługi ojca Krzysztofa. – No i pomaga mi w załatwianiu finansowania. Trzeba uczciwie powiedzieć, że bez marianów już dawno nie miałabym tu co robić.

– Prawda bowiem jest taka, że pod względem ochrony zdrowia sytuacja w Kamerunie jawi się koszmarnie – uzupełnia posługujący wraz z ojcem Krzysztofem wspomniany we wstępie ojciec Franciszek. – Żeby nadmienić choćby procent chorych na HIV.

Rzeczywiście. Według oficjalnych statystyk w całym kraju aż 12 proc. ludzi jest dziś zakażonych. W niektórych regionach stopień zachorowań dochodzi już nawet do 40 proc. W kraju coraz częściej umierają na AIDS młodzi ludzie. A żeby nie nazywać rzeczy po imieniu, utarło się w społeczeństwa powiedzenie, że ktoś „zmarł na chorobę". Problem jest naprawdę porażający.

– Tutaj naprawdę ciężko mówić o wstrzemięźliwości seksualnej przed ślubem – kontynuuje ojciec Franciszek. – Większość par żyje jako wieczni narzeczeni. Mając pięcioro, siedmioro dzieci. I nie chodzi o to, że oni nie chcą ślubu. Pewnie by i chcieli się ożenić, wyjść za mąż, ale w Kamerunie nadal obowiązuje tzw. la dot. To taki jakby posag. Mowa o naprawdę sporej gotówce, jaką starający się o rękę dziewczyny chłopiec musi zapłacić jej rodzinie. Można by rzec, że w Afryce nie dochodzi do ślubu między dwojgiem ludzie, lecz między dwoma rodzinami.

▶ Komar, mucha tse-tse i inne insekty

– To prawda... – zawiesza głos siostra Anuncjata. – To samonapędzający się problem. W Kamerunie chorych jest naprawdę wielu. Wspomniany przez ojca Franciszka HIV to wirus, który dziesiątkuje tutejsze społeczeństwo. Ale są jeszcze inne choroby. Już nie tak śmiertelne, lecz także niezwykle utrudniające życie.

Siostra Anuncjata doskonale wie, o czym mówi. Trudno dziś znaleźć w kraju choćby jedną dorosłą osobę, która nie przeszłaby malarii. Mają ją tutaj w sobie wszyscy. Oprócz komarów roznoszących malarię, wystrzegać trzeba się w Kamerunie także muchy tse-tse.

– Przybywającym do nas turystom oraz pielgrzymom trzeba zwykle mówić o tym, żeby nie suszyli bielizny na słońcu... – kontynuuje ojciec Franciszek.

eprasa.pl bdab83362d

Odwiedziny niewidomego w jednej z okolicznych wiosek.

– A to ciekawe, niby dlaczego? – dopytuję, zastanawiając się od razu, gdzie sam bym rozwiesił pranie.

– Są pewne owady, które na takiej suszącej się w słońcu bieliźnie lubią złożyć swoje, niewidoczne gołym okiem, jajeczka. Potem jak założymy taką rzecz na siebie, larwy owadów niepostrzeżenie się wyklują i zagnieżdżą pod skórą. Wkrótce w tym miejscu pojawi się ropa. I...

– I trzeba się będzie udać do siostry Anuncjaty! – śmieje się siedzący obok ojciec Krzysztof.

Cała trójka posługuje w Kamerunie od kilkudziesięciu lat. I sami przyznają w prywatnych rozmowach, że nie wyobrażają sobie już innego miejsca do życia. Wsiąkli w tę atmosferę. Kochają piękne serca tych ludzi. I nie przeszkadza im ani brak prądu, ani bieżącej wody. Na tej ziemi, z dala od cywilizacji to wręcz dodaje uroku.

Z drugiej strony, kto by ich dziś tu zastąpił? Pomysłowego księdza Krzysztofa, który własnoręcznie muruje i szpachluje kolejne elewacje wznoszonych przez siebie budynków. Dobrotliwego księdza Franciszka, który tyle serca wkłada w przyprowadzenie tych pogubionych często ludzi do Boga. Czy wreszcie jedyną pielęgniarkę przychodni w buszu, siostrę Anuncjatę? Tę, dla której misja i pomoc potrzebującym stała się żywą Ewangelią. Cała trójka właśnie w tym miejscu świata czuje się najlepiej. Tutaj jest na służbie. Tutaj jest też po trosze już u siebie. Tak przynajmniej traktują ich miejscowi. A ci mają wyjątkowego nosa do ludzi. ■

***

Na potrzebne lekarstwa oraz samo utrzymanie polskiej przychodni w buszu wciąż zbierane są środki wśród ludzi dobrej woli. Jeśli chcesz, możesz pomóc. Ofiary na ten cel zbiera:

Centrum Pomocników Mariańskich
Bank Pekao S.A. VII O/Warszawa
60 1240 1109 1111 0010 7752 5847
z dopiskiem: Dzieciom z Kamerunu

eprasa.pl bdab83362d

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Japonia

W opublikowanym w lipcu raporcie, tzw. Białej Księdze Obronnej, japońskie Ministerstwo Obrony wyraziło zaniepokojenie agresywnymi działaniami Rosji i Chin na arenie międzynarodowej. Dokument dużo miejsca poświęca rosyjskiej inwazji na Ukrainę, podkreślając, że złamanie porządku międzynarodowego przez Moskwę jest nie tylko problemem europejskim, lecz także że „społeczność międzynarodowa stoi obecnie w obliczu największej próby od czasów" II wojny światowej.

„Biała księga" ostrzega, że Rosja, określona w dokumencie jako „agresor", może w coraz większym stopniu używać potencjału nuklearnego jako środka odstraszającego. To z kolei oznacza wzrost aktywności wokół Japonii, gdzie obecne są rosyjskie okręty atomowe. Autorzy raportu dodają, że istniejący porządek międzynarodowy jest narażony na poważne wyzwania, także w regionie Indo-Pacyfiku. Jako duże niebezpieczeństwo przedstawiana jest rosnąca współpraca Chin z Rosją. Dowodem tej kolaboracji są m.in. przeloty samolotów wojskowych obu tych krajów nad przestrzenią powietrzną Japonii i statki Rosji i Chin wspólnie patrolujące wody w pobliżu Kraju Kwitnącej Wiśni.

Raport mówi o wysiłkach Chin na rzecz „jednostronnej zmiany lub próby zmiany status quo na Morzu Wschodniochińskim i Morzu Południowochińskim". Zauważa również, że Chiny dają jasno do zrozumienia, że nie zawahają się zająć Tajwanu siłą, jeśli to konieczne. Według Tokio taka retoryka dodatkowo zwiększa napięcie w regionie. Tajwan w „Białej księdze" przedstawiony jest jako „niezwykle ważny partner dla Japonii, dzielący te same podstawowe wartości, takie jak wolność i demokracja". Stabilność wyspy została nazwana „krytyczną dla bezpieczeństwa Japonii".

Japoński raport spotkał się z ostrą krytyką Pekinu. Chiny twierdzą, że dokument wyolbrzymia zagrożenie militarne ChRL i ingeruje w wewnętrzną politykę tego państwa wobec Tajwanu, a także powtarza japońskie roszczenia w sprawie spornych wysp na Morzu Wschodniochińskim.

Tydzień po ukazaniu się „Białej księgi" Ministerstwo Obrony Japonii ogłosiło, że zamierza podnieść wydatki na obronę w 2023 roku do kwoty 5,5 biliona jenów (41 mld dolarów), aby wzmocnić swoje zdolności operacyjne w przestrzeni kosmicznej i cyberprzestrzeni, a także na lądzie, morzu i w powietrzu.

W wywiadzie dla japońskiego protalu Nikkei Asia, Elbridge Colby, były zastępca sekretarza obrony ds. strategii i rozwoju sił za prezydenta Donalda Trumpa, uważa, że biorąc pod uwagę, iż Chińczycy od 25 lat co roku zwiększają wydatki na obronę od 6 do 10 proc., to japoński budżet obronny powinien być dużo wyższy od obecnych wydatków. „Jednak Japonia nadal wydaje około 1 proc. PKB na obronę. Rząd w Japonii mówi o być może teoretycznie zbliżeniu się do 2 proc. w ciągu najbliższych pięciu lat. [...] Japonia powinna natychmiast potroić swój budżet obronny. Zdaję sobie sprawę, że to bardzo trudne, lecz alternatywą jest ryzyko upadku Tajwanu, a wtedy Japonia będzie musiała wydać dużo więcej niż 2 lub 3 proc. PKB, aby się uratować" – stwierdził Colby.

Chiny–Europa Środkowo-Wschodnia

Estonia i Łotwa ogłosiły, że opuszczają chińskie forum 16+1, które miało skupiać się na współpracy Chin z krajami Europy Środkowo-Wschodniej i Grecją. Według Tallina i Rygi w obecnym środowisku międzynarodowym udział w kierowanej przez Pekin grupie „nie jest już zgodny" z ich celami strategicznymi. Chiny krytykowane są za rosnącą presję militarną

eprasa.pl bdab83362d

na Tajwan, a także za poparcie dla rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Szczególnie źle odebrana w państwach bałtyckich została deklaracja Chin o przyjaźni „bez granic" z rosyjskim dyktatorem Władimirem Putinem.

W ubiegłym roku chińska inicjatywa nosiła jeszcze nazwę 17+1. Po tym jak, w marcu 2021 roku grupę opuściła Litwa, pozostało 16 państw. Mantas Adomėnas, wiceszef MSZ Litwy, w wywiadzie dla amerykańskiego serwisu Axios stwierdził wówczas, że jego kraj podjął taką decyzję, bo „zdaliśmy sobie sprawę, że 17+1 nie spełnia oczekiwań. Był to format, który nie zapewnia żadnych korzyści ekonomicznych, jakie obiecywał". Ponadto, według Adomėnasa, spotkania w ramach formatu odbywały się „zawsze z inicjatywy oraz na warunkach i programie zaproponowanym przez Chiny. W tym formacie wyraźnie brakowało wzajemności". Litwa doszła do wniosku, że w relacjach z Chinami ważne jest coś więcej niż rzekome korzyści gospodarcze. „Kraje demokratyczne rozważają bardziej realistyczne podejście do Chin" – powiedział Adomėnas. „Prawa człowieka i wartości zdecydowanie nie były przedmiotem dyskusji [w 17+1], a wcześniejsze próby skierowania dyskusji na ten obszar spotkały się z brakiem odpowiedzi". „Uważamy, że jeśli chcemy zachować charakter i wartości początkowo przyświecające UE, do której przystąpiliśmy prawie 17 lat temu, musimy znaleźć sposób, aby przypomnieć sobie, naszym partnerom i konkurentom, że w tej Unii nie chodzi tylko o interes gospodarczy i ochronę praw do inwestycji, lecz także o pewną wizję wolności, praw człowieka i praworządności". „Jako Litwini postrzegamy, że warunkiem naszego przetrwania jest porządek międzynarodowy oparty na rządach prawa i dążeniu do rozprzestrzeniania się demokracji" – powiedział Adomėnas. „Nie bylibyśmy w stanie wyrwać się spod rządów Związku Radzieckiego, gdyby Zachód nie dążył do zwiększenia obszaru demokracji. Musimy więc wrócić do tej gry".

Pekin już na początku tego roku wyczuwał coraz bardziej chłodną reakcję krajów naszego regionu i w kwietniu wysłał doświadczonego dyplomatę Huo Yuzhena z wizytą do Europy Środkowo-Wschodniej, aby spróbować naprawić rozluźniające się więzy. Opuszczenie przez Estonię i Litwę chińskiej inicjatywy odbierane jest jako duża porażka dyplomacji ChRL.

Korea Północna

Prezydent Rosji Władimir Putin napisał list do przywódcy KRLD Kim Dzong Una, w którym stwierdził, że oba kraje „wspólnymi siłami rozszerzą wszechstronne i konstruktywne stosunki dwustronne" i podkreślił w nim, że bliższe więzi są w interesie i Moskwy, i Pjongjangu.

Kim Dzong Un także wysłał do Putina list, podkreślając, że „przyjaźń rosyjsko-północnokoreańska została nawiązana w czasie II wojny światowej wraz ze zwycięstwem nad Japonią, która okupowała Półwysep Koreański". „Współpraca strategiczna i taktyczna, wsparcie i solidarność między naszymi krajami osiągnęły nowy poziom dzięki wspólnym wysiłkom na rzecz udaremnienia zagrożeń i prowokacji ze strony wrogich sił zbrojnych" – stwierdził północnokoreański dyktator. Pjongjang nie sprecyzował, o jakie „wrogie siły" chodzi, lecz Korea Północna wielokrotnie używała tego terminu w odniesieniu do Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników.

Korea Płn. była jednym z pięciu państw, które opowiedziały się przeciwko rezolucji ONZ potępiającej rosyjską inwazję na Ukrainę. W lipcu KRLD uznała dwie, wspierane przez Rosję, separatystyczne „republiki ludowe" na wschodzie Ukrainy za niepodległe państwa. Ale możliwe, że to niejedyne oznaki poparcia północnokoreańskiego reżimu dla Putina.

Na początku sierpnia brytyjski „Daily Mail" pisał, że Kim Dzong Un zaproponował Rosjanom wysłanie 100 tys. północnokoreańskich żołnierzy, którzy mieliby dołączyć do wojny przeciwko Ukrainie. „Jeżeli ochotnicy z Korei Północnej ze swoimi systemami artyleryjskimi, bogatym doświadczeniem w walce przeciwbateryjnej i wielowyrzutniowym systemem rakietowym dużego kalibru, które wyprodukowano w Korei Północnej, chcą uczestniczyć w konflikcie, cóż, dajmy zielone światło ich ochotniczemu impulsowi. Jeśli Korea Północna wyraża chęć wypełnienia swojego międzynarodowego obowiązku walki z ukraińskim faszyzmem, powinniśmy im na to pozwolić" – mówił w rosyjskiej telewizji Igor Korotczenko, pułkownik rezerwy i redaktor naczelny magazynu „Russia's National Defence".

Pod koniec lipca w rozmowie z rosyjską gazetą „Izwiestija" Alexander Matsegora, ambasador Rosji w KRLD, stwierdził, że niedobory robotników na kontrolowanych przez Rosję terenach Ukrainy uzupełnić mogą pracownicy z Korei Północnej. „Wysoko wykwalifikowani, pracowici i zdolni do pracy w najtrudniejszych warunkach koreańscy budowniczowie będą bardzo znaczącą pomocą w rozwiązywaniu problemów związanych z odbudową obiektów socjalnych, infrastrukturalnych i przemysłowych" – powiedział Matsegora. Dodał, że „niektóre przedsiębiorstwa w Korei Płn. zostały zbudowane przy wsparciu ZSRS i nadal używają sprzętu wyprodukowanego w Donbasie". Strona rosyjska twierdzi, że Korea Płn. jest zainteresowana częściami zamiennymi i jednostkami tam produkowanymi, co miałoby zaktualizować jej bazę produkcyjną.

KRLD często wysyła swoich obywateli do pracy do innych krajów, bo w ten sposób komunistyczne władze są w stanie zdobyć potrzebną im walutę obcą. ■

eprasa.pl bdab83362d

TŁUMACZYŁ I OPRACOWAŁ
Antoni Rybczyński

„Kręgi rządzące nie chcą, ale masy ludowe tak". Jak Związek Sowiecki anektował kraje bałtyckie w trzech etapach

Przeszło 80 lat po aneksji państw bałtyckich przez Związek Sowiecki władze rosyjskie z jakiegoś powodu nadal upierają się, że „aneksja" była dobrowolna i w pełni zgodna z prawem międzynarodowym. Dokumenty i fakty wskazują na co innego – pisał Paweł Tiwikow na łamach „Nowej Gazety" 5 sierpnia 2020 roku.

Istnieje opinia, że niepodległość państwom bałtyckim przyznał Lenin jednym pociągnięciem pióra. Jednak pojawienie się Łotwy, Litwy i Estonii na mapie politycznej nastąpiło nie dzięki woli bolszewików, lecz wbrew niej. Niepodległość tych trzech krajów została już ogłoszona, gdy w listopadzie 1918 roku Armia Czerwona ruszyła na zachód, by ustanowić sowieckie panowanie w regionie Bałtyku. Podczas gdy trzon sił uderzeniowych RFSRR w krajach bałtyckich stanowili czerwoni strzelcy łotewscy (gorzka ironia historii), przeciwstawiały się im rozproszone formacje Białej Gwardii, Niemców bałtyckich, skandynawskich ochotników i resztek armii niemieckiej. Narodowe siły zbrojne narodów bałtyckich ledwo zaczęły się tworzyć. Sytuację dodatkowo komplikował fakt, że Niemcy walczyli nie tylko z Armią Czerwoną, lecz także o swoją hegemonię nad regionem. Dodatkowo Litwa była w konflikcie z Polską, która z kolei była również w stanie wojny z bolszewikami. To właśnie ten dwuletni chaos wojny wszystkich przeciwko wszystkim wykuł kraje bałtyckie.

W 1920 roku Rosja sowiecka podpisała z Łotwą, Litwą i Estonią umowy pokojowe, w których „bezwarunkowo" uznawała ich „niezależność, samostanowienie i suwerenność", a także rezygnowała „dobrowolnie i na wieczne czasy z wszelkich suwerennych praw, jakie należały do Rosji w stosunku do łotewskiego (litewskiego, estońskiego) narodu na ziemi". W rezultacie kraje bałtyckie uzyskały międzynarodowe uznanie i wstąpiły do Ligi Narodów. W fatalny rok 1939 wchodziły jako miękkie autokracje z całkiem dobrze prosperującymi gospodarkami, zadeklarowaną neutralnością i paktami o nieagresji z Niemcami i ZSRS. Te ostatnie w szczególności podkreślały, że strony zobowiązują się powstrzymać nie tylko od ataków, ale także „od wszelkich gwałtownych działań skierowanych przeciwko integralności i nienaruszalności terytorium lub przeciwko politycznej niezależności drugiej umawiającej się strony". Problem polegał jednak na tym, że w 1939 roku – po Anschlussie, Monachium i Czechosłowacji – zobowiązania dyplomatyczne w Europie przestały mieć znaczenie.

eprasa.pl bdab83362d

Związek Sowiecki przeprowadził aneksję państw bałtyckich w trzech kolejnych etapach: ustanowienie protektoratu, okupacja, inkorporacja. Na każdym kolejnym etapie ZSRS wprost łamał wszystkie wcześniejsze porozumienia. Ale zaczęło się oczywiście od nieszczęsnego paktu Ribbentrop–Mołotow.

▶ Protektoracja

Wstępne porozumienia o strefach wpływów między ZSRS a Niemcami zostały zawarte jeszcze przed przyjazdem Ribbentropa do Moskwy. Według pierwotnego planu, granica interesów w krajach bałtyckich przebiegała wzdłuż zachodniej Dźwiny – tym samym Łotwa miała zostać podzielona na dwie części. Podczas negocjacji na Kremlu apetyt Stalina jednak wzrósł – chciał teraz niezamarzających portów w łotewskich Windawie i Lipawie. Ribbentrop pospieszył do ambasady niemieckiej, skąd wysłał do Hitlera telegram przedstawiający żądania sowieckie. Odpowiedź przyszła natychmiast – Führer zgodził się na ustępstwa. Związek Sowiecki otrzymał Łotwę i Estonię, a Rzesza hitlerowska Litwę. Tydzień później Niemcy zaatakowały Polskę i rozpoczęła się II wojna światowa. Ale jeśli rozbiór państwa polskiego, przewidziany w tym samym tajnym protokole, został zainicjowany przez Hitlera – to jak Stalin podszedłby do neutralnego Bałtyku? Od czego zacząć? Na odpowiednią okazję nie trzeba było czekać zbyt długo. 14 września, uciekając przed niemiecką marynarką wojenną, polski okręt podwodny ORP Orzeł wszedł do portu w Tallinie. Władze estońskie internowały załogę i skonfiskowały mapy nawigacyjne, ale polscy marynarze odważyli się na ucieczkę. W nocy 18 września, tuż po sowieckiej inwazji na Polskę, ORP Orzeł zdołał wymknąć się na Bałtyk. Rano po zniknięciu okrętu podwodnego Mołotow wyjaśnił estońskiemu ambasadorowi, że „niezabezpieczenie przez Estonię swoich wód terytorialnych" stanowi zagrożenie dla ZSRS. Oskarżenie to było dyplomatycznym absurdem, choćby dlatego, że Związek Sowiecki zaatakował Polskę bez oficjalnego wypowiedzenia wojny (nie mówiąc już o naruszeniu polsko-sowieckiego traktatu o nieagresji z 1932 roku).

Od tego właśnie argumentu rozpoczął rozmowę z Mołotowem przybyły do Moskwy minister spraw zagranicznych Estonii Karl Selter. Jego rozważania jednak nikogo nie interesowały. Mołotow oznajmił, że od Estonii oczekuje się podpisania paktu o wzajemnej pomocy, w ramach którego ZSRS będzie mógł utworzyć na terytorium Estonii wojskowe bazy morskie, lotniska i garnizony z obsadą liczącą łącznie kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Selter próbuje lawirować – podkreśla, że Estonia nie chciałaby naruszać swojej neutralności, zawierając z kimkolwiek pakt wojskowy. Mołotow jest nieubłagany: „Kto nie chce? Wy nie chcecie, nie chcą tego środowiska rządzące. Ale masy ludowe w Estonii tak. Wiemy o tym". Selter wyraża swoje obawy o suwerenność Estonii. Mołotow uspokaja: „Nie bójcie się, pakt o wzajemnej pomocy ze Związkiem Sowieckim nie ma w sobie niczego groźnego. Nie chcemy osłabiać waszej suwerenności ani waszego systemu politycznego. Nie zamierzamy zmuszać Estonii do komunizmu". Na koniec wybrzmiewa decydujący argument: „Ja was proszę, nie zmuszajcie nas od użycia siły przeciwko Estonii". 28 września 1939 roku Selter podpisał pakt o wzajemnej pomocy z ZSRS. Sowieci dostali bazy na estońskich wyspach Archipelagu Moonsundzkiego [obecna nazwa to Zachodnioestoński, w jego skład wchodzą największe wyspy Estonii, m.in. Saaremaa i Hiumaa – przyp. red.] i w mieście Paldiski.

Narzucony Estonii pakt okazał się niejedyną umową zawartą tego dnia na Kremlu. Polska rozgromiona – już odbyła się wspólna defilada Wehrmachtu i Armii Czerwonej w Brześciu, i nadszedł czas doprecyzowania linii podziału. Ribbentrop i Mołotow podpisują traktat o przyjaźni i granicy między ZSRS i Niemcami. Oprócz uzgodnienia kwestii polskich, porozumienie przesuwało Litwę z nazistowskiej do sowieckiej strefy wpływów. Tymczasem przyszła kolej na Łotwę. 2 października na Kreml przybyła łotewska delegacja z ministrem spraw zagranicznych Vilhelmsem Muntersem na czele. W rozmowach, obok Mołotowa, brał udział Stalin.

Pierwszy ruch wykonuje Mołotow: „Chciałbym porozmawiać z panem o tym, jak usprawnić nasze relacje. Tak jak w przypadku Estonii. Potrzebujemy baz w pobliżu morza wolnego od lodu". Józef Wissarionowicz powtarza jego słowa: „Mam nadzieję, że nas nie zbesztacie. Minęło 20 lat [od traktatu pokojowego z 1920 roku między Łotwą a RFSRR – przyp. red.]; staliśmy się silniejsi, wy też. Nie zamierzamy tykać waszej konstytucji, organów, ministerstw, polityki zagranicznej i finansowej, czy systemu gospodarczego". Munters stara się złagodzić warunki, w szczególności prosząc, aby w Rydze nie powstała żadna baza sowiecka. Mołotow jest oburzony: „Jesteście więksi od Estonii, a chcecie dać mniej". Stalin dodaje: „Zakładacie, że chcemy was zająć. Moglibyśmy to zrobić już teraz, ale nie robimy". W efekcie 5 października 1939 roku Munters podpisuje pakt o wzajemnej pomocy identyczny z estońskim – Związek Sowiecki otrzymuje bazy morskie w Lipawie i Windawie, z garnizonami o łącznej liczbie 25 tysięcy ludzi.

Nieco inaczej wyglądało spotkanie z ministrem spraw zagranicznych Litwy Juozasem Urbšysem, również wezwanym do Moskwy. Stalin osobiście pokazał mu tajne protokoły do paktu Ribbentrop–Mołotow oraz mapę wytyczonych stref wpływów. Po burzliwej

eprasa.pl bdab83362d

rozmowie Urbšys wrócił na Litwę, by skonsultować się z rządem. Próbowali zwrócić się o pomoc do Berlina – ale ten tylko potwierdził, że tajne protokoły rzeczywiście istnieją. Litewskie kierownictwo było przekonane o beznadziejności sytuacji i 10 października Urbšys podpisał pakt o wzajemnej pomocy z ZSRS. Przewidywał on nie tylko utworzenie baz sowieckich na terytorium Litwy, lecz także przekazanie Wilna i Wileńszczyzny, odebranych Polsce – w pełnej zgodności z umowami sowiecko-niemieckimi.

Tak oto, w ciągu półtora miesiąca od spisku Stalina z Hitlerem, kraje bałtyckie przeszły w półsuwerenny stan de facto sowieckich protektoratów. De iure, rzecz jasna, proces przeprowadzono z pełnym zachowaniem zewnętrznej poprawności. Wszystkie trzy pakty o wzajemnej pomocy nie tylko obiecywały „nie naruszać w żaden sposób suwerennych praw Umawiających się Stron, w szczególności ich systemu gospodarczego i struktury państwowej", lecz także zapewniały o nienaruszalności obu wcześniejszych umów – o pokoju i nieagresji.

Gwarancje suwerenności chwalono także w prasie sowieckiej. „Prawda" pisze w swoim artykule redakcyjnym: „Od tej chwili naród łotewski wie, że suwerenne prawa Republiki Łotewskiej, jej niepodległość są zabezpieczone paktem wzajemnej pomocy z wielkim Związkiem Radzieckim". „Izwiestia" podziwiają wspaniałomyślność bolszewików: „Związek Radziecki nigdy nie korzystał ze swojej przewagi jako wielkiego i silnego mocarstwa nad małymi krajami [i] z największym szacunkiem i życzliwością traktował niepodległość państwową narodów oderwanych od Rosji".

Okupacja

W ciągu ośmiu miesięcy względnie spokojnej półsuwerennej egzystencji państwa bałtyckie nadal głosiły swoją neutralność. Wciąż istniała nadzieja, że Związek Sowiecki będzie zadowolony z poczynionych ustępstw i trzy małe państwa prześlizgną się między młyńskimi kołami geopolityki. 10 maja 1940 roku Hitler zaatakował jednak Holandię, Belgię i Luksemburg, a dyplomatyczny szum zaczął sygnalizować szybkie zmiany. Sowiecka prasa, jak zwykle, przystąpiła do przygotowania gruntu.

„Izwiestia", 16 maja 1940: „Wojna angielsko-francuskiego wojennego bloku przeciwko Niemcom weszła w nowy etap. Szanse małych krajów, chcących pozostać neutralnymi i niezależnymi, gwałtownie maleją do minimum. Wszelkie spekulacje dotyczące słuszności lub niesłuszności postępowania z małymi krajami, gdy wielkie imperialistyczne potęgi toczą wojnę na śmierć i życie, mogą wyglądać jedynie naiwnie".

Działać Sowieci postanowili analogicznie do 1939 roku. Najważniejsze to znaleźć pretekst, a potem to już „pazur wbity, cały ptak stracony". 25 maja 1940 roku Mołotow oskarżył Litwę o porwanie trzech żołnierzy sowieckiego garnizonu. Władze litewskie wyraziły chęć przeprowadzenia szczegółowego dochodzenia w sprawie incydentu i zwróciły się do Sowietów o niezbędne informacje, ale w odpowiedzi dostały dodatkowe oskarżenia. Zdaniem Moskwy, okazuje się, że między Litwą, Łotwą i Estonią od dawna istniał sojusz wojskowy przeciwko ZSRS. Była to „Ententa Bałtycka", umowa dyplomatyczna między trzema republikami z 1934 roku, która całkowicie pozbawiona była zobowiązań militarnych. Jedynym przejawem „Ententy Bałtyckiej" na arenie międzynarodowej były coroczne spotkania ministrów spraw zagranicznych, którzy nie robili nic poza deklaracją neutralności państw bałtyckich. Kierownictwo Litwy zaczęło rozpaczliwie próbować się tłumaczyć i udobruchać Stalina, ale już 7 czerwca formacje graniczne Armii Czerwonej otrzymały rozkaz przygotowania się do inwazji. W nocy z 14 na 15 czerwca – w przeddzień upadku Paryża – Mołotow przekazał ostateczne ultimatum przybyłemu na Kreml Urbšysowi. Związek Sowiecki zażądał utworzenia nowego rządu na Litwie i jego zgody na wpuszczenie do kraju nieograniczonej liczby wojsk sowieckich. Na odpowiedź dano dwanaście godzin. Do siódmej rano było wszystko jasne: rząd litewski postanowił podporządkować się wszystkim żądaniom sowieckim. Prezydent Antanas Smetona, który opowiadał się za zbrojnym oporem, uciekł z kraju przez granicę niemiecką. Rząd podał się do dymisji. Podczas gdy Armia Czerwona zajmowała Litwę, Mołotow na Kremlu wystosował identyczne ultimatum do ambasadorów Ło-

Wstępne porozumienia o strefach wpływów między ZSRS a Niemcami zostały zawarte jeszcze przed przyjazdem Ribbentropa do Moskwy.

eprasa.pl bdab83362d

twy i Estonii. Tu znów zarzutem było naruszenie paktów o wzajemnej pomocy poprzez organizowanie konferencji ministrów spraw zagranicznych w ramach „Ententy Bałtyckiej". Łotwa i Estonia zastosowały się do tego wymogu. 17 czerwca 1940 roku wszystkie trzy kraje bałtyckie zostały zajęte przez wojska radzieckie.

Inkorporacja

Moskwa wysłała do Pribałtyki [sowieckie, a dziś rosyjskie określenie obszaru Litwy, Łotwy, Estonii – przyp. red.] trzech namiestników, którzy mieli koordynować legitymizację aneksji. Na Łotwę przyjechał Andriej Wyszyński, słynny sowiecki prokurator zaangażowany w pokazowe procesy Stalina. Litwą zawładnął Władimir Dekanozow, jeden z organizatorów „wielkiego terroru", a teraz zastępca Mołotowa. Estonię objął Andriej Żdanow, nowy członek Biura Politycznego. Prezydenci – Kārlis Ulmanis na Łotwie i Konstantin Päts w Estonii – poszli na bezwarunkową współpracę z administracją okupacyjną. Na Litwie zbiegły za granicę Antanas Smetona został zastąpiony lojalnym wobec Sowietów premierem. Pracując pozornie „wspólnie" z bałtyckimi przywódcami, sowieccy emisariusze natychmiast przystąpili do tworzenia „rządów ludowych". Szybko one powstały i składały się z lokalnych komunistów i lewicowych intelektualistów. Rządy rozwiązały parlamenty krajowe i rozpisały wybory, które powinny odbywać się przez dwa dni (nie przypomina wam to czegoś?) – od 14 do 15 lipca 1940 roku.

W okresie poprzedzającym wyznaczone wybory z podziemnego niebytu odradzały się lokalne partie komunistyczne. Na ich bazie w każdym kraju powstawały „Związki Ludu Pracy", które wystawiały kandydatów do parlamentu. Wszystkie inne partie i organizacje polityczne zostały zdelegalizowane. Aby zapewnić odpowiednio wysoką frekwencję, przekonywano ludność, że każdy, kto zagłosuje, dostanie specjalny stempel w paszporcie. Lokalna prasa komunistyczna zapewniała, że „odmowa głosowania uważa się za przestępstwo przeciwko interesom ludu" i że „tylko wrogowie narodu pozostają w domu w dniach głosowania". W miastach organizowano niezliczone wiece prosowieckie. Nie trzeba dodawać, że wyniki bezalternatywnych wyborów wyraźnie pokazały skalę powszechnej miłości ludu robotników pribałtyckich do sowieckich gwarantów ich suwerenności. W Estonii „za" zagłosowało 92 procent, przy frekwencji 82 procent; na Łotwie 98 procent „za", przy frekwencji 95 procent; na Litwie 99 procent „za", przy frekwencji 96 procent. Tydzień później, 21 lipca 1940 roku, nowo wybrane (teraz „ludowe") parlamenty odbyły swoje pierwsze posiedzenia, którym towarzyszyły „przyjazne oklaski i wiwaty całej sali dla towarzysza Stalina, towarzysza Mołotowa, rządu radzieckiego i Armii Czerwonej". Parlamenty ogłosiły swoje kraje Socjalistycznymi Republikami Radzieckimi i postanowiły wysłać do Moskwy delegatów, którzy zwrócą się do Rady Najwyższej ZSRR o przyjęcie republik do Związku Radzieckiego. W dniach od 3 do 6 sierpnia 1940 r. uroczyście rozpatrzono, oczywiście pozytywnie, poszczególne petycje. W ten sposób zakończyło się 20 lat niepodległości państw bałtyckich.

Związek Sowiecki zażądał utworzenia nowego rządu na Litwie i jego zgody na wpuszczenie do kraju nieograniczonej liczby wojsk sowieckich.

W dniu proklamowania Łotewskiej SRR prezydent Kārlis Ulmanis podał się do dymisji, prosząc sowieckie kierownictwo o zgodę na wyjazd do Szwajcarii i dożywotnią emeryturę. Kierownictwo sowieckie jednak deportowało Ulmanisa do Stawropola, gdzie przez rok pracował jako agronom w kołchozie. Ulmanis został następnie ponownie zesłany, tym razem do Turkmenistanu, gdzie w 1942 roku zmarł z powodu dyzenterii. Jego wnuk Guntis Ulmanis został w 1993 roku pierwszym prezydentem na nowo niepodległej Łotwy. Prezydent Litwy Antanas Smetona, który uciekł z kraju po sowieckim ultimatum, zdołał dotrzeć do Stanów Zjednoczonych. Zginął w pożarze w Cleveland w 1944 roku. Prezydent Estonii Konstantin Päts próbował uciec przez amerykańską placówkę dyplomatyczną, ale 30 lipca 1940 roku został aresztowany wraz z synem i jego rodziną – wszystkich deportowano do Ufy. Liczne apele Pätsa do władz sowieckich o uwolnienie wnuków i ich matki pozostały bez odpowiedzi. Kilka lat później żona jego syna została wysłana do obozów syberyjskich, Päts z synem do Butyrki, a wnuki do sierocińca. Od 1943 roku Päts był poddawany przymusowemu leczeniu psychiatrycznemu w różnych sowieckich szpitalach. Zmarł w 1956 roku. Podobno podstawą diagnozy Pätsa były jego „uporczywe twierdzenia, że jest prezydentem Estonii". ■

eprasa.pl bdab83362d

Olga Doleśniak-Harczuk

Jak strużka krwi

Dwaj kluczowi aktorzy raczkującej Republiki Federalnej Niemiec, chadecki kanclerz Konrad Adenauer i Kurt Schumacher, przewodniczący odradzającej się na nowo socjaldemokracji – obaj na swój sposób przeszli do historii powojennych Niemiec jako ci, którzy rozumieli, że bez zadośćuczynienia względem Żydów, bez materialnego wsparcia młodego państwa Izrael, Niemcy nie przekroczą progu cywilizacji Zachodu. 10 września minie równe 70 lat od podpisania porozumienia luksemburskiego regulującego roszczenia organizacji żydowskich i państwa Izrael wobec Niemiec. Przyjrzyjmy się, jakie były ówczesne Niemcy, w jakiej atmosferze wykuwała się jedna z najważniejszych decyzji w historii państwa niemieckiego.

Adenauer działał jako kanclerz, w dobrze pojętym interesie całego państwa i narodu, który poprzez zbrodnie III Rzeszy stał się narodem sprawców. Nawiązanie dialogu ze środowiskami żydowskimi i z samym Izraelem gwarantowało zainicjowanie procesu pojednania, a więc i pierwszy krok do (częściowej) rehabilitacji Niemiec w oczach świata. Schumacher uważał, że zadośćuczynienie Żydom stanowi moralny obowiązek Niemiec, ale w przeciwieństwie do Adenauera mówił przede wszystkim w imieniu SPD, które tęskniło za ponownym włączeniem do rodziny socjalistycznej międzynarodówki.

▶ A gdyby żydowski właściciel chciał odzyskać swój sklep...

W sierpniu 1949 roku instytut Allensbach przeprowadził pierwszy w powojennych Niemczech sondaż dotyczący zadośćuczynienia ludności żydowskiej, ograniczając jednak grupę ewentualnych odbiorców odszkodowania wyłącznie do Żydów mieszkających w Niemczech. Na pytanie: „Czy uważa Pan/Pani, że Niemcy są winni zadośćuczynienia żyjącym Żydom", 54 proc. ankietowanych odpowiedziało TAK, 31 proc. NIE, a 15 proc. nie miało zdania. Czyli ponad połowa pytanych odpowiedziała twierdząco. Ale instytut przygotował kolejne pytanie, z konkretnym przykładem tego, jak owo zadośćuczynienie mogłoby wyglądać, i tu grupa pozytywnie nastawionych do tematu stopniała. „Jeżeli ktoś w 1933 roku kupił sklep od żydowskiego właściciela, a ten domaga się dziś zwrotu na takich samych zasadach, na których sprzedał [w domyśle – musiał sprzedać], to czy te roszczenia są zasadne, czy niezasadne?" – brzmiało pytanie. I w tym przypadku 39 proc. respondentów uznało roszczenia za zasadne, „o ile do sprzedaży doszło na skutek działań reżimu narodo-

eprasa.pl bdab83362d

wosocjalistycznego", 28 proc. uznało, że roszczenia nie mają podstaw, 25 proc. odpowiedziało „to zależy", żadnego zdania nie miało 8 proc. pytanych.

Odpowiedzi na pytania o zadośćuczynienie Żydom warto zestawić z odpowiedziami dotyczącymi innych grup poszkodowanych przez działania wojenne, a uwzględnionymi w ankiecie przeprowadzonej w październiku 1951 roku przez amerykańską Wysoką Komisję. Amerykanie postawili pytanie o odszkodowania dla Żydów w szerszym kontekście i okazało się, że nawet 68 proc. ankietowanych uznaje potrzebę zadośćuczynienia ludności żydowskiej (21 proc. była przeciwna), ale znacznie więcej, bo 98 proc., popiera wypłacenie odszkodowań niemieckim wdowom i sierotom, 96 proc. ofiarom nalotów bombowych, 93 proc. wysiedlonym ze Wschodu i 73 proc. rodzinom zamachowców na Hitlera, którzy zostali zgładzeni po nieudanej próbie zabicia Führera z 20 lipca 1944 roku. Amerykanie ograniczyli później grupę ankietowanych do tych, którzy poparli zadośćuczynienie Żydom, i zapytali, która z pięciu uwzględnionych w ankiecie grup ofiar powinna otrzymać odszkodowanie w pierwszej kolejności, a która jako ostatnia. Tylko 2 proc. uznało, że pierwszeństwo należy się ofiarom żydowskim, a 17 proc. uplasowało ich na ostatnim miejscu w kolejce po odszkodowania. Dodatkowo 21 proc. ankietowanych zgodziło się z opinią, że „Żydzi byli częściowo odpowiedzialni za to, co ich spotkało w III Rzeszy". W sierpniu 1952 roku społeczeństwu zdano pytanie o planowane przez rząd Republiki Federalnej Niemiec opiewające na kwotę 3 mld marek niemieckich transfer towarów do Izraela, 44 proc. ankietowanych uznało ten gest za „zbędny", 24 proc. wyraziło się o nim pozytywnie, 11 proc. było przeciw.

O krok za sondażami ilustrującymi nastawienie społeczeństwa RFN do kwestii zadośćuczynienia poszły badania nad poczuciem winy mieszkańców młodej republiki za zbrodnie popełnione na Żydach w czasie wojny. Z ankiet przeprowadzonych przez Wysoką Komisję wynika, że w początku lat 50. ponad połowa Niemców zachodnich ani nie poczuwała się do winy, ani nie widziała powodu do zadośćuczynienia. Chadecki polityk Franz Böhm, należący do frakcji największych zwolenników zadośćuczynienia i oddelegowany na odcinek odszkodowań dla Izraela, w 1954 roku stwierdził: „Ten, którego przerażały hitlerowskie zbrodnie, kto współczuł ofiarom i próbował w ramach swoich możliwości pomagać prześladowanym, uznaje zadośćuczynienie za coś oczywistego. Kto jednak w tamtym czasie z Hitlerem sympatyzował, kto z miejsca uznawał aresztowanych przez Gestapo za szkodników i przestępców lub widząc tę bezduszność i brutalność potrafił jedynie skwitować »tam, gdzie drwa rąbią, wióry lecą«, ten na samą myśl o zadośćuczynieniu reaguje złością".

▶ Granie kartą „wypędzonych"

Nie mniej istotne od nastrojów społecznych tego czasu było podejście polityków. I tutaj nastroje w sprawie zadośćuczynienia i niemieckiej winy też rozkładały się różnie. W szeregach SPD kwestia odszkodowań nie stanowiła linii podziału. Socjaldemokraci, sami definiujący się jako ofiary narodowosocjalistycznych prześladowań, w uregulowaniu stosunków z organizacjami żydowskimi i Izraelem postrzegali szansę na ponowne dołączenie do wielkiej międzynarodowej rodziny partii socjalistycznych. Już jesienią 1947 roku Kurt Schumacher wyjechał na zaproszenie American Federation of Labor (AFL) do Stanów Zjednoczonych, gdzie przy okazji spotkań z przedstawicielami amerykańskich związków zawodowych odbył też rozmowę z tamtejszymi organizacjami żydowskimi. Przemawiając na Kongresie AFL w San Francisco, Schumacher potwierdził, że „naród niemiecki jest zobowiązany do zadośćuczynienia i odszkodowań na rzecz Żydów". Lider SPD czuł się na tyle powołany, by orędować za zadośćuczynieniem, że skrytykował nawet pierwszą mowę Adenauera w Bundestagu za to, że jego chadecki oponent „zbyt skromnie podkreślił straszną tragedię Żydów podczas II wojny światowej".

Oczywiście gra polityczna między socjaldemokracją a chadekami nie skłaniała do wypracowania zgody na żadnym polu, ale faktem jest, że w Bundestagu z czasem wykrystalizowała się ponadpartyjna „wielka koalicja" lobbująca na rzecz zadośćuczynienia. Należeli do niej socjaldemokraci: Adolf Arndt, Otto-Heinrich Greve i Jakob Altmeier (jeden z nielicznych żydowskich posłów do Bundestagu), chadecy: Franz Böhm i Eugen Gerstenmeier, a w jej historii odegrał też pozytywną rolę należący do FDP pierwszy prezydent RFN, Theodor Heuss. Jednak poza zwolennikami wyjścia z jakąkolwiek propozycją do środowisk żydowskich, była też silna grupa polityków, którzy uzależniali swój stosunek do ofiar żydowskich działaniem na rzecz niemieckich wysiedleńców ze Wschodu. Jest to zresztą motyw stały w niemieckim dyskursie powojennym, służący *de facto* relatywizowaniu ofiar Holokaustu i zestawianiem ich z krzywdami „niemieckich wypędzonych" i cywilnych ofiar alianckich bombardowań. W 1952 roku Hans-Christoph Seebohm, federalny minister infrastruktury z DP (Die Deutsche Partei – w tamtym czasie partner koalicyjny CDU) w liście do Franza Böhma wprost napisał: „O ile jestem gotów w każdej chwili uznać powinność zadośćuczy-

eprasa.pl bdab83362d

nienia Żydom, o tyle mogę to zrobić tylko wtedy, gdy inne siły na świecie zgłoszą gotowość spełnienia swojego moralnego obowiązku zadośćuczynienia niemieckim wypędzonym. Metody, którymi posługiwali się narodowi socjaliści względem Żydów, a które my potępiamy, odpowiadają bowiem metodom stosowanym wobec niemieckich wypędzonych".

Ciekawa, ale nieodosobniona była też postawa Fritza Hermanna Schäffera (CSU), ministra finansów w pierwszym rządzie Adenauera i późniejszego ministra sprawiedliwości, który ostro sprzeciwiał się umowie z Izraelem i przedstawicielami Konferencji w sprawie żydowskich roszczeń materialnych wobec Niemiec (JCC). Niemieccy historycy zaznaczają jednak, że trudno jednoznacznie wyrokować, czy reakcja Schäffera była motywowana poczuciem odpowiedzialności za finanse państwa, czy charakterem umowy, ale jak zauważa historyk Constantin Goschler: „Schäffer nie zwykł rozróżniać między finansowymi skutkami obniżenia akcyzy na herbatę i kawę, a konsekwencjami wypłacenia odszkodowań ofiarom narodowego socjalizmu". Może i tak, niezależnie jednak od pobudek, to jednak ciekawe, że w marcu 1952 roku minister nakazał wszystkim dyrektorom urzędów skarbowych sporządzić listę wykroczeń podatkowych i dewizowych popełnionych przez Żydów na terenie RFN już po wojnie, aby móc później przedstawić autorom roszczeń sumę strat państwa niemieckiego. Z tych szacunków zebranych przez Schäffera wynikało, że Żydzi od czasu przeprowadzonej w 1948 roku reformy walutowej (zamiany reichsmarki i rentenmarki na markę niemiecką – DM), narazili skarb państwa na straty w wysokości 10 mld DM. Wyliczenia te zostały oprotestowane przez resort ds. zadośćuczynienia podlegający ministerstwu finansów, a Schäffera pouczono, że jego wyliczenia noszą znamiona urzędowych szykan wymierzonych w Żydów. I wtedy odpuścił.

Kolejnym politykiem, który nie do końca sprzyjał materialnemu zadośćuczynieniu III Rzeszy, był minister sprawiedliwości Thomas Dehler (FDP). Dehler argumentował, że Niemcy stoją przed wyzwaniem utrzymania i udzielenia wsparcia 10 mln „wypędzonym", a brak chęci ze strony społeczeństwa niemieckiego, by odpowiedzieć na roszczenia środowisk żydowskich, tłumaczył tym, że „polityka aliantów zmierzająca do zniszczenia konkurencyjności niemieckiej gospodarki była inspirowana przez Żydów". Jednocześnie Dehler powtarzał, że „los Niemców i Żydów jest ze sobą spleciony i że jeżeli dojdzie do zadośćuczynienia Żydom, to i Niemcom los wynagrodzi ich krzywdy".

Wywiad jak iskra

A jak zachowywało się CDU? W pierwszych latach kwestia odszkodowań dla Żydów nie była dla chadeków żadnym tematem. W czerwcu 1945 roku w projekcie programu CDU pojawiło się zdanie: „ Z głęboką czcią chylimy się przed wyznawcami wiary chrześcijańskiej i miłujących wolność, którzy padli ofiarą reżimu narodowosocjalistycznego". O Żydach nie wspomniano. Dopiero aktywność Konrada Adenauera, który jako kanclerz młodej Republiki Federalnej Niemiec rozumiał nieuchronność konfrontacji z tematem roszczeń i konieczność wysunięcia propozycji względem środowisk żydowskich, które w pierwszej fazie wyręczały państwo Izrael w trudnych negocjacjach z Niemcami, przyspieszyła akcję. Ale zanim Adenauer przystąpił do działania, nie obeszło się bez kontrowersji. W krytykowanym przez Kurta Schumachera pierwszym przemówieniu Adenauera w Bundestagu, 21 września 1949 roku kanclerz wspomniał jedynie o niemieckich ofiarach wysiedlenia i bombardowań, resztę ofiar pomijając milczeniem. Pod naporem krytyki, zwłaszcza ze strony SPD, zgodził się w listopadzie 1949 roku udzielić wywiadu Karlowi Marxowi, wydawcy „Allgemeine Jüdische Zeitung", i ta rozmowa była cezurą przedefiniowania zachodnioniemieckiej polityki odpowiedzialności za zbrodnie III Rzeszy. Karl Marx był prominentnym przedstawicielem żydowskiej inteligencji, zresztą później również odegrał ogromną rolę jako mediator między stroną niemiecką i żydowską. Rozmowa z Adenauerem, w której kanclerz Niemiec po raz pierwszy zadeklarował wolę państwa niemieckiego do zadośćuczynienia Żydom oraz zamiar przekazania 10 mld DM na rzecz Izraela, odbiła się szerokim echem. Rok od rozmowy nic jednak nie drgnęło i Marx poskarżył się nawet Dehlerowi na zastój w sprawie, Adenauer musiał zareagować. 27 września 1951 roku zapowiedział w Bundestagu gotowość rządu do negocjacji warunków zadośćuczynienia ze stroną żydowską. Niespełna rok później w Luksemburgu, na neutralnym gruncie podpisano warunki umowy, która zapoczątkowała przełom w relacjach niemiecko-żydowskich. Przełom oprotestowany przez społeczeństwa obu państw. Ale to już opowieść na inny artykuł. Faktem pozostaje, że rok 2022 to czas ważnych rocznic niemiecko-żydowskich. Z jednej strony pierwszy krok do pojednania, z drugiej – masakra izraelskich sportowców podczas Olimpiady w Monachium 1972 roku i kontrowersje związane z organizacją uroczystości upamiętniających tragedię sprzed 50 lat. I w tej drugiej sprawie również pojawia się wątek zadośćuczynienia, który niczym strużka krwi biegnie w poprzek niemieckich i żydowskich wyobrażeń o winie i odpowiedzialności za pokoleniowe zbrodnie. ■

Pisząc, korzystałam m.in. z książki Constantina Goschlera „Wiedergutmachung: Westdeutschland und die Verfolgten des Nationalsozialismus 1945–1954", Oldenburg Verlag, München, 1992.

eprasa.pl bdab83362d

Tomasz Sakiewicz

Wieczna wojna

Po prawie ośmiu latach zdecydowałem się na drugie wydanie „Testamentu I Rzeczypospolitej". Dodałem trochę dokumentów i parę informacji związanych z bieżącą sytuacją. Jednak w większości rozdziałów nic nie musiałem zmieniać, bo „Testament..." to książka o geopolityce, a ta tak łatwo się nie zdezaktualizuje. Światową geopolitykę kreują: geografia, dobra naturalne, szlaki komunikacyjne czy liczba ludności. Geopolitykę naszego regionu stworzyło coś zupełnie innego: nieoczekiwany najazd ludów Wschodu. Czym innym były plemiona słowiańskie przed inwazją Mongołów i czym innym stały się w XIII wieku. Polacy (wtedy bardziej definiowało się nas przez dziedzictwo pierwszych Piastów) i Słowianie Zachodni szybko nasiąkali tradycją Europy Zachodniej, na wschodzie i południu dominowało Bizancjum. Były to kultury trochę różne, ale nie na tyle, by mocno rywalizując ze sobą, nie współpracować – w razie konieczności. Ruś i Polska doświadczały ogromnego rozdrobnienia dzielnicowego, co powodowało rozkwit dworów, ale doprowadziło do słabości zewnętrznej. Dało to pole rozwoju Węgrom i Litwinom, narodom dużo mniejszym, lecz bardziej scalonym. Na tak ukształtowaną Europę Środkową najechali Mongołowie, paląc, niszcząc i mordując. Skłócone narody zaczęły szukać ratunku we współpracy albo poddając się silniejszym ośrodkom. Niecały wiek później rozpoczęło się faktyczne jednoczenie tych terenów (próby zjednoczeniowe trwały nieustannie). Proces jednoczenia doprowadził do stworzenia I Rzeczypospolitej. To zasługa ostatnich Piastów, którzy rozwinęli myśl wielonarodowego państwa. Zawiązane wtedy sojusze z Litwą i Węgrami umożliwiły powstanie największego tworu w Europie – Rzeczypospolitej Jagiellonów. Objął on większość Rusi, przynajmniej pod względem historycznym i ilości mieszkańców. Poza tym obszarem znalazła się Złota Orda, państwo Mongołów składające się głównie z podbitych Słowian. 250 lat okupacji mongolskiej doprowadziło do całkowitej zmiany mentalności mieszkańców tych terenów. Inaczej patrzą na państwo, ludzi, kulturę i gospodarkę. To silniejsza zmiana niż powstanie nowej rzeki albo wybuch wielkiego wulkanu. Po kataklizmach kultura daje wzór do odrodzenia się społeczności. Tu zmieniła się kultura, czyli ów wzór. Rosjanie stali się czymś zupełnie innym niż narody mieszkające na Zachód. Z tego wynika wieczna wojna aż do próby podboju i unicestwienia przez nich sąsiadów. ■

Książka dostępna na sklep.gazetapolska.pl lub pod nr tel. 722 111 655

eprasa.pl bdab83362d

Disney+
Rozrywka dla całej rodziny

Z telewizją już od 35 zł/mies. przez 24 miesiące

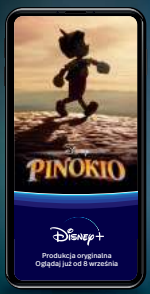

Pobierz ulotkę

polsat box

Wybierz swoje wszystko

© 2022 Disney i podmioty powiązane.

Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej przy umowach od pakietu S z Disney+, z zobowiązaniem od 35 zł/mies. i z okresem podstawowym na 24 miesiące. Od 25 miesiąca z zobowiązaniem od 45 zł/mies. Serwis Disney+ nie jest dostępny na dekoderach. Dostawcą serwisu Disney+ jest The Walt Disney Company (Benelux) BV. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl. Oferta ważna na dzień 6.09.2022 r.

eprasa.pl bdab83362d